Delphine de Vigan

PRAWDZIWA HISTORIA

W przygotowaniu ekranizacja powieści w reżyserii Romana Polańskiego!

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Delphine de Vigan

PRAWDZIWA HISTORIA

Z języka francuskiego przełożyła
Joanna Kluza

Tytuł oryginału:
D’après une histoire vraie

Copyright © 2015 by Editions Jean-Claude Lattès

Copyright © 2016 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2016 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Monika Drobnik-Słocińska

Redakcja: Magdalena Stec
Korekta: Hanna Antos, Magdalena Bargłowska

ISBN: 978-83-7999-769-5

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiejkolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga

E-wydanie 2016

Skład wersji elektronicznej:

virtualo

konwersja.virtualo.pl

Spis treści

1. Oczarowanie

2. Depresja

3. Zdrada

Przypisy

Przestałam pisać kilka miesięcy po ukazaniu się mojej ostatniej powieści. W ciągu niemal trzech lat nie napisałam ani jednej linijki tekstu. Czasami utarte zwroty należy rozumieć dosłownie: nie napisałam listu urzędowego, podziękowania, pocztówki z wakacji, listy zakupów. Niczego, co wymagałoby jakiegokolwiek wysiłku redakcyjnego, co spełniałoby jakiekolwiek wymagania formalne. Ani jednej linijki, ani jednego słowa. Na widok bloku, notesu, fiszki z brystolu robiło mi się niedobrze.

Stopniowo sam gest stał się okazjonalny, pełen wahania, niepozbawiony lęku. Już samo trzymanie pióra wydawało mi się coraz trudniejsze.

Później wpadałam w panikę, ledwie otworzyłam zapisany w Wordzie dokument.

Szukałam właściwej pozycji, optymalnego ustawienia ekranu, wyciągałam nogi pod stołem. A potem całymi godzinami trwałam w bezruchu, ze wzrokiem utkwionym w monitor.

Jeszcze później dłonie zaczynały mi drżeć, jak tylko zbliżyłam je do klawiatury.

Odrzucałam wszystkie składane mi propozycje bez wyjątku: artykuły, opowiadania na lato, przedmowy oraz innego rodzaju współpracę przy dziełach zbiorowych.

Wystarczyło samo słowo „napisać” w liście lub w wiadomości, żeby ściskało mnie w żołądku.

Pisać już nie byłam w stanie.

Pisać, odpowiedź brzmiała „nie”.

Dzisiaj wiem, że w moim otoczeniu, w środowisku literackim i na hportalach społecznościowych krążyły rozmaite plotki. Wiem, że mówiono, iż już nie będę pisać, że doszłam na skraj czegoś, że słomiany czy też

papierowy zapał zawsze gaśnie. Ukochany mężczyzna ubzdurał sobie, że przebywając z nim, straciłam natchnienie lub wenę i że w związku z tym wkrótce go zostawię.

Kiedy przyjaciele, znajomi, a czasem nawet dziennikarze odważyli się zapytać mnie o to milczenie, wymyślałam najróżniejsze powody albo przeszkody, wśród których znajdowały się zmęczenie, zagraniczne wyjazdy, presja związana z sukcesem czy wręcz koniec cyklu literackiego. Wymówiłam się brakiem czasu, niemożnością skupienia się, pobudzeniem, po czym wykręciłam się fałszywie pogodnym uśmiechem, na który nikt się nie dał nabrać.

Dzisiaj wiem, że wszystko to jest tylko wymówką. Wszystko to jest niczym.

Wobec bliskich bez wątpienia zdarzyło mi się napomknąć o strachu. Nie przypominam sobie, żebym mówiła o przerażeniu, chociaż była to kwestia właśnie *przerażenia*. Teraz mogę to przyznać: pisanie, które pochłaniało mnie od tak dawna, które tak głęboko zmieniło moje życie i było mi tak drogie, przerażało mnie.

Prawda jest taka, że kiedy powinnam była zabrać się z powrotem do pisania, zgodnie z cyklem, w którym przeplatają się ze sobą okresy utajenia, wylęgania i redakcji w pełnym tego słowa znaczeniu, cyklem niemal chronologiczno-biologicznym, który testuję od ponad dziesięciu lat – kiedy więc zamierzałam zacząć książkę, do której sporządziłam pewną ilość notatek i zebrałam obfitą dokumentację, spotkałam L.

Dzisiaj wiem, że L. to absolutnie jedyny powód mojej niemocy. I że te dwa lata, w czasie których byłyśmy ze sobą blisko, o mało nie sprawiły, że zamilkłam na zawsze.

1

Oczarowanie

(…) *sposób, w jaki się o tym dowiedział,*
był wielce niepokojący – jakby dotyczyło to
postaci z jakiejś książki czy sztuki – postaci,
której przeszłość w gruncie rzeczy nie jest przeszłością,
a jedynie zwykłą fikcją literacką.

Stephen King *Misery*, przeł. Robert P. Lipski

Chciałabym opowiedzieć, w jaki sposób, w jakich okolicznościach L. wkroczyła w moje życie, chciałabym dokładnie opisać kontekst, który umożliwił L. przeniknięcie w moją sferę prywatną i cierpliwe jej przejęcie. To nie jest takie proste. W chwili zaś, gdy piszę zdanie: *w jaki sposób L. wkroczyła w moje życie*, uświadamiam sobie, ile jest w nim pompatyczności, lekkiej przesady, jak podkreśla dramatyzm, który jeszcze nie istnieje, ową chęć obwieszczenia punktu zwrotnego albo nieoczekiwanego wydarzenia. Owszem, L. *wkroczyła w moje życie* i powoli, zdecydowanie, podstępnie przewróciła je do góry nogami. L. wkroczyła w moje życie jak na scenę w teatrze, w samym środku przedstawienia, zupełnie jakby reżyser czuwał nad tym, żeby wszystko wokół się rozmyło, aby zrobić jej miejsce, jakby wejście L. zostało przygotowane, żeby wzmocnić jej znaczenie, aby dokładnie w tej chwili widz oraz pozostałe postacie obecne na deskach (akurat ja) patrzyły tylko na nią, aby wszystko wokół nas zastygło w bezruchu i żeby jej głos niósł się aż na koniec sali, jednym słowem: żeby wywarła wrażenie.

Lecz pędzę zbyt szybko.

Spotkałam L. pod koniec marca. W następne wakacje L. poruszała się w moim życiu niczym stara przyjaciółka, po znanym terenie. Po kolejnych wakacjach miałyśmy już nasze *private jokes*, wspólny język pełen niedopowiedzeń i podtekstów, spojrzenia, które wystarczały, abyśmy się zrozumiały. Nasze porozumienie opierało się na wspólnych tajemnicach, ale także na niedomówieniach i cichych komentarzach. Z perspektywy czasu i zważywszy na gwałtowność, jaką przybrała później nasza relacja, mogłoby mnie kusić, aby powiedzieć, że L. wdarła się w moje życie siłą, jako jedyny cel mając zagarnięcie mojego terytorium, tylko że byłaby to nieprawda.

L. wkroczyła łagodnie, z niezmierzoną delikatnością, ja zaś spędziłam z nią chwile zaskakującej jednomyślności.

Tamtego popołudnia, które poprzedziło nasze spotkanie, oczekiwano mnie na targach książki w Paryżu. Natknęłam się tam na mojego przyjaciela Oliviera, który był gościem programu na żywo na stoisku Radio France. Wmieszałam się w publiczność, by go posłuchać. Następnie przegryźliśmy w kąciku po kanapce razem z jego starszą córką Rose, siedząc we trójkę na wytartej wykładzinie. O czternastej trzydzieści miałam podpisywać książki, zostało nam więc mało czasu. Olivier nie omieszkał zauważyć, że wyglądam na zmęczoną, naprawdę zmęczoną, zapytał z niepokojem, jak sobie z tym wszystkim daję radę, przy czym *to wszystko* oznaczało jednocześnie, że napisałam tak osobistą, tak intymną książkę i że ta książka zyskała taką popularność – popularność, której nie brałam pod uwagę nawet przez chwilę, wiedział o tym, i na którą w konsekwencji nie byłam przygotowana.

Później Olivier zaproponował, że mnie odprowadzi, toteż skierowaliśmy się ku stoisku mojego wydawcy. Minęliśmy gęstą, zbitą kolejkę oczekujących, spróbowałam dojrzeć, który autor znajduje się na jej drugim końcu, pamiętam, że podniosłam wzrok, by zobaczyć plakat z jego nazwiskiem, a wtedy Olivier szepnął: myślę, że to do ciebie. Rzeczywiście, kolejka ciągnęła się daleko, po czym zakręcała ku stoisku, przy którym na mnie czekano.

W innych czasach, a nawet kilka miesięcy wcześniej napełniłoby mnie to radością i bez wątpienia dumą. Spędziłam wiele godzin, wypatrując czytelników na rozmaitych targach, grzecznie siedząc za stosem własnych książek, chociaż nikt nie przyszedł, znałam to rozczarowanie, tę nieco wstydliwą samotność. Teraz doznałam zupełnie innego wrażenia, czegoś w rodzaju zawrotu głowy, przez moment zaświtała mi myśl, że to za dużo, za dużo jak dla jednej osoby, za dużo dla mnie. Olivier oznajmił, że zostawia mnie samą.

Moja książka ukazała się pod koniec sierpnia, ja zaś od kilku miesięcy jeździłam od miasta do miasta, ze spotkania na podpisywanie, z czytania na debatę, po księgarniach, po bibliotekach, po mediatekach, gdzie czekało na mnie coraz więcej czytelników.

Czasami pochłaniało mnie to uczucie, że idealnie się wstrzeliłam, że pociągnęłam ze sobą, za sobą tysiące czytelników, to, bez wątpienia zwodnicze, przeświadczenie, że mnie usłyszano.

Byłam szczęśliwa, spełniona, oszołomiona.

Dumna i nadal pełna niedowierzania.

Napisałam książkę, lecz nie spodziewałam się, jakie będzie miała znaczenie.

Napisałam książkę, której długofalowe oddziaływanie miało być odczuwalne wewnątrz mojej rodziny i wokół mnie, której szkodliwych skutków ubocznych nie przewidziałam, książkę, która miała wkrótce obnażyć niezniszczalnych sprzymierzeńców, ale również fałszywych przyjaciół, i której spóźnione efekty miały jeszcze długo być widoczne.

Nie wyobrażałam sobie efektu zwielokrotnienia przedmiotu i jego następstw, nie wyobrażałam sobie wizerunku matki, powielonego w setkach, później w tysiącach, tej fotografii na obwolucie, która mocno przyczyniła się do upowszechnienia tekstu, fotografii, która bardzo szybko się od niej oddzieliła, teraz zaś nie była już moją matką, lecz postacią z powieści, mglistą i zwichrowaną.

Nie wyobrażałam sobie, że czytelnicy będą wzruszeni, onieśmieleni, nie wyobrażałam sobie, że niektórzy będą przy mnie płakać ani jak trudno będzie mi nie zapłakać wraz z nimi.

Całkiem pierwszy raz wydarzył się w Lille, kiedy to pewna młoda kobieta, wątła i wyraźnie osłabiona licznymi pobytami w szpitalu, wyjaśniła, jak to powieść dała jej szaloną, niedorzeczną nadzieję, że pomimo choroby, pomimo tego, co jej się przytrafiło i czego nie da się naprawić, pomimo tego, na co je *skazała*, być może dzieci mogłyby ją kochać…

A potem, innym znów razem, w Paryżu, pewnego niedzielnego poranka jakiś mężczyzna u kresu wytrzymałości opowiadał mi o spojrzeniach rzucanych przez ludzi na niego, na tych, którzy budzą tak wielki strach, że wszystkich, dwubiegunowych, schizofreników, tych z depresją, wpycha się do jednego worka, przyklejając etykietki niczym kurczakom w celofanie, w zależności od tego, jakie akurat obowiązują tendencje i co widać na okładkach czasopism, Lucile zaś, moja nietykalna bohaterka, wszystkim przywraca godność.

W Strasburgu, w Nantes, w Montpellier byli jeszcze inni ludzie, których czasami miałam ochotę wziąć w ramiona.

Stopniowo, w miarę możliwości wznosiłam niewidzialny szaniec, kordon sanitarny, który pozwalał mi to ciągnąć, trwać, zachować właściwy dystans, wypracowałam ruch przepony, który zatrzymywał powietrze na wysokości mostka, tworząc maleńką warstwę izolującą, niewidoczną poduszkę powietrzną, następnie wydychałam je powoli ustami, gdy tylko niebezpieczeństwo minęło. Mogłam więc słuchać, mówić, rozumieć narastającą wokół książki otoczkę, owe wzajemne relacje między czytelnikiem a tekstem, przy czym niemal zawsze i z powodów, których nie potrafię wyjaśnić, książka odsyłała czytelnika do jego własnej historii. Była rodzajem zwierciadła, którego głębia obrazu ani kontury już do mnie nie należały.

Wiedziałam jednak, że pewnego dnia wszystko to mnie dopadnie, liczba, owszem, liczba czytelników, komentarzy, zaproszeń, liczba odwiedzonych księgarni i godzin spędzonych w pociągach TGV, a wtedy coś pęknie pod ciężarem moich wątpliwości i sprzeciwów. Wiedziałam, że pewnego dnia nie dam rady się przed tym ustrzec i że będę musiała spojrzeć trzeźwo na wszystko, nie mogąc się od tego uwolnić.

Tamtej soboty na targach bezustannie podpisywałam książki. Ludzie przyszli, aby ze mną porozmawiać, ja zaś z trudem znajdowałam słowa, by im podziękować, odpowiedzieć na ich pytania, spełnić ich oczekiwania. Słyszałam, jak głos mi drży, oddychałam z wysiłkiem. Poduszka powietrzna przestała działać, nie umiałam już temu stawić czoła. Byłam przemakalna. Wrażliwa.

Około osiemnastej pomiędzy dwoma słupkami przewiązano taśmę, aby zniechęcić kolejnych przybyszów, którzy w konsekwencji byli zmuszeni zawrócić. Słyszałam, jak znajdujący się kilka metrów dalej pracownicy stoiska tłumaczyli, że przerywam podpisywanie, *ona musi iść, przerywa podpisywanie, przykro nam, ona już wychodzi*.

Gdy tylko zakończyłam składanie autografów tym, których wskazano jako ostatnich w kolejce, zostałam parę minut, żeby porozmawiać z moją wydawczynią i dyrektorem handlowym. Pomyślałam o czekającej mnie

drodze na dworzec, czułam się wyczerpana, mogłabym się wyciągnąć na wykładzinie i tak leżeć. Staliśmy przy stoisku, ja byłam odwrócona plecami do targowych alejek i do stolika, przy którym dopiero co siedziałam. Podeszła do nas od tyłu jakaś kobieta, zapytała, czy mogę umieścić na jej egzemplarzu dedykację. Usłyszałam, jak odpowiadam jej bez wahania „nie”. Chyba wyjaśniłam, że gdybym podpisała jej książkę, inni znów ustawiliby się po dedykacje i nieuchronnie zrobiłaby się kolejka.

Widziałam w jej oczach, że nie rozumie, nie mogła zrozumieć, przecież wokół nas nie było już nikogo, ci, którzy nie mieli szczęścia, rozeszli się, najwyraźniej wszystko wróciło do równowagi i zapanował spokój, widziałam w jej oczach, że myśli sobie: za kogo ta kretynka się uważa, jakie znaczenie ma jedna czy dwie książki więcej i czy nie po to właśnie pani tu przyszła, żeby sprzedawać i podpisywać książki, chyba nie ma pani powodów do narzekań…

Nie mogłam jej powiedzieć: przykro mi, proszę pani, już dłużej nie dam rady, jestem zmęczona, nie wyrabiam, nie mam zacięcia i tyle, doskonale wiem, że inni potrafią wytrzymać całe godziny bez jedzenia i picia, aż wszyscy odejdą zadowoleni, prawdziwe wielbłądy, atleci, na pewno, ale nie ja, nie dzisiaj, już dłużej nie mogę wypisywać własnego nazwiska, moje nazwisko to szalbierstwo, mistyfikacja, proszę mi wierzyć, moje nazwisko na tej książce nie jest więcej warte od ptasiego gówna, które spadłoby nieszczęśliwie na wklejkę.

Nie mogłam jej powiedzieć: jeśli umieszczę dedykację na pani książce, rozpadnę się na dwie części, oto co się dokładnie zaraz stanie, ostrzegam, proszę się odsunąć, proszę się oddalić, cieniutka nić, która łączy obie połówki mojej osoby, zaraz pęknie, a wtedy się rozpłaczę, a może nawet zacznę wrzeszczeć, a to może być bardzo krępujące dla nas wszystkich.

Opuściłam targi, nie zważając na budzące się we mnie poczucie winy.

Wsiadłam do metra na stacji Porte de Versailles, pociąg był zatłoczony, mimo to znalazłam miejsce siedzące. Z nosem przyklejonym do szyby jęłam odgrywać tę scenę, scena ta wróciła do mnie po raz pierwszy, potem kolejny. Odmówiłam kobiecie podpisania książki, chociaż byłam na miejscu i prowadziłam rozmowę, nie mieściło mi się to w głowie. Czułam się winna, śmieszna, było mi wstyd.

Opisuję dzisiaj tę scenę, wraz z zawartym w niej zmęczeniem i przesytem, ponieważ jestem niemal pewna, że gdyby nie ona, nie spotkałabym L.

L. nie dostrzegłaby we mnie tak delikatnego, tak podatnego, tak sypkiego gruntu.

Kiedy byłam dzieckiem, płakałam w urodziny. W chwili gdy zgromadzeni goście intonowali tradycyjną piosenkę, której słowa są niemal identyczne we wszystkich znanych mi rodzinach, gdy zbliżał się ku mnie tort przybrany kilkoma świeczkami, wybuchałam płaczem.

Nie mogłam znieść tej skupionej na mojej osobie uwagi, tych zwróconych na mnie spojrzeń, tego zbiorowego wzruszenia.

Nie miało to nic wspólnego z rzeczywistą przyjemnością, jaką odczuwałam skądinąd z tego powodu, że specjalnie na moją cześć urządzono przyjęcie, nie zakłócało to w niczym radości z otrzymywania prezentów, lecz w tej konkretnej chwili następowało coś w rodzaju efektu Larsena, tak jakbym w odpowiedzi na ów zbiorowy hałas specjalnie dla mnie mogła wytworzyć jedynie inny, jeszcze bardziej świdrujący hałas o nieznośnej i katastrofalnej częstotliwości. Nie wiem, jak długo powtarzał się ten scenariusz (niecierpliwość, napięcie, radość, a potem ja, znienacka zasmarkana i przerażona, naprzeciw reszty), zachowałam wszakże wyraźne wspomnienie doznania, jakie mnie wówczas ogarniało, *nasze najszczersze życzenia, i niech te płomyki przyniosą ci szczęście*, oraz pragnienia, by natychmiast zniknąć. Pewnego razu, musiałam mieć wtedy osiem lat, uciekłam.

Pamiętam, że w czasach, gdy urodziny świętowano w klasie (w przedszkolu), matka musiała napisać liścik do nauczycielki z prośbą, aby moich nie obchodzono, liścik, który przeczytała mi na głos dla mojej informacji, a następnie włożyła do koperty, i który zawierał przymiotnik *uczuciowa*, ja zaś nie znałam jego znaczenia. Nie ośmieliłam się jej o to zapytać, byłam bowiem świadoma, że już samo pisanie do nauczycielki stanowi wyjątkowe postępowanie, wysiłek, który ma na celu skłonienie jej do niemniej niezwykłego postępowania, do ominięcia przepisów, jednym słowem: do specjalnego traktowania. Prawdę mówiąc, długo wierzyłam, że

uczuciowy ma coś wspólnego z zasobem słownictwa, jaki posiada dany osobnik: byłam więc małą *u-czu-cio-wą* dziewczynką, której brakowało słów, co chyba tłumaczyło niezdolność do wspólnego świętowania własnych urodzin. Toteż uznałam, że aby żyć w społeczeństwie, należy się uzbroić w słowa, nie wahać się je mnożyć, rozróżniać, wychwytywać ich najdrobniejsze niuanse. Nabyte w ten sposób słownictwo stopniowo tworzyło gruby i włóknisty pancerz, który umożliwiał obracanie się w świecie, przy zachowaniu czujności i ufności. Tak wiele słów ciągle jednak było mi nieznanych.

Później, w szkole podstawowej, przy wypełnianiu kartonowej fiszki na początku roku, nadal oszukiwałam co do daty urodzin, na wszelki wypadek przesuwając ją o kilka miesięcy na sam środek wakacji.

Tak samo w stołówce albo u przyjaciół wielokrotnie zdarzyło mi się (i to do późnego wieku) połknąć bądź schować migdał, który znajdowałam przerażona w kawałku placka na Trzech Króli. Obwieszczenie zwycięstwa, bycie przez kilka sekund, a nawet minut przedmiotem zbiorowej uwagi wydawało się niemożliwością. Pomijam zwycięskie losy na loterii, mięte lub darte w pośpiechu, w chwili gdy należało się ujawnić, aby odebrać wygraną, nie mówiąc już o rezygnacji z bonu na zakupy w Galeries Lafayette o wartości stu franków na zakończenie roku, kiedy byłam w szóstej klasie. Pamiętam, że oceniłam odległość dzielącą mnie od estrady – trzeba było tam dotrzeć bez potykania się, z naturalną i odprężoną miną, następnie pokonać parę schodków, bez wątpienia podziękować dyrektorce szkoły – i doszłam do wniosku, że gra nie jest warta świeczki.

Znalezienie się w centrum uwagi, choćby tylko na chwilę, znoszenie wielu spojrzeń naraz było po prostu nie do pomyślenia.

Byłam bardzo nieśmiałą dziewczynką i nastolatką, lecz jak daleko sięgam pamięcią, ułomność ta objawiała się przede wszystkim wobec grupy (to znaczy gdy miałam do czynienia z więcej niż trzema, czterema osobami jednocześnie). Pierwszym ucieleśnieniem zbiorowości, która nigdy nie przestała budzić we mnie lęku, była w szczególności klasa. Aż do końca szkoły nie potrafiłam zasnąć w przeddzień głośnej recytacji czy referatu, pominę milczeniem strategie wybiegów, które przez długi czas obmyślałam, aby uniknąć za wszelką cenę publicznego zabierania głosu.

Wydaje mi się natomiast, że już od najmłodszych lat odznaczałam się pewną zręcznością w kontaktach twarzą w twarz, we dwoje i prawdziwą umiejętnością rozmowy z Innym, jak tylko przybierał postać jednostki, a nie grupy, przywiązywania się do niego. Gdziekolwiek się udawałam, gdziekolwiek przebywałam, zawsze znajdowałam kogoś, z kim mogłam się pobawić, porozmawiać, pośmiać, pomarzyć, gdziekolwiek zawitałam, znajdowałam przyjaciół(ki) i nawiązywałam trwałe znajomości, tak jakbym bardzo wcześnie dostrzegła, że moje uczuciowe ocalenie rozegra się w tym miejscu. Dopóki nie spotkałam L.

Tamtej soboty, po opuszczeniu targów książki, zamierzałam pognać na dworzec i udać się na wieś, do mężczyzny, którego kocham, aby spędzić z nim wieczór i następny dzień. François pojechał do Courseilles poprzedniego dnia, jak niemal w każdy weekend. Z biegiem lat dom, który dopiero co kupił, kiedy go poznałam, stał się jego schronieniem, ostoją, widząc zaś, jak przekracza jego próg w piątkowy wieczór i głośno wzdycha z lubością bądź ulgą, mam przed oczyma słuchawki telefonów bezprzewodowych, które odkłada się na bazę, gdy się rozładują, słyszę wydawane przez nie zadowolone piknięcie. Otaczający nas ludzie wiedzą, jak bardzo dom ten stanowi fundament jego równowagi i że rzadko się zdarza, by go odwieść od wyjazdu.

François na mnie czekał. Umówiliśmy się, że zadzwonię, gdy wsiądę do pociągu osobowego, który zatrzymuje się na każdej stacji i gdzieś w szczerym polu, parę kilometrów od Courseilles.

Kiedy metro przystanęło na stacji Montparnasse, zawahałam się. Z pewnością się podniosłam, ale nie wysiadłam. Czułam zbyt silny niepokój, żeby wyjechać. Brak gotowości. Incydent na targach w jednej chwili obnażył moje wyczerpanie, ów stan napięcia, kruchości, który martwił François, a do którego z trudem potrafiłam się przyznać. Podążałam dalej w kierunku XI dzielnicy. Wysłałam mu SMS-a, aby uprzedzić, że wracam do domu, zadzwonię trochę później.

Jak tylko znalazłam się w mojej dzielnicy, zatrzymałam się przed supermarketem Super U. Dzieci spędzały weekend u ojca, François na wsi, po drodze skrystalizował się plan spokojnego wieczoru, cichego i samotnego wieczoru, oto dokładnie to, czego było mi trzeba.

Krążąc między sklepowymi regałami z czerwonym plastikowym koszykiem na przedramieniu, usłyszałam, że ktoś mnie woła. Za mną stała rozradowana, ledwie zdziwiona Nathalie. Kilka razy w roku wpadamy na

siebie w osiedlowym Super U. Z czasem te przypadkowe szczęśliwe spotkania zamieniły się w coś w rodzaju powtarzanych gagów, w których każdej nie pozostaje nic innego jak odegrać swoją rolę, obie wybuchamy śmiechem, całujemy się, no coś takiego, co za przypadek, nigdy nie bywam tu o tej porze, ja też nie.

Rozmawiałyśmy przez kilka minut przed chłodziarką z jogurtami, Nathalie też spędziła popołudnie na targach, podpisując egzemplarze, i udzieliła wywiadu na temat *Byliśmy istotami żywymi*, swojej ostatniej książki, zamierzała wpaść na stoisko mojego wydawcy, żeby mnie odwiedzić, ale zabrakło jej czasu, wolała więc wcześnie wrócić do domu, bo jeszcze tego samego wieczoru była zaproszona na przyjęcie, zresztą wysiadła przy Super U, aby kupić butelkę szampana. Jakim cudem w niespełna trzy sekundy zgodziłam się pójść z nią na to przyjęcie, chociaż ledwie chwilę wcześniej cieszyłam się, że będę sama, nie pamiętam.

Przed paroma laty, zanim poznałam François, spędziłam sporo wieczorów w towarzystwie Nathalie oraz innej przyjaciółki, Judith. Wszystkie trzy byłyśmy mniej lub bardziej samotne i miałyśmy ochotę się bawić. Nazywałyśmy te wieczory *JDN* (Judith, Delphine, Nathalie). *JDN* dla każdej z nas polegały na tym, aby wraz z pozostałą dwójką dać się zaprosić na najrozmaitsze przyjęcia (urodziny, parapetówkę, Wigilię), a nawet wkręcić się do najbardziej dziwacznych miejsc, mimo że żadnej z nas nie zaproponowano gościny. W ten sposób udało nam się wcisnąć na niejedno otwarcie kawiarni kulturalno-literackiej, potańcówkę na świeżym powietrzu, firmową imprezę pożegnalną czy wręcz wesele, na którym żadna z nas nie znała młodej pary.

O ile lubię przyjęcia, o tyle niemal zawsze unikam czegoś, co określa się mianem *kolacji na mieście* (nie mam tu na myśli kolacji z przyjaciółkami, mam na myśli kolacje, na których dopuszcza się bardziej lub mniej światowy charakter). Rezerwa ta bierze się stąd, że nie potrafię się przystosować do obowiązujących w tym wypadku zasad. Wówczas wszystko toczy się tak, jakby w jednej chwili powróciła cała moja nieśmiałość. Znów staję się rumieniącą się małą dziewczynką albo nastolatką, którą byłam kiedyś, a która nie jest w stanie uczestniczyć w sposób naturalny i płynny w rozmowie, żywi bowiem potworne przeświadczenie, że nie dorosła, że nie pasuje, zresztą zazwyczaj jeśli jest więcej niż czworo biesiadników, nabieram wody w usta.

Z biegiem czasu w końcu zrozumiałam – albo jest to tylko wymówka, dzięki której potrafię się ze wszystkim pogodzić – że relacja z Innym interesuje mnie dopiero po przekroczeniu określonego progu zażyłości.

JDN zdarzały się coraz rzadziej, potem ustały, sama już nie wiem dlaczego. Może po prostu dlatego, że w życiu każdej z nas zaszły zmiany. Tamtego wieczoru w Super U powiedziałam Nathalie „tak”, myśląc, że przyjęcie będzie, jakże już teraz rzadką, okazją do potańczenia. (O ile bowiem przeraża mnie dzisiaj pomysł, żeby zrobić dobre wrażenie podczas kolacji, o tyle jestem w stanie zatańczyć sama na środku salonu, na przyjęciu, gdzie nikogo nie znam).

Doskonale zdaję sobie sprawę, że wyjaśnienia te mogą sugerować, jakobym zamierzała przytoczyć tu inne opowieści, jakobym zboczyła z kursu pod pretekstem naszkicowania kontekstu, dekoracji. Ale nie. Następstwo wydarzeń wydaje mi się istotne dla zrozumienia, jak poznałam L., a w trakcie tej relacji będę zapewne musiała cofnąć się nawet jeszcze dalej, aby spróbować uchwycić rzeczywistą stawkę owego spotkania.

Biorąc pod uwagę zamęt, jaki wprowadziło ono w moim życiu, zależy mi na wyłuskaniu tego, co pozwoliło L. wpłynąć na mnie i bez wątpienia mnie wpłynąć na L.

Zresztą kiedy moim oczom ukazała się L., właśnie tańczyłam, we wspomnieniach zaś nasze dłonie otarły się o siebie.

L. i ja siedziałyśmy na kanapie. Pierwsza opuściłam parkiet, kiedy muzyka przestała mi się podobać.

L., która tańczyła obok przez ponad godzinę, czym prędzej do mnie dołączyła. Za pomocą jednego uśmiechu zdobyła wąskie miejsce dzielące mnie od sąsiada, który przesunął się bliżej podłokietnika, pozwalając jej się wygodnie rozsiąść. Zrobiła wówczas porozumiewawczą minę wyrażającą zwycięstwo.

– Prześlicznie pani wygląda, kiedy tańczy – oznajmiła, jak tylko zajęła miejsce. – Jest pani piękna, ponieważ tańczy pani tak, jakby myślała, że nikt na panią nie patrzy, jakby była pani sama, jestem zresztą pewna, że tańczy pani w ten sposób, sama, w sypialni albo w salonie.

(Gdy moja córka była nastolatką, oświadczyła mi któregoś dnia, że w dorosłym życiu zachowa o mnie to wspomnienie, wspomnienie matki, która tańczy na środku salonu, aby wyrazić swoją radość).

Podziękowałam L. za komplement, chociaż nie wiedziałam, co odpowiedzieć, skądinąd najwyraźniej niczego nie oczekiwała, nadal wpatrywała się w parkiet z uśmiechem na ustach. Przyglądałam jej się ukradkiem. L. miała na sobie czarne lejące spodnie, kremową koszulę, której kołnierzyk zdobił cienki pasek satyny albo ciemnej skóry, nie umiałam z całą pewnością stwierdzić, co to za materiał. L. była doskonała. Przyszły mi na myśl reklamy marki Gérard Darel, bardzo dobrze to pamiętam, to było właśnie to, owo proste, nowoczesne wyrafinowanie, sprytne połączenie klasycznych, mieszczańskich tkanin i zuchwałych dodatków.

– Wiem, kim pani jest, i bardzo się cieszę, że panią poznałam – dodała po chwili.

Zapewne powinnam była zapytać, jak ma na imię, kto ją zaprosił, a nawet czym się zajmuje, lecz ta kobieta, jej spokojna pewność siebie mnie

onieśmielały.

L. należała do tego rodzaju kobiet, które mnie fascynują, właśnie.

L. miała nieskazitelny wygląd, gładko zaczesane włosy, idealnie opiłowane paznokcie pokryte chińską czerwienią, która zdawała się lśnić w ciemności.

Zawsze podziwiałam kobiety, które używają lakieru do paznokci. Moim zdaniem pomalowane paznokcie wyrażają pewną ideę kobiecego wyrafinowania, ja zaś doszłam w końcu do wniosku, że przynajmniej w tym względzie pozostanie ono dla mnie nieosiągalne. Mam zbyt duże, zbyt szerokie, w pewnym sensie zbyt potężne dłonie, a kiedy próbuję pomalować paznokcie, sprawiają wrażenie jeszcze szerszych, tak jakby ta daremna próba zamaskowania podkreślała ich męski charakter (w każdym razie operacja sama w sobie wyglądała mi na żmudną, czynność jako taka wymaga dokładności, cierpliwości, której mi brakuje).

Ile czasu potrzeba, żeby być taką kobietą, zastanawiałam się, patrząc na L., podobnie jak patrzyłam na dziesiątki kobiet przed nią, w metrze, w kolejce po bilety do kina, przy stoliku w restauracji. Uczesanych, umalowanych, odprasowanych. Bez ani jednego zagniecenia. Ile czasu, żeby osiągnąć ten stan doskonałości codziennie rano, a ile wieczorem, żeby dokonać poprawek przed wyjściem? Jaki rodzaj życia należy prowadzić, żeby mieć swobodę zapanowania nad włosami za pomocą suszarki, żeby każdego dnia wkładać inną biżuterię, żeby dopasowywać i zmieniać stroje, żeby niczego nie pozostawiać przypadkowi?

Dzisiaj wiem, że nie jest to tylko kwestia gotowości, ale raczej *typu*, *typu* kobiety, jaki wybieramy, o ile w ogóle mamy wybór.

Pamiętam, że podczas pierwszej rozmowy z moją wydawczynią w małym gabinecie przy rue Jacob z początku zafascynowało mnie jej wyrafinowanie, oczywiście paznokcie, ale także cała reszta, pełna prostoty i nienagannego smaku. Emanowała z niej nieco klasyczna, za to idealnie dawkowana, poskromiona kobiecość, która mnie oczarowała. Gdy poznałam François, byłam przekonana, że lubi kobiety innego *typu* niż ja, bardziej wymuskane, bardziej wyrafinowane, pod kontrolą, widzę siebie, jak wyłuszczam jednej z przyjaciółek w kawiarni przyczyny zbliżającej się porażki, to po prostu niemożliwe, ależ tak, właśnie z tego powodu, François lubił kobiety o gładkich, dających się ujarzmić włosach (zilustrowałam swoje słowa gestem), tymczasem ja jestem rozczochrana. Wydawało mi się,

że ów rozdźwięk sam w sobie oznacza głębsze, wręcz fundamentalne różnice, w ogólnym sensie nasze spotkanie stanowiło jedynie zwykłą pomyłkę, potrzebowałam czasu, by przyznać, że było inaczej.

Po chwili L. wstała i znów zaczęła tańczyć w grupce jakichś dziesięciu osób, w którą się wśliznęła, aby rzucić mi wyzwanie. Dzisiaj, patrząc na to, co się wydarzyło, nie mam wątpliwości, że scenę tę można odczytać jako próbę oczarowania, zresztą tak ją widzę, wtedy był to raczej rodzaj gry pomiędzy nią a mną, ciche porozumienie. Coś mnie intrygowało, bawiło. Czasami L. zamykała oczy, ruchy jej ciała cechowała dyskretna zmysłowość, bez ostentacji, L. była piękna i mężczyźni jej się przyglądali, usiłowałam pochwycić skierowane na nią męskie spojrzenia, uchwycić chwilę, w której ich oczy zajdą mgłą. Jestem wrażliwa na kobiecą urodę, zawsze byłam. Lubię się im przyglądać, podziwiać je, próbować sobie wyobrażać, jaka krzywizna, jaka wklęsłość, jaki dołek, jaka nieznaczna wada wymowy, jaka niedoskonałość budzą w nich pożądanie.

L. tańczyła niemal bez ruchu, jej ciało balansowało łagodnie, w takt muzyki, dopasowując się do każdej nuty, do każdego niuansu, teraz jej stopy tkwiły przyklejone do podłogi i przestały się ruszać, L. była łodygą, lianą, uległą wobec oddechu, rytmu, i stanowiła bardzo piękny widok.

Później, chociaż nie potrafię dzisiaj uchwycić związku między tymi dwiema chwilami, L. i ja siedziałyśmy przy kuchennym stole nad butelką wódki. Chyba sobie przypominam, że tymczasem jacyś ludzie, których nie znałam, przyszli ze mną porozmawiać, spędziłam z nimi kilka minut, po czym L. podała mi rękę, abym wróciła tańczyć, straciłam z oczu Nathalie, być może pojechała do domu, było tłoczno, a na przyjęciu panowała radosna atmosfera.

Sama nie wiem, jak to się stało, że opowiedziałam L. o kobiecie z targów książki, o poczuciu winy, o nieprzyjemnym gorzkim posmaku, który mnie nie opuszczał. Bezustannie myślałam o tamtej chwili, o mojej reakcji, scena ta zawierała coś, co mnie odpychało, co nie było mną, nie miałam żadnego sposobu, żeby dogonić tę kobietę, przeprosić, podpisać egzemplarz książki. To już się stało, rozegrało się i nie istniała żadna szansa, żeby cofnąć czas.

– W gruncie rzeczy martwi panią nie tylko to, że ta kobieta została zraniona, że być może przejechała wiele kilometrów, aby panią zobaczyć, że zostawiła dzieci pod opieką siostry, że pokłóciła się z mężem, bo zaplanował wyprawę po zakupy i nie pojmował, dlaczego tak bardzo jej zależy na spotkaniu z panią. Nie, dręczy panią to, że teraz ta kobieta może już pani nie lubić.

Jej głos był łagodny, pozbawiony ironii.

– Możliwe – przyznałam.

– Wyobrażam sobie, że chwila, w której akurat się pani znajduje, pewnie nie jest prosta. Komentarze, reakcje, ten nagły blask. Wyobrażam sobie, że musi być w tym niebezpieczeństwo upadku.

Próbowałam zbagatelizować całą sprawę, nie należało także przesadzać.

L. mówiła dalej:

– Co nie przeszkadza, że czasami musi się pani czuć bardzo samotna, tak jakby stała pani zupełnie naga na środku drogi, schwytana w światła reflektorów.

Spojrzałam na nią osłupiała. Przecież właśnie tak się czułam, *zupełnie naga na środku drogi*, i dokładnie tego samego określenia użyłam parę dni wcześniej. Komu ja się z tego zwierzyłam? Mojej wydawczyni? Jakiemuś dziennikarzowi? Jak L. mogła zastosować jota w jotę te same słowa, którymi ja się posłużyłam? Ale czy ja w ogóle komuś o tym powiedziałam?

Do dzisiaj nie mam pojęcia, czy tamtego wieczoru L. powtórzyła coś, co gdzieś wyczytała albo co jej przekazano, czy rzeczywiście to odgadła. Dość szybko musiałam sobie uświadomić, że L. miała niesłychane wyczucie Innego, jakiś dar odnajdowania właściwych słów, mówienia każdemu tego, co chciał usłyszeć. L. nigdy nie omieszkała zadać najbardziej trafnego pytania ani wygłosić uwagi, pokazującej rozmówcy, że jedynie ona jest w stanie go zrozumieć i pocieszyć. L. potrafiła nie tylko dostrzec na pierwszy rzut oka przyczyny zaniepokojenia, ale przede wszystkim wypatrzyć lukę, choćby nie wiadomo jak głęboko ukrytą, jaka tkwi w każdym z nas.

Pamiętam, że objaśniłam jej swoją wizję sukcesu, bez udawania, mając pewność, że moje słowa nie zostaną źle odczytane. Dla mnie sukces książki to wypadek. Dosłownie. Gwałtowne i nieoczekiwane wydarzenie, spowodowane losową zbieżnością rozmaitych niepowtarzalnych

czynników. Niech nie doszukuje się u mnie żadnej fałszywej skromności, oczywiście książka odegrała w całej sprawie pewną rolę, ale stanowiła tylko jeden z parametrów. Inne książki mogłyby odnieść porównywalny, a nawet większy sukces, lecz dla nich okoliczności nie były aż tak sprzyjające, zabrakło jednego czy dwóch czynników.

L. nie odrywała ode mnie wzroku.

– Ale wypadek – rzekła z naciskiem na to słowo, aby podkreślić, że termin do niej nie należy – przyczyna szkód, czasem szkód nieodwracalnych, prawda?

Opróżniłam stojący przede mną kieliszek wódki, który kilkakrotnie mi napełniała, nie byłam pijana, przeciwnie, miałam wrażenie, że osiągnęłam stopień świadomości, który rzadko zdarzało mi się uzyskać. Zrobiło się późno, dom nagle opustoszał, zostałyśmy same w kuchni, w której zaledwie parę minut wcześniej roiło się od ludzi. Uśmiechnęłam się, po czym odparłam:

– To prawda. Sukces książki jest wypadkiem, z którego nie wychodzi się bez szwanku, użalanie się byłoby jednak czymś nieprzyzwoitym. Tego jestem pewna.

Wspólnie wzięłyśmy taksówkę, L. się uparła, odwiezienie mnie to żaden kłopot, mieszkałam na tej samej trasie, nie trzeba nawet nadkładać drogi.

Zamilkłyśmy w samochodzie. Czułam, jak zmęczenie ogarnia moje kończyny, przygniata mi kark, sprawia, że powoli cała drętwieję.

Kierowca zatrzymał się pod moim domem.

L. pogładziła mnie po policzku.

Często zastanawiałam się nad jej gestem, nad tym, jak wiele było w nim łagodności, czułości, może pożądania. Albo może żadnej z tych rzeczy. Tak naprawdę bowiem nic o L. nie wiem i nigdy nie wiedziałam.

Wysiadłam z taksówki, weszłam po schodach i runęłam na łóżko w ubraniu.

Nie zachowałam dokładnych wspomnień dni, które potem nastąpiły, z pewnością zostało mi kilka zobowiązań do wypełnienia: spotkań w księgarniach, w mediatekach, wystąpień w klasach. Usiłowałam ograniczać wyjazdy na prowincję do jednego na tydzień, aby być z dziećmi, i zamierzałam przerwać to wszystko z końcem maja. Nadchodzi moment, kiedy człowiek musi uciszyć wrzawę wokół siebie, zabrać się z powrotem do pracy, wskoczyć znów we własne tryby. Pragnęłam tej chwili równie mocno, jak się jej obawiałam, postarałam się jednak, aby nastąpiła, i odrzuciłam wszelkie zaproszenia po upływie wyznaczonego terminu.

W pewien piątkowy wieczór, wróciwszy po dwudniowej nieobecności (byłam w Genewie gościem klubu czytelniczego), wśród rachunków znalazłam w skrzynce list. Moje imię, nazwisko i adres zostały wydrukowane na nalepce, którą przyklejono u dołu koperty. Wywnioskowałam z tego, że mam do czynienia z przesyłką reklamową, i mało brakowało, abym ją wyrzuciła bez czytania. Na nalepce widniał wypisany dużymi cyframi numer mojego mieszkania, który nie pojawia się na żadnym liście urzędowym. Przez długi czas nie wiedziałam zresztą o jego istnieniu. W rzeczywistości można go znaleźć na małej tabliczce z brązu, przybitej do listwy na klatce schodowej, jakiś metr na lewo od każdych drzwi, obok starych tabliczek Poczty i Telekomunikacji. Potrzebowałam kilku lat, żeby go zauważyć. Moje mieszkanie ma numer 8, mieszkanie sąsiadów numer 5, brak logiki zaś w moich oczach tylko wzmaga ich tajemniczość.

Zaintrygowana rozerwałam kopertę i rozłożyłam znajdujący się wewnątrz list, napisany na maszynie na kartce formatu A4. Kto w dzisiejszych czasach posiada jeszcze maszynę do pisania, właśnie ta myśl przemknęła mi przez głowę, gdy zabierałam się do czytania.

Odtwarzam tu w całości tekst, którego składnię i słownictwo najwyraźniej dobrano w taki sposób, abym nie zdołała określić płci autora.

Delphine,
zapewne myślisz, że jesteś kwita. Myślisz, że w ten sposób ci się upiecze, bo twoja książka to tak zwana powieść, a ty zmieniłaś parę imion. Myślisz, że będziesz mogła dalej wieść swoje żałosne życie. Za późno. Zasiałaś nienawiść, zbierzesz plon. Te zakłamane dupki, które cię otaczają, niby udzieliły ci rozgrzeszenia, chociaż ani im to w głowie, możesz mi wierzyć, są wściekłe i czekają na odpowiednią chwilę, kiedy nadejdzie pora, nie odpuszczą ci. Mam wszelkie powody, żeby to wiedzieć. Podłożyłaś bombę, teraz musisz liczyć szczątki. Nikt tego za ciebie nie zrobi.

Nie odczytaj źle moich zamiarów. Nie chcę ci zrobić krzywdy. Życzę ci wręcz jak najlepiej. Życzę ci powodzenia, opodatkowanego na 75%, bo przypuszczam, że jak wszyscy kawiorowi socjaliści jesteś za lewicą i że zagłosujesz na François Hollande'a.

Sprzedałaś własną matkę i nieźle się obłowiłaś. Trzepiesz kasę, prawda? Rodzinna saga świetnie się sprzedaje, co? Dostajesz maksymalną stawkę?

W takim razie, proszę, prześlij czek.

W tamtym okresie otrzymywałam dużo korespondencji za pośrednictwem mojego wydawnictwa, dziesiątki listów od czytelników, przekazywanych co tydzień w paczuszkach umieszczonych w szarych kopertach. Również e-maili, przekierowywanych na moją skrzynkę ze strony wydawcy.

Po raz pierwszy jednak dostałam anonimowy list na prywatny adres. I po raz pierwszy dostałam list tak przepełniony agresją na temat jednej z moich książek.

Ledwie skończyłam czytać, zadźwięczał mój telefon komórkowy. Wyświetlił się nieznany numer, wahałam się więc, czy odebrać. Przez głowę przemknęła mi myśl, że autor listu i ten, kto dzwoni, to ta sama osoba, chociaż nie było w tym żadnego sensu. Czułam tak ogromne wzburzenie (i ulgę), toteż nie doszukałam się niczego niewłaściwego w tym, że słyszę poważny i lekko przytłumiony głos L., której przecież nie podałam swojego numeru.

Od naszego spotkania L. często o mnie myślała, zaproponowała więc, żebyśmy poszły któregoś dnia, kiedy mi odpowiada, na herbatę, na kawę,

na kieliszek wina czy szklaneczkę jakiegokolwiek wybranego przeze mnie napoju; zdając sobie doskonale sprawę, że jej pomysł może mi się wydać dziwny, trochę zuchwały, roześmiała się i dodała:

– Ale przyszłość należy do sentymentalnych.

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć, nagle stanął mi przed oczami obraz z *Sentymentalnego wilka*, książeczki dla dzieci, którą czytałam moim latoroślom dziesiątki razy, kiedy były małe; jej bohater, Lucas, rozbrykany wilczek, porzuca rodzinę, żeby żyć własnym życiem. Przy pożegnaniu wzruszony ojciec wręcza mu listę pokarmów, które wolno mu jeść – są to: Czerwony Kapturek, trzy małe świnki, koza i koźlątka i tak dalej. Lucas, ubrany w bermudy i sweter z golfem (podaję szczegóły, które podkreślają niezaprzeczalny urok tej postaci), wyrusza na poszukiwanie przygód podekscytowany i ufny. Za każdym jednak razem, gdy spotyka którąś z ofiar znajdujących się na jego liście, daje się udobruchać i zamiast pożreć ją żywcem, idzie swoją drogą. Puściwszy wolno kilka przysmaków na łapach – z którymi nie omieszkał się zaprzyjaźnić – na koniec wygłodniały Lucas wpada na straszliwego Wilkołaka (w moich wspomnieniach jest to Wilkołak od Tomcia Palucha), którego połyka jednym albo prawie jednym kłapnięciem, uwalniając w ten sposób od jego groźby wszystkie słabe stworzenia w okolicy.

Prawdę mówiąc, poza tą bajką nie przychodzi mi na myśl żaden przykład ukazujący radość i szczęście sentymentalnych. Przeciwnie, wydawało mi się, że najczęściej padali oni łupem zboczeńców i despotów.

W każdym razie usłyszałam własny głos mówiący: tak, dlaczego nie, z przyjemnością, coś w tym stylu. Uzgodniłyśmy, że spotkamy się w następny piątek w kawiarni, którą L. znała. W czasie rozmowy kilkakrotnie pytała, czy wszystko w porządku, tak jakby wyczuwała moje wzburzenie na odległość.

Później, gdy chciałam się dowiedzieć, skąd L. wzięła mój numer telefonu, odparła, że ma wystarczające *znajomości*, aby zdobyć numer komórki każdego.

Odnalazłam w terminarzu ślad po owym pierwszym spotkaniu. Obok imienia i nazwiska L. zapisałam jej numer telefonu i adres kawiarni. W tamtym okresie i jeszcze przez jakiś czas mogłam trzymać pióro, moje życie zaś zawierało się w owym czarnym terminarzu *Quo Vadis*, w tym samym modelu od piętnastu lat, wymienianym każdej jesieni. Dzięki tym stronom usiłuję wyobrazić sobie stan umysłu, w jakim się znajdowałam, gdy ujrzałam na nowo L., odtworzyć kontekst. Zdaje się, że w tym samym tygodniu uczestniczyłam w spotkaniu w pewnej paryskiej księgarni, widziałam się w restauracji hotelu Lutetia z badaczką z Krajowego Centrum Badań Naukowych, która przygotowywała pracę o obecności pisarzy w mediach, udałam się na rue Édouard-Lockroy pod numer 12 (adres został zakreślony na zielono bez dokładniejszych wyjaśnień), spędziłam z Serge'em, którego widuję raz, dwa razy do roku, aby dokonać bilansu naszych dzieł i życia, chwilę w restauracji Pachyderme (tego dnia poruszaliśmy kwestię znalezienia idealnego krzesła, Serge przytoczył pocieszną opowieść o własnych przelotnych zachwytach nad rozmaitymi siedziskami i o liczbie odrzucanych krzeseł piętrzących się u niego na klatce schodowej). Dochodzi do tego około dziesięciu spotkań, po których zachowałam mgliste wspomnienie. Wnioskuję stąd, że był to pracowity okres, zapewne musiałam być nieco spięta, co zdarza się, kiedy życie mnie wyprzedza, kiedy galopuje szybciej niż ja. Stwierdzam ponadto, że zaczęłam kurs angielskiego z Simonem. Zresztą właśnie po takiej lekcji spotkałam się z L. w Express Barze.

Niewiele o niej wiedziałam, jako że w wieczór, kiedyśmy się poznały, rozmawiałyśmy głównie o mnie. Po powrocie do domu spostrzeżenie to napełniło mnie uczuciem niepokoju, toteż ledwie usiadłam, zaczęłam od zasypania jej pytaniami, nie dopuszczając do zmiany kierunku, jaki

przybierała nasza rozmowa. Nie uszło mojej uwagi, że miała w zwyczaju prowadzić w tańcu.

L., wytrawny gracz, uśmiechnęła się.

Najpierw wyjaśniła, że pisze za innych. To jej zawód. Spisuje ich wyznania, stany duszy, wyjątkowe historie życia, które tylko czekają, by je opowiedzieć, rzadziej usłaną różami drogę, którą należy przekształcić w epopeję. Kilka lat wcześniej, po pracy w dziennikarstwie, uczyniła z owego pisania profesję. L. była wręcz rozchwytywana przez wydawców i pozwalała sobie nawet na odrzucanie propozycji. Można powiedzieć, że z czasem wyspecjalizowała się w kobiecej autobiografii; aktorki, piosenkarki, kobiety ze świata polityki wyrywały ją sobie. L. zdradziła mi, jak działa rynek: większość dużych zleceń dzielą między siebie trzy, cztery pióra. Najczęściej rywalizuje z dwoma znanymi autorami, którzy poza własną pracą piszą w cieniu. *Celebryccy ghostwriterzy*, wyjaśniła, niewidzialny gatunek literatów, do którego jej zdaniem sama należy. Na okładkach nie widnieją bowiem ani jej, ani ich nazwiska, co najwyżej pojawiają się na pierwszej stronie, przy *współpracy*. Prawdę mówiąc, najczęściej jednak nic ani w środku książki, ani na zewnątrz nie pozwala się domyślać, że rzekomy autor niekiedy nie napisał ani słowa. Wymieniła mi tytuły swoich ostatnich dzieł, wśród których znajdowały się wspomnienia międzynarodowej top modelki i opowieść o niewoli pewnej młodej kobiety, więzionej przez kilka lat. Następnie L. napomknęła o godzinach wywiadów przeprowadzanych z tymi ludźmi w celu zebrania materiału, o czasie potrzebnym do oswojenia ich, o więzi, jaka powoli się rodzi, z początku niepewna, potem coraz silniejsza i pełna ufności. Traktowała ich jako swoich *pacjentów*, rzecz jasna, nie należało tego rozumieć dosłownie, określenie to nie zostało wszakże wybrane przypadkowo, ponieważ jako że w gruncie rzeczy wsłuchiwała się w ich rozterki, sprzeczności, najskrytsze myśli, niektórzy odczuwali nawet potrzebę ucieczki przed jej wzrokiem czy położenia się na kozetce. Najczęściej to ona przychodziła do nich, wyciągała dyktafon i telefon (raz straciła cały dzień pracy, aparat wyłączył się w czasie spotkania, z czego nie zdawała sobie sprawy, od tej pory ubezpieczała się drugim nagraniem), pozwalała, aż napłyną słowa, wspomnienia. Poprzednie lato spędziła na Ibizie, w domu pewnej sławnej prezenterki telewizyjnej, z którą przeżyła w ten sposób wiele tygodni. Dostosowała się do jej rytmu dnia, poznała jej przyjaciół, zlała się z tłem.

Powoli pojawiły się zwierzenia, podczas śniadania, nocnego spaceru, nazajutrz po przyjęciu w opustoszałym domu. L. wszystko nagrywała, godziny banalnych rozmów, w czasie których następowało niekiedy jakieś wyznanie. Po kilku miesiącach pracy właśnie ukończyła książkę. L. lubiła przywoływać tę materię, którą jej ofiarowywano, surową, żywą materię, coś w głębi, co wydawało się częścią Prawdy, wymówiła to słowo kilka razy, albowiem w gruncie rzeczy tylko Prawda się liczy. Wszystko to zaś stanowiło część spotkania, owej szczególnej relacji, jaka tworzyła się stopniowo między nią a nimi. Trudno jej zresztą było kończyć książkę i zaczynać następną, za każdym razem czuła się winna, winna porzucenia, niczym płocha, niezdecydowana kochanka, która zrywa, zanim się znudzi.

Później, w trakcie wieczoru L. powiedziała, że mieszka sama, że jej mąż zmarł dawno temu. Nie zapytałam jak, wydawało mi się, że informacja ta zawiera dodatkową porcję bólu, z którym L. nie była gotowa się zmierzyć. Wyznała, że nie ma dziecka, nie był to żal, albo raczej był to żal, na który nie mogła sobie pozwolić, żal, który odsunęła od siebie jak truciznę. Czy trzeba było powodów, usprawiedliwień, nie zdarzyło się, to wszystko. W tej chwili uświadomiłam sobie, że nie jestem w stanie określić jej wieku, L. mogła mieć równie dobrze trzydzieści pięć, jak i czterdzieści pięć lat, należała do tych dziewcząt, które mają wygląd kobiet przed innymi, i do tych kobiet, które na zawsze pozostają dziewczętami. L. zapytała, czy mieszkam z François (wymieniła jego imię, pamiętam), wyjaśniłam jej powody, dla których zdecydowaliśmy się pozostać każde u siebie, dopóki dzieci mieszkają z nami. Tak, z pewnością bałam się przyzwyczajenia, wyczerpania, rozdrażnienia, kompromisów, wszystkich tych jakże banalnych rzeczy, które przytrafiają się kochającym się ludziom po kilku latach wspólnego życia, przede wszystkim jednak obawiałam się zagrożenia dla równowagi. A poza tym wydawało mi się, że w naszym wieku, kiedy to każde z nas dźwiga swój przydział porażek i rozczarowań, żyjąc w ten sposób, dajemy i otrzymujemy to, co w nas najlepsze.

Lubię tę łatwość rozmowy, którą odczuwamy przy pewnych osobach, to przechodzenie od razu do istoty tematu. Lubię rozmawiać o sprawach fundamentalnych, emocjonalnych, nawet z przyjaciółmi, których widuję

raz, dwa razy do roku. U Innego (a często u kobiet) lubię tę zdolność do przywoływania tego, co intymne, jednocześnie nie będąc bezwstydnym.

Siedziałyśmy tak naprzeciw siebie w owej kawiarni, L. nie zachowywała się już tak uwodzicielsko, odrobinę napastliwie jak na przyjęciu, sprawiała wrażenie, że coś w niej złagodniało. Byłyśmy dwiema kobietami, które zawierają znajomość, dzielą pewną ilość niepokojów i natychmiast dostrzegają łączące je podobieństwa. Wydaje mi się to zawsze banalne i zarazem cudowne. Rozmowa nabrała lżejszego charakteru. Przypominam sobie, że L. dość szybko skłoniła mnie do opowiedzenia o moich przyjaciółkach. Kim są, skąd pochodzą, jak często się z nimi kontaktuję? To miła memu sercu kwestia, o której mogłabym rozprawiać godzinami. Poznałam swoje przyjaciółki w przedszkolu, w szkole podstawowej, w gimnazjum, w liceum, na kursie przygotowawczym do egzaminów, wszędzie tam, gdzie uczęszczałam. Spotkałam swoje przyjaciółki w rozmaitych firmach, w których pracowałam, dwie z nich zaś na festiwalach bądź na targach książki. Jestem kimś, kto się przywiązuje, nie da się zaprzeczyć, i to na stałe. Niektóre przyjaciółki opuściły Paryż dawno temu, inne tu wróciły. Poznałam nowe. Podziwiam je wszystkie z różnych powodów, chcę wiedzieć, co się z nimi dzieje, przez co przechodzą, co je wzrusza, mimo że jesteśmy bardzo zajęte. Lubię też, gdy moje przyjaciółki się spotykają, część z nich nawiązała między sobą przyjaźnie, które dzisiaj nie mają już ze mną nic wspólnego.

Właśnie to próbowałam wyjaśnić L., a także to, jak każda z nich liczyła się dla mnie na swój jedyny, wyjątkowy sposób, kiedy zapytała:

– Ale żadna nie dzwoni do ciebie każdego dnia? Żadna nie dzieli z tobą codzienności?

Nie, żadna nie była obecna z równą regularnością. Wydawało mi się to czymś naturalnym. Z biegiem czasu nasze stosunki uległy zmianie. Z pewnością oddaliłyśmy się od siebie, ale przez to nasza zażyłość wcale nie straciła na sile. Każda z nas miała własne życie. A ponadto odnajdywałyśmy się zawsze z ogromną łatwością, dotyczyło to każdej z nich, zarówno tych najstarszych, jak i tych nowych. Owa zdolność do natychmiastowej bliskości, nawet jeśli nie widziałyśmy się kilka tygodni albo miesięcy, nie przestawała mnie zresztą zadziwiać. Moje nierozerwalne przyjaźnie przekształciły się w więź luźniejszą, mniej zaborczą, dającą się pomieścić w życiu złożonym z innych więzi.

L. wydawała się zdziwiona. Jej zdaniem dorosła kobieta nie może mieć kilku przyjaciółek. Kilku *prawdziwych* przyjaciółek. Nie miała na myśli kumpelek, lecz *tę* osobę, z którą można wszystko dzielić. Jedyną. Osobę, która może wszystko usłyszeć, wszystko zrozumieć, która nie osądza. Powiedziałam, że ja mam takich kilka. Każdą z tych znajomości cechują własna tonacja, rytm i częstotliwość, ulubione tematy i tabu. Moje przyjaciółki różniły się między sobą i dzieliłam z nimi odmienne sprawy. Każda liczyła się dla mnie w jedyny sposób. L. chciała się dowiedzieć więcej. Jak mają na imię, jaki wykonują zawód, żyją same czy w związku, czy mają dzieci?

Gdy usiłuję odtworzyć dzisiaj tę rozmowę, kusi mnie myśl, że L. robiła rozpoznanie terenu, oceniała swoje szanse na zwycięstwo. W gruncie rzeczy jednak wcale nie mam pewności, czy wszystko było takie oczywiste. W L. drzemała autentyczna ciekawość, głębokie i odświeżane zainteresowanie, ja zaś nie miałam żadnego powodu, by się go wystrzegać.

Rzadko zdarzają się ludzie, którzy zadają prawdziwe, istotne pytania.

Zapadł wieczór, kelnerka zapaliła świeczki na każdym stoliku. Wysłałam do dzieci SMS-a, aby uprzedzić, że trochę się spóźnię i żeby nie czekały na mnie z kolacją.

Wszystko było proste.

Później, kiedy wyjmowałam z torebki długopis, aby zapisać coś na kartce, zapewne jakiś adres albo nazwę sklepu, L. uśmiechnęła się do mnie.

– Ja też jestem leworęczna. Wiesz, że leworęczni rozpoznają się nawzajem?

Tamtego wieczoru L. nie mówiła ani o mojej książce, ani o mojej przyszłej pracy.

L. kroczyła bezszelestnie, miała mnóstwo czasu.

W okresie gdy poznałam L., zamierzałam napisać powieść, dla której tłem albo punktem wyjścia byłoby reality show. Od dawna krążyłam wokół tego zjawiska i w ciągu minionych dziesięciu lat zgromadziłam pokaźną dokumentację. W roku 2001, na kilka miesięcy przed wejściem na ekrany słynnej *Loft Story*, oglądałam nadawany na TF6 program, którego założenie mnie fascynowało (w porównaniu z tym, z czym mamy do czynienia dzisiaj, wydaje się całkiem nijaki): trzy drużyny składające się z trojga bardzo młodych ludzi zamknięto w oddzielnych, zupełnie pustych mieszkaniach. Uczestnicy musieli przejść przez pewną liczbę prób; uzależniono od nich czas połączenia z internetem, za pośrednictwem którego się meblowali i robili zapasy żywności. Po raz pierwszy we Francji ludzi filmowało przez dwadzieścia cztery godziny na dobę wiele kamer. Z tego co wiem, absolutnie pierwszym reality show nadawanym we Francji były *Przygody w Sieci*. Przez przypadek, co wyleciało mi z głowy, udało mi się poznać któregoś z uczestników gry – przyjaźnił się z synem jednego z moich przyjaciół. Kiedy pożegnał się z programem, opowiedział mi o przeżytym doświadczeniu. Ciekawiło mnie wówczas, w jaki sposób ci młodzi ludzie po kilku tygodniach zamknięcia wracają do prawdziwego życia. Wydawało mi się, że stoimy u progu rewolucji telewizyjnej, daleka byłam wszakże od wyobrażenia sobie jej zasięgu. A potem w audiowizualny pejzaż wdarł się z hukiem *Loft* i przez parę miesięcy rozmawiało się wyłącznie o tym. Chyba nie opuściłam żadnego wieczoru, kiedy to w najlepszym czasie antenowym pokazywano odcinki pierwszego sezonu, przy czym moja gorliwość wzięła w końcu górę nad pragnieniem pisania.

Po kilku latach, podczas gdy reality show nie przestawały przesuwać granic pustki i podglądactwa, odczuwana przeze mnie fascynacja przeniosła się na coś innego. Poza samymi kandydatami i tym, co działo się z ich

psychiką, interesował mnie sposób, w jaki programom tym udawało się scharakteryzować postacie, skłonić je do przeżywania relacji bądź sytuacji bardziej lub mniej zgodnych ze scenariuszem (albo do odtworzenia ich przy montażu), jednocześnie zapewniając widzowi złudzenie rzeczywistości. W jaki sposób owe związki, napięcia, konflikty – wymyślone i rozplanowane przez niewidocznych demiurgów – przybierały postać Prawdy?

Za pośrednictwem pewnej przyjaciółki skontaktowałam się z producentką, która pracowała przez kilka sezonów z rzędu nad jednym ze sztandarowych programów tego typu. Opuściła stację, która ją zatrudniała, miałam więc nadzieję, że poczuje się wolna i opowie mi parę anegdot. Przez telefon sprawiała wrażenie nader chętnej i oznajmiła bez wahania:

– Oczywiście, że tworzymy postacie! Najlepsze jest jednak to, że tworzymy je bez wiedzy osób, które się w nie wcielają.

W okresie gdy poznałam L., od jakiegoś czasu robiłam zapiski w notesach pod kątem zaplanowanej powieści, która miała poruszać tę kwestię albo się na niej opierać. Zbierałam materiały. Postępowałam niemal zawsze w taki oto sposób: najpierw szukać, potem pisać (co oznacza, rzecz jasna, inny rodzaj szukania). Była to dla mnie faza zanurzania się, przesiąkania, w czasie której gromadziłam amunicję. W epoce dokumentacji czekałam przede wszystkim na impuls: impuls, po którym nabrałabym ochoty do wymyślania, do tworzenia, który prowadziłby mnie każdego poranka do zapisanego w Wordzie pliku, z kolei strzeżenie owego pliku wkrótce stałoby się obsesją.

Wszystko to było sprawą iskry, błysku. Następnie przychodził czas na pisanie, miesiące samotności przed komputerem, walka gołymi rękami, w której zwycięstwo mogła przynieść jedynie wytrwałość.

Pozostało mi kilka tygodni przed odnalezieniem czasu i przestrzeni umysłowej niezbędnych do zabrania się do pracy. Louise i Paul zdawali maturę, chciałam zostać przy nich, być na każde zawołanie. Zamierzałam rozpocząć nową książkę po lecie, kiedy wszyscy zabiorą się z powrotem do pracy, przy pierwszych oznakach jesieni.

Oczywiście przeczuwałam, że to nie będzie takie proste. Musiałabym wejść w odpowiednie tryby, odnaleźć nieuchwytne boje wyznaczające moją trasę, ową niewidzialną nić, łączącą jeden tekst z drugim – wydaje nam się,

że ją trzymamy, lecz ona bez przerwy nam się wymyka. Musiałabym odsunąć na bok wszystko, co usłyszałam i otrzymałam, o czym się mówiło bądź pisało, wątpliwości i lęk. Wiedziałam to. Od tej pory wszystko to stanowiło rodzaj równania z wieloma niewiadomymi, któremu zmuszona byłam się podporządkować i znałam przynajmniej pierwszy krok do jego rozwiązania: należało się znów wyciszyć, wyobcować, ponownie zbudować wokół siebie bańkę.

Miałam przed sobą kilka tygodni, nie byłam już tak bardzo zajęta ani zmęczona, spędzałam czas w domu z dziećmi, jeździłam do François, kiedy tylko mogłam, albo on przyjeżdżał do mnie. Sprawy toczyły się własnym rytmem. Odnosiłam wrażenie, że znajduję się w stanie zawieszenia, w jednej z owych przejściowych stref pełnych niejasnego oczekiwania, wyznaczających granicę pewnego okresu, aby zrobić miejsce dla następnego. W jednej z tych chwil, kiedy ze strachu przed krótkim spięciem człowiek pilnuje, żeby poszczególne elementy się nie zazębiały, nie wchodziły ze sobą w kolizję i żeby to, co ma się stać, się wypełniło.

Pilno mi było zamilknąć.

Jeśli wierzyć terminarzowi, w tamtym okresie widziałam się z L. wielokrotnie. Nie pamiętam dokładnie, w jaki sposób ponownie nawiązałyśmy kontakt. Przypuszczam, że po wieczorze spędzonym w Express Barze jedna zadzwoniła do drugiej. Zdaje się, że L. wysłała mi e-mailem jeden czy dwa adresy, o których rozmawiałyśmy. Zaprosiła mnie na sztukę teatralną, na którą wszystkie bilety były wyprzedane od wielu tygodni, a mnie nie udało się zdobyć wejściówek. Przypominam sobie, że innym znów razem poszłyśmy na kawę do baru przy rue Servan; zatelefonowała, będąc pod moim domem, zakończywszy akurat spotkanie w okolicy. Okazując mi względy na różne sposoby, L. dała dowód, że pragnie, aby nasza znajomość nie skończyła się tylko na tych pierwszych wypadach.

Na początku maja L. zaproponowała mi wyjście do kina. Jakiś czas wcześniej opowiadałam jej o tym, jak bardzo chciałabym oglądać filmy w środku popołudnia, o owej studenckiej przyjemności, którą odczuwałam na nowo, opuściwszy firmę, i wrażeniu, że robię coś niedozwolonego, siedząc dwie godziny w ciemnościach, z dala od biurka. Lubiłam wybrać

się do kina w towarzystwie innych ludzi, a potem rozmawiać o filmie tuż po seansie, w owej nieco płynnej, niekiedy przepełnionej wzruszeniem chwili, która następuje po projekcji, lubiłam jednak także chodzić sama, aby nic nie zakłóciło pierwszych wrażeń, aby nic nie zniweczyło tej możliwości poddania ciała drżeniu, gdy światła właśnie znów się zapalają, a na ekranie przewijają się napisy, być sama, aby ów moment się rozciągnął, trwał dłużej, siedzieć w atmosferze, jaką roztaczał film, chłonąć bez reszty jego nastrój. Przeprowadziłyśmy tę rozmowę w czasie jednego z pierwszych wspólnych wypadów, L. wyznała, że nie znosi chodzić do kina w pojedynkę: wydaje jej się wtedy, że wszyscy na nią patrzą. Z tego też zresztą powodu poprosiła, żebym wybrała się razem z nią na *17 dziewczyn*, pierwszy długi metraż Delphine i Muriel Coulin. Film pojawił się tuż przed Bożym Narodzeniem, nie mogła go obejrzeć z powodu pilnego tekstu, który musiała oddać, na szczęście grano go jeszcze przez parę dni w jakimś kinie w Dzielnicy Łacińskiej. Twórczość literacka Delphine Coulin była mi znana i gdzieś wyczytałam, że napisała scenariusz do tego filmu i zrealizowała go wraz z siostrą. Podoba mi się pomysł twórczych rodzeństw, kusiło mnie więc, żeby zobaczyć film.

Nie znajduję w terminarzu żadnego śladu po tym spotkaniu, zapewne nastąpiło niespodziewanie tego samego dnia, co tłumaczy, dlaczego go nie zapisałam. Umówiłyśmy się przed kinem, L. przyszła przed czasem i zajęła miejsca.

Film opowiada historię siedemnastu nastolatek z tego samego liceum, które postanawiają równocześnie zajść w ciążę. Inspiracją były prawdziwe wydarzenia, jakie miały miejsce w roku 2008 w Gloucester, w Stanach Zjednoczonych. Siostry Coulin przeniosły fabułę do małego miasta w Bretanii. Film jest piękny, nabrzmiały pełną oczekiwań tęsknotą, pewną formą znudzenia, które nie ma nazwy, pragnieniem udania się gdzie indziej, które zdaje się nigdy nie przybrać konkretnej postaci. Sceny dziewcząt siedzących nieruchomo we własnych pokojach to melancholijne obrazy, które nadają filmowi rytm niczym wsteczne odliczanie. Same w sobie ukazują ów moment, który nie stanowi już części dzieciństwa, tym bardziej też nie należy do wieku dorosłego, owo niejasne, niepewne pomiędzy. Dla tych dziewcząt bycie w ciąży to akt wolności, obietnica innego życia. Poza ciążami, których nieustannie przybywa, film opowiada również historię wywierania wpływu. Otóż Camille, która pierwsza zachodzi w ciążę, jest

gwiazdą liceum. To jedna z tych, które ślepo się naśladuje, do której tak bardzo chciałoby się upodobnić. Jedna z tych nastoletnich idolek, które dobrze znaliśmy, a które w końcu znikają i nie wiadomo, co się z nimi stało. Gdy rozbłysły światła, odwróciłam się do L., wydała mi się nieco spięta. Od razu dostrzegłam, jak zacisnęła szczęki, przez policzek przepływały jej powolne drgania, a to tworząc dołek, a to lekkie wybrzuszenie tuż nad uchem, podczas gdy reszta twarzy pozostała niewzruszona. Kiedy wyszłyśmy, zaproponowała, że mnie odprowadzi. Wyjątkowo wzięła samochód, nie miała zwyczaju jeździć nim po Paryżu, ale wracała właśnie ze spotkania pod miastem i nie zdążyła odstawić go na parking. Zgodziłam się.

L. znalazła parking w pobliżu kina, szłyśmy w milczeniu obok siebie. Zająwszy miejsce w samochodzie i zapiąwszy pas, L. otworzyła szybę po swojej stronie. Z początku zatrzymała ją w połowie wysokości, po czym opuściła aż do dołu. Do środka wpadło powietrze. L. tkwiła tak kilka sekund, patrząc prosto przed siebie, widziałam, jak bluzka unosi się jej przy każdym wdechu. Po chwili wreszcie przemówiła:

– Przepraszam cię, nie jestem w stanie ruszyć.

Trzymając obie dłonie na kierownicy, usiłowała zaczerpnąć głęboko powietrza, jej oddech był jednak krótki, przerywany.

– To przez film?

– Owszem, przez film, ale nie przejmuj się, zaraz przejdzie.

Czekałyśmy. L. wpatrywała się w jezdnię, zupełnie jakby samochód pędził po drodze ekspresowej z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Próbowałam rozładować sytuację. Ja także byłam wrażliwa na tego typu reakcje. Na filmy, które eksplodują z opóźnieniem, przy napisach. Znałam to uczucie, przytrafiło mi się wielokrotnie, zmuszając wręcz do tego, że przysiadłam na krawędzi chodnika, nie mogąc się ruszyć (*Strach na wróble* Jerry’ego Schatzberga), albo nie potrafiłam wykrztusić słowa (*Lilie wodne* Céline Sciammy). Rozumiałam doskonale. Czasami film rezonuje nam w trzewiach. Dla odprężenia opowiedziałam L. o dniu, kiedy obejrzałam po raz pierwszy *Godziny*, nakręcone na podstawie powieści Michaela Cunninghama. Chociaż w czasie projekcji nie uroniłam ani jednej łzy, zaraz po zakończeniu filmu się załamałam. To przyszło nagle, bez żadnych sygnałów ostrzegawczych, rozpłakałam się gorącymi łzami,

niezdolna wyjść z sali ani cokolwiek wyjaśnić ojcu moich dzieci, któremu padłam w ramiona.

Wyraźnie coś pękło w moim systemie wewnętrznej ochrony.

Usiłowałam pośmiać się odrobinę z samej siebie w nadziei, że trochę ją rozerwę. L. słuchała uważnie, widziałam jednak wyraźnie, że nie może ani się uśmiechnąć, ani przytaknąć, całe jej ciało najwyraźniej zmobilizowało się w próbie odzyskania kontroli.

Zanim przekręciła kluczyk w stacyjce, upłynęło w milczeniu jeszcze kilka minut, i kolejnych kilka, zanim zapaliła silnik.

W drodze powrotnej także nie zamieniłyśmy ani słowa, przewijałam sobie w głowie sceny z filmu, które mnie poruszyły, szukając wskazówki, co mogło nią wstrząsnąć aż do tego stopnia. Nie wiedziałam dość na temat L., aby zrozumieć, co stało się punktem uderzenia. Pamiętam jednak, że przyszła mi na myśl postać Florence, młodej, rudowłosej, trochę nieprzyjemnej kobiety, którą poznajemy na początku filmu, a którą pozostałe dziewczęta trzymają na dystans. To ta, z której się drwi, nieco niezdarna, nieco śmieszna, chociaż naprawdę nie wiadomo, dlaczego ani gdzie pojawia się owa fałszywa nuta, z której powodu zostaje odrzucona. To Florence pierwsza zwierza się Camille, że też jest w ciąży. Macierzyństwo otwiera jej drzwi do grupy, z której ją wykluczono, Florence rozpoczyna zaś bezwiednie ruch naśladownictwa. W ciążę zachodzą kolejne dziewczęta, potem jeszcze następne. Później, w scenie odznaczającej się dużym okrucieństwem, dziewczyny odkrywają, że ciąża Florence to oszustwo, wszystko jest jedynie kłamstwem, aby należeć do kręgu, który wyrzuca ją wówczas brutalnie poza nawias.

L. zatrzymała się pod moim domem. Uśmiechnęła się i podziękowała mi. Zapewne za pomocą zdania: „Dziękuję, że pani ze mną poszła”, lecz wypowiedzianego takim tonem, jakbym towarzyszyła jej właśnie przy bolesnym badaniu w szpitalu albo przy otrzymywaniu wiadomości o poważnej chorobie.

Coś mnie ku niej popchnęło, zapragnęłam wziąć ją w ramiona.

Przypominam sobie, jak wiedziona osobliwym przeczuciem pomyślałam w duchu, że L. nie zawsze była tą czarującą i wyrafinowaną kobietą, którą miałam przed sobą. Coś w niej, coś ukrytego, ledwie

uchwytnego, wskazywało, że L. powraca z daleka, z jakiegoś ciemnego i błotnistego miejsca, i że uległa fenomenalnej metamorfozie.

Począwszy od tamtego dnia, widywałyśmy się coraz częściej.

L. mieszkała dwa kroki ode mnie. Pracowała w domu, sama układała swój plan dnia i decydowała, jak wykorzysta czas. L. dzwoniła do mnie, bo akurat przechodziła pod moimi oknami, bo właśnie przeczytała książkę, o której miała ochotę mi opowiedzieć, bo dopiero co odkryła spokojne miejsce, żeby napić się herbaty. Wtopiła się w moje życie, albowiem miała swobodę zjawiania się i odchodzenia, albowiem pozwalała sobie na to, co nieprzewidziane i niespodziewane, albowiem oznajmienie: jestem na dole, było dla niej czymś normalnym, tak jakbyśmy miały po piętnaście lat, czekam na skrzyżowaniu, spotkanie przed piekarnią, przed Monoprixem, na stacji Réaumur-Sébastopol, dziś po południu muszę sobie kupić kurtkę, chodź, pomóż mi wybrać lampę na biurko. L. lubiła decydować o wszystkim w ostatniej chwili, zmieniać plany, odwoływać spotkania, aby przedłużyć przyjemność bycia razem, zamówić deser czy po prostu nie przerywać interesującej ją rozmowy. L. pielęgnowała rodzaj natychmiastowej gotowości, co czyniło ją w moich oczach wyjątkową, jako że od dawna usiłowałam uśmierzyć własny niepokój, starając się bardziej lub mniej skutecznie przewidywać.

Podziwiałam L. za zdolność do sprzeciwu wobec przymusu, do postrzegania przyszłości wyłącznie natychmiast. Dla niej istniała chwila obecna i chwila tuż po niej, poza tym nie było nic bardziej istotnego ani bardziej pilnego. L. nie nosiła zegarka i nigdy nie sprawdzała godziny na komórce. Była całą sobą tu i teraz i zachowywała się w ten sposób w każdych okolicznościach. Był to wybór, sposób istnienia w świecie, odmowa jakiejkolwiek formy odwrócenia uwagi, rozproszenia. Zdarzyło mi się spędzić całe popołudnie na rozmowie z nią, kiedy to ani razu nie przejęła się upływem czasu, i chyba przez te dwa lata ani razu nie słyszałam, żeby dzwonił jej telefon.

L. nigdy nie przekładała spotkań: rzeczy działy się w określonej chwili albo w ogóle nie miały miejsca. L. żyła *teraz*, tak jakby wszystko mogło się skończyć jeszcze tego samego dnia. L. nigdy nie mawiała: „Zdzwonimy się, żeby się umówić” czy „Spróbujmy się spotkać przed końcem miesiąca”.

Była gotowa od razu, bez czekania. To, co zostało wzięte, przestawało być do wzięcia.

Podziwiałam jej determinację i chyba u nikogo innego nie zauważyłam takiej obecności w danym momencie. L. od dawna wiedziała, co jest dla niej ważne, czego jej potrzeba i przed czym powinna się chronić. Dokonała pewnego rodzaju selekcji, pozwalającej jej określić bez ogródek własne priorytety oraz elementy zakłócające, które definitywnie wykluczyła ze swego otoczenia.

Jej sposób życia – z tego, co zdążyłam dostrzec – jawił mi się jako wyraz wewnętrznej siły, którą ma w sobie niewielu ludzi.

Pewnego dnia L. zadzwoniła do mnie o siódmej rano, bo właśnie się zorientowała, że jej cyfrowy dyktafon się zepsuł. O wpół do dziewiątej była umówiona na spotkanie z kobietą politykiem, dla której zaczęła pracować. Nie miała żadnych szans na znalezienie otwartego sklepu i chciała zapytać, czy pożyczę jej własny dyktafon. Spotkałyśmy się pół godziny później w jednym z barów. Patrzyłam, jak przechodzi przez ulicę, przyglądałam się jej jakże stabilnym, jakże pewnym krokom pomimo butów na obcasach; jej jasne, zebrane do góry i spięte grzebykiem włosy uwypuklały długą szyję i wytwornie uniesioną głowę, wydawała się zatopiona w rozmyślaniach. Bez wątpienia stawianie jednej stopy za drugą było jej najmniejszym zmartwieniem. (Dla mnie to czasami największy problem). Gdy weszła do środka, oczy wszystkich skupiły się na niej, ruszała się tak, że nie sposób było ją zignorować. Doskonale pamiętam tę chwilę, ponieważ pomyślałam sobie: jest wpół do ósmej rano, a ona wygląda jak spod igły. Ani jednego zagniecenia czy fałdki, wszystko dokładnie na swoim miejscu, a mimo to w L. nie było śladu sztywności czy sztuczności. Policzki miała zarumienione od zimna albo od różu w naturalnym kolorze, rzęsy pociągnięte lekkim tuszem. Uśmiechnęła się do mnie. Emanowała prawdziwą zmysłowością, czymś, w czym były jakaś swoboda, łatwość. W moich oczach L. ucieleśniała ową tajemniczą mieszaninę ruchu i przepychu.

Dawno już pogodziłam się z myślą, że nie jestem jedną z tych nieskazitelnych, wzorowych kobiet, którą pragnęłam być. U mnie wiecznie coś wystawało, sterczało albo opadało. Miałam dziwne włosy, sztywne i zarazem kręcone, nie potrafiłam utrzymać szminki na ustach dłużej niż

przez godzinę, poza tym późną nocą zawsze nadchodził moment, kiedy tarłam oczy, zapominając o tuszu na rzęsach. Jeśli bardzo się nie pilnowałam, obijałam się o meble, potykałam na schodach, na krawężnikach, myliłam piętra, wracając do domu. Nauczyłam się żyć z tym i z całą resztą. Lepiej było się z tego śmiać.

Tamtego poranka jednak na widok zbliżającej się L. pomyślałam, że muszę się od niej sporo nauczyć. Gdybym poświęciła czas na przyglądanie się jej, być może mogłabym wychwycić coś, co zawsze mi umykało. Często się z nią widując, zrozumiałabym, jak udaje jej się mieć to wszystko naraz: wdzięk, pewność siebie i kobiecość.

Potrzebowałam dziesięciu lat, żeby trzymać się prosto, i prawie tyle samo, żeby nosić obcasy, w końcu mogłam pewnego dnia stać się tego rodzaju kobietą.

Tamtego poranka L. usiadła na stołku obok mnie. Miała na sobie prostą, dość obcisłą spódnicę, mogłam dostrzec zarys jej mięśnia udowego pod tkaniną. Włożyła ciemne pończochy z lekkim połyskiem. Siedziała wyprostowana, ja zaś podziwiałam jej postawę, podkreślającą krągłość piersi, których można się było domyślać pod bluzką, sposób, w jaki rozchylała ramiona, akurat tyle, ile trzeba, aby wyglądało to naturalnie, niemal nonszalancko. Przyszło mi na myśl, że powinnam się nauczyć tak zachowywać, ponadto także nogi, założone jedna na drugą mimo wąskiej spódnicy, i ciało L. w równowadze na barowym stołku stanowiły nieruchomą choreografię, która obywała się bez muzyki i przyciągała spojrzenia. Czy przy braku naturalnych predyspozycji możliwe było naśladowanie takiej pozy?

Minęło wpół do ósmej rano, zadowoliłam się wzięciem prysznica i włożeniem dżinsów, swetra oraz krótkich botek, przeczesałam palcami włosy. L. zerknęła na mnie i znów się uśmiechnęła.

– Wiem, o czym myślisz. Ale się mylisz. Istnieje ogromna różnica między tym, co czujesz, sposobem, w jaki sama się postrzegasz, a widokiem, jaki sobą przedstawiasz. Wszyscy nosimy ślad spojrzenia, jakim obdarzono nas, kiedy byliśmy dziećmi czy nastolatkami. Nosimy je na sobie, owszem, niczym plamę, dostrzegalną tylko dla niektórych ludzi. Kiedy na ciebie patrzę, widzę wytatuowane w twojej skórze piętno drwiny i sarkazmu. Widzę, jakim spojrzeniem cię obdarzano. Pełnym nienawiści i nieufności. Ostrym i pozbawionym wyrozumiałości. Spojrzeniem, pod

którym trudno jest zbudować samego siebie. Tak, ja je widzę i wiem, skąd się wzięło. Ale wierz mi, niewielu ludzi je dostrzega. Niewielu ludzi jest w stanie je odgadnąć. Ponieważ doskonale to ukrywasz, Delphine, dużo lepiej, niż sądzisz.

Najczęściej L. trafiała w samo sedno. Nawet jeśli w jej ustach wszystko brzmiało zazwyczaj bardziej dramatycznie, niż było w istocie, nawet jeśli miała skłonność do plątania rzeczy, zawsze tkwiło w tym ziarno prawdy.

Wydawało się, że L. wie o mnie wszystko, chociaż nie powiedziałam ani słowa.

Kiedy tak próbuję wytłumaczyć, w jaki sposób przywiązałam się do L., nazwać poszczególne etapy tej więzi, z pamięci wyłania się inna chwila, która nastąpiła mniej więcej w tym samym okresie.

Otóż w Noc Muzeów poszłyśmy obejrzeć pewną wystawę, potem zaś w kawiarni obok zamówiłyśmy po *croque-monsieur*. Padał gęsty deszcz, zaczekałyśmy więc, aż przestanie. Gdy wsiadałyśmy z powrotem do metra, zrobiło się dość późno. Siedziałyśmy obok siebie przy drzwiach, na strapontenach. Pociąg był pełen, nie aż tak jednak, żebyśmy musiały wstać. Wsiadła jakaś para: mężczyzna i kobieta. Ona natychmiast uczepiła się poręczy tuż przed nami. „Uczepiła się”, właśnie to słowo przyszło mi do głowy na jej widok; sprawiała wrażenie, że z trudem trzyma się na nogach. Mężczyzna był od niej starszy. Czym prędzej podjął monolog, który najwyraźniej rozpoczął na peronie, mówił głośno, spora część pasażerów wagonu mogła go usłyszeć. Kobieta miała spuszczoną głowę, lekko przygarbione ramiona. Wprawdzie trudno mi było dojrzeć jej twarz, ale odniosłam wrażenie, że jej ciało kurczy się pod naporem słów. Mężczyzna robił jej wymówki z powodu zachowania podczas kolacji, z której właśnie wyszli. Rozwścieczony, z grymasem wstrętu na ustach, skandował zdania, jakby wygłaszał przemówienie polityczne, zachowujesz się jak jakaś niemota, mówisz jak niemota, robisz mi obciach (odtwarzam niemal słowo w słowo, chyba niczego nie pominęłam, byłam tak osłupiała z powodu napastliwości tego mężczyzny i publicznego poniżenia, jakie zaserwował tej kobiecie). Ludzie się rozstąpili, niektórzy zmienili miejsce. Mężczyzna nie złagodniał ani trochę i mówił dalej:

– Tylko ty jedna nie zdajesz sobie z tego sprawy, Magali, wszyscy byli zażenowani, ależ tak, i każdy zastanawiał się w duchu: po co on się pałęta

z taką dziewczyną? Na kilometr czuć, że coś z tobą nie tak, co mam ci powiedzieć, człowiek panikuje na sam widok. I to nawet wcale nie wtedy, kiedy zaczęłaś ględzić o pracy, bo co ci się wydaje, że ludzi interesuje życie jakiejś biednej przedszkolanki, ale ludzie mają to w dupie, wszyscy mają to w dupie, myślisz, że to ludzi interesuje?

L. spoglądała na mężczyznę, chociaż nie dyskretnie, ukradkiem, jak czyniliśmy to my wszyscy. L. wpatrywała się w mężczyznę z ostentacją, z twarzą uniesioną ku niemu jak w teatrze. Zacisnęła szczęki, pulsowanie powróciło, żłobiło nieregularnie mały dołek w policzku.

– No nie, popatrz no tylko, jak ty stoisz, to nie do wiary, wyglądasz zupełnie jak garbata. Ach tak, byłbym zapomniał, przecież to ty dźwigasz całą nędzę tego świata, Magali, ha, ha, ha, a to dobre, ależ tak, jaśnie pani dźwiga wszystkie nieszczęścia na tej planecie, a Bóg jeden wie, że jest ich sporo: dzieciaki, których rodzice to nielegalni imigranci, dzieciaki, których rodzice stracili robotę, dzieciaki, których rodzice są stuknięci, i tak dalej, ale uwaga, codziennie o szesnastej trzydzieści, po porządnym podwieczorku jaśnie pani spokojniutko wraca do domu! No nie, czyś ty się przejrzała w lustrze, Magali? Brakuje ci tylko fartucha i będziesz wyglądała jak sprzątaczka.

Właśnie zatrzymaliśmy się na stacji Arts et Métiers. L. wstała, była bardzo spokojna, każdy jej ruch wydawał się zaplanowany wcześniej z dokładnością do jednego milimetra, stanęła przed mężczyzną, dokładnie naprzeciwko, wbiła wzrok w jego źrenice, bez słowa. Mężczyzna przestał mówić, szepty wokół nas umilkły. W wagonie zapadła osobliwa cisza. L. patrzyła mężczyźnie prosto w twarz, nie spuszczała go z oczu, tymczasem kilku pasażerów wysiadło i kilku wsiadło. Mężczyzna mruknął: co tej wariatce odbiło, rozległ się sygnał zamykania drzwi.

Wtedy L. stanowczym gestem, ze zdumiewającą szybkością wypchnęła mężczyznę na peron. Upadł do tyłu, przytrzymał się, drzwi zamknęły się, zanim to do niego dotarło. Widzieliśmy przez szybę jego ogłupiałą, pełną niedowierzania minę. Wrzasnął: podła dziwka, po czym jego postać zniknęła.

Wówczas L. odwróciła się do młodej kobiety i wypowiedziała zdanie, które zapamiętałam na zawsze:

– Nie musi pani tego znosić, nikt nie musi tego znosić.

Nie była to prośba ani słowa pocieszenia. To był rozkaz. Kobieta usiadła nieco dalej, najwyraźniej jej ulżyło. Po paru minutach zobaczyłam, że się uśmiecha, zatopiona w myślach, po czym zaśmiała się cicho, krótko, sucho, niemal z poczuciem winy. Wydało mi się, że się trochę wyprostowała.

Nawet dzisiaj trudno mi wytłumaczyć, jakim cudem nasza znajomość rozwinęła się tak szybko i jak L. udało się w ciągu paru miesięcy zająć aż tak ważne miejsce w moim życiu.

L. rzucała na mnie prawdziwy czar.

L. mnie zadziwiała, bawiła, intrygowała. Onieśmielała.

L. śmiała się, mówiła, chodziła w szczególny sposób. Najwyraźniej L. nie starała mi się przypodobać, najwyraźniej nie uprawiała żadnej gry. Pozostawałam natomiast pod wrażeniem jej umiejętności bycia sobą (w momencie gdy piszę te słowa, uświadamiam sobie ich naiwność, niby skąd po tak krótkim czasie mogłam wiedzieć, kim jest L.?). Wszystko w niej wydawało się proste, tak jakby wystarczyło, że klaśnie w dłonie, a będzie wyglądać właśnie tak, na naturalną i doskonale przystosowaną. Żegnając się z L., po wspólnie spędzonej chwili czy po długiej konwersacji przez telefon, często pozostawałam pod urokiem owej rozmowy. L. wywierała na mnie łagodny, głęboki i niepokojący wpływ, którego przyczyny i zasięgu nie znałam.

Kilka tygodni po naszym spotkaniu L. ustaliła między nami częstotliwość kontaktów, jaka nie występowała przy żadnej z moich przyjaciółek. Dawała mi znak, w takiej czy innej formie, przynajmniej raz dziennie. Słówko rano, myśl wieczorem, króciutka opowieść napisana specjalnie dla mnie (L. posiadła sztukę relacjonowania w paru słowach anegdoty o tym, co jej się przytrafiło, albo kreślenia portretu osoby, którą właśnie poznała). L. przesyłała mi raz po raz zrobione z przymrużeniem oka niezwykłe i niestosowne zdjęcia, mające bliższy lub dalszy związek z naszymi rozmowami bądź sytuacjami, które razem przeżyłyśmy: mężczyzny w pociągu zatopionego w lekturze mojej najnowszej książki przetłumaczonej na chiński, plakatu z koncertu La Grande Sophie, której

piosenki lubię, o czym powiedziałam L., reklamy nowej tabliczki czekolady mojej ulubionej marki. L. wyrażała bez ogródek pragnienie bycia ze mną w kontakcie. Zostania moją przyjaciółką.

Nie zdając sobie z tego sprawy, zaczęłam czekać na te znaki. I na telefony. Dzwoniłam do niej częściej, aby opowiadać o rzeczach bez znaczenia. Zaczęłyśmy pisać do siebie e-maile.

Nie od razu dostrzegłam, jak bardzo L. obudziła we mnie tęsknotę za latami wczesnej młodości, za chwilą, gdy wkroczyłam w dorosłość, za chwilą, gdy zdałam sobie sprawę z własnej siły życiowej. L. obudziła dawną wszechmoc siedemnastolatki, niewiarygodną energię, którą tryskałam przez kilka miesięcy, zanim znów dopadły mnie strach, niepokój i poczucie winy. L. obudziła ten konkretny czas w moim życiu, mój powrót do Paryża po czterech latach spędzonych u ojca, pierwsze studenckie rozmowy w kawiarni przy rue de Rome, seanse kinowe w Dzielnicy Łacińskiej, spotkanie z Coline, nasze wygłupy w metrze, wymyślony przez nas język o słowiańskim brzmieniu, ciche rozmowy odbywane na karteczkach, które podawałyśmy sobie na wykładach, pisząc na cześć Abla Tiffauges'a od prawej do lewej, a które można było odczytać wspak albo w lusterku. Ciągła, nieprzerwana nić podtrzymująca więź. Dzielenie wszystkiego: strachu i pragnienia.

L. obudziła to: ową wyłączną i kategoryczną relację, jaką można przeżyć tylko wtedy, gdy ma się siedemnaście lat.

Jednakże intensywna i regularna zażyłość, jaka narodziła się między L. a mną, odpowiadała raczej dorosłym parametrom mojego życia. Na przykład mimo że zadawała mi niewiele pytań o François, doskonale przyswoiła nasz sposób życia i rytm spotkań. Znała mój rozkład dnia, wiedziała, że pewne dni są zarezerwowane dla niego. Skądinąd L. bardzo szybko okazała zainteresowanie moimi dziećmi. Bez wątpienia spostrzegła, że taka postawa otworzy jej drzwi do mojej prywatności, a nawet że to warunek konieczny do jakiegokolwiek pogłębienia naszej relacji. L. często wypytywała o Louise i Paula, prosiła, bym opisała, jacy są, albo opowiedziała o wspomnieniach z ich dzieciństwa. Zdarzało mi się pomyśleć, że L. chce nadrobić stracony czas, czas, którego nie znała. Śledziła wszakże z jednakowym zainteresowaniem okres, który właśnie

przechodzili: czy są pełni nadziei przed zbliżającą się maturą, czy są zdecydowani co do tego, co chcą robić dalej?

L. nadmieniła coś o jednym, dwóch dokumentach dotyczących zawodu, którym interesował się Paul, i przysłała pocztą papiery na temat Francuskiej Akademii Lotnictwa Cywilnego, do egzaminu do której przygotowywała się moja córka. Później przysłała mi e-mailem kompletną dokumentację na temat matury z rękodzieła i rzemiosła artystycznego, jak również klasyfikację naukowych kursów przygotowawczych.

Muszę przyznać, że ciekawość, jaką L. błyskawicznie przejawiła co do moich dzieci, z początku mnie zaskoczyła. Potem uznałam, że moje zakłopotanie wynika z głupiego przesądu: dlaczego kobieta bezdzietna nie miałaby się interesować cudzymi dziećmi? Prawdą jest, że kiedy rzecz dotyczyła matczynych trosk, L. odznaczała się niezrównaną umiejętnością słuchania. Bliźniaczość Louise i Paula, ich obawa, jaką zapewne odczuwali, przed rozdzieleniem się, konieczność przejścia przez to, ich wzajemne wybory, kroki urzędowe, dokumenty, jakie należało zgromadzić, listy motywacyjne, zgłaszanie wybranych kierunków studiów za pomocą tajemniczej aplikacji internetowej udostępnionej dla uczniów, no i oczekiwanie… wszystkie te etapy L. dzieliła ze mną, tak jakby dotyczyło jej to w najwyższym stopniu.

L. zadawała pytania, domagała się wieści, czasem wyrażała własne zdanie.

Dzisiaj byłabym skłonna stwierdzić, że L. nie interesowała się Louise i Paulem, lecz przestrzenią, jaką zajmowali w moim życiu: ich wyraźnym wpływem na mój nastrój, sen, gotowość. Dzisiaj łatwo by mi było napisać, że L. interesowała się mną jako matką wyłącznie dlatego, że interesowała się mną jako pisarką. Zrozumienie, że te dwa aspekty mojego życia są nierozłączne, nie zajęło jej wiele czasu. Do jakiego stopnia Louise i Paul potrafią zakłócić, zaburzyć, uniemożliwić albo, przeciwnie, ułatwić mi pisanie, oto bez wątpienia kwestia, jaką zamierzała zgłębić. Skądinąd studia, jakie oboje wybrali, powinny ich skłonić do opuszczenia Paryża: jedno miało wyruszyć na prowincję, drugie za granicę. Łatwo byłoby dziś sądzić, że L. cieszyła się na myśl o ich wyjeździe po wakacjach. Ja jednak wiem, że to niesprawiedliwe, że to nie takie proste. Z perspektywy czasu wydaje mi się, że zainteresowanie, jakie L. wyrażała wobec moich dzieci,

było zarazem głębsze i bardziej skomplikowane. L. odczuwała prawdziwą fascynację matkami w ogóle, w stosunku do mnie zaś w szczególności. Lubiła moje opowieści o dzieciach, jestem tego pewna, wspomnienia o ich pierwszych latach życia, o tym, jak dorastały i co spędzało im sen z powiek w wieku dojrzewania. L. domagała się detali, bawiła ją nasza mała rodzinna legenda. Patrząc z daleka, muszę przyznać, że L. rozumiała moje dzieci w zdumiewający sposób. Często zdarzało się, że mówiłam jej o jakimś zmartwieniu, o kłótni, o nieporozumieniu między nimi dwojgiem albo między nimi a mną, a ona natychmiast wychwytywała sedno problemu, pomagając mi jednocześnie zareagować. L. nigdy wszakże nie poczuła potrzeby, aby je poznać. Powiedziałabym wręcz, że unikała wszelkich okoliczności sprzyjających takiemu spotkaniu. Nie chodziła ze mną do kina, jeśli towarzyszyły mi dzieci, kiedy proponowałam, żeby przyłączyła się do mnie w jakimś miejscu, pytała, czy będę sama. Podobnie nigdy nie wpadała do mnie do domu, jeśli wiedziała, że są tam moje dzieci, mając zaś wątpliwości, nie ryzykowała.

Potrzebowałam trochę czasu, żeby zdać sobie z tego sprawę.

W końcu doszłam do wniosku, że to dla niej kwestia wstydu albo też sposób, aby uchronić się przed emocjami, którym bała się stawić czoło. W końcu doszłam do wniosku, że sprawa macierzyństwa jest dla niej bardziej bolesna, niż sama chce to przyznać.

Sądzę, że w ciągu kilku miesięcy L. zdołała wyrobić sobie raczej trafne zdanie na temat mojego stylu życia: moich priorytetów, czasu, jaki każdemu poświęcam, kłopotów ze snem.

Jeśli się zastanowić, L. bardzo szybko otoczyła się aurą eksperta: kogoś zaufanego, wykazującego rzadko spotykaną gotowość, kogoś, na kogo mogę liczyć. Kogoś, kto się o mnie martwi, kto poświęca mi swój czas jak nikt dorosły z mojego otoczenia.

L. była wspaniałomyślną, zabawną i wyjątkową kobietą, którą poznałam pewnego wieczoru, zresztą właśnie takich słów użyłam, wspominając o niej François po raz pierwszy.

François miał świadomość, jak trudne jest dla mnie żegnanie się z ludźmi, poprzestawanie na mijaniu się, znał moją potrzebę, by dowiedzieć się, co się z nimi później działo, niechęć do utracenia ich na zawsze. Dlatego też stwierdził ironicznie:

– Tak jakbyś nie miała dosyć przyjaciół…

Pewnego czerwcowego wieczoru L. przysłała mi zdjęcie gigantycznego czerwono-czarnego graffiti, które dostrzegła na jakimś brudnym murze w XIII dzielnicy. Na wysokości oczu ktoś napisał: WRITE YOURSELF, YOU WILL SURVIVE.

Zawsze lubiłam obserwować kobiety. W metrze, w sklepach, na ulicy. Lubię je także obserwować w kinie, w telewizji, lubię patrzeć, jak się bawią, tańczą, lubię słuchać, jak się śmieją albo śpiewają.

Sądzę, że zainteresowanie to ma swoje źródło w dzieciństwie, że jest z nim ściśle związane. Stanowi przedłużenie dziecięcych zabaw, jakie urządzałam z niektórymi przyjaciółkami, będąc małą dziewczynką, kiedy wystarczyło wymyślić sobie nowe imię, aby przemienić się w kogoś innego. Ty będziesz się nazywała Sabrina, a ja Johanna. Albo na odwrót. Ja będę uroczą księżniczką z lokami jak u Candy i z dołeczkiem, którym nie sposób się oprzeć, będę młodą superutalentowaną aktorką, jak Jodie Foster w *Bugsy Malone*, będę miała niebieskie oczy i alabastrową cerę, będę Christine Rosenthal, która tańczyła w *Belindzie*, przedstawieniu na koniec roku w szkole podstawowej w Yerres, będę Christelle Portal albo Isabelle François, gwiazdami liceum w L'Aigle, ciemnowłosymi i magnetycznymi, będę jedyną dziewczynką w bandzie chłopców, którzy będą zauważać wyłącznie mnie, będę cudowną istotą o długich i lśniących włosach, o piersiach gładkich jak aksamit.

Będę inną kobietą.

L. ożywiała ową niespełnioną nadzieję bycia piękniejszą, bystrzejszą, ufniejszą, jednym słowem: bycia kimś innym, jak w tej piosence Catherine Lary, której słuchałam na okrągło, będąc nastolatką: *Fatalna, fatalna, chciałabym być jedną z tych kobiet, które rozpalają cały świat, oszalały z miłości, rażony piorunem…*

Jeszcze dzisiaj, chociaż z biegiem czasu przyzwyczaiłam się stopniowo do własnej osoby w jej całokształcie, chociaż wydaje mi się, że żyję w spokoju, a nawet w harmonii z tą, którą się stałam, chociaż nie odczuwam nieodpartej potrzeby, by wymienić wszystko albo część siebie

na atrakcyjniejszy model, zachowałam, jak sądzę, owo spojrzenie na kobiety: reminiscencję pragnienia bycia inną, które tak długo we mnie tkwiło. Spojrzenie, które w każdej napotkanej kobiecie będzie szukało tego, co najpiękniejsze, najbardziej niepokojące, najbardziej świetliste. Mimo to, przynajmniej na razie, moje pożądanie opowiedziało się po stronie mężczyzn. Fala, drżenie, gorąco w podbrzuszu, w udach, urywany oddech, ciało w stanie czujności, naelektryzowana skóra, wszystko to w zetknięciu z mężczyznami.

Jednak pewnego dnia, przed wieloma laty, miałam wrażenie, że odczuwam do pewnej kobiety coś, co krążyło we krwi, co mogło przeniknąć przez skórę. Zaproszono mnie na jakiś zagraniczny festiwal za sprawą przekładu jednej z moich książek. Odpowiadałam na pytania czytelników w ciemnej, klimatyzowanej sali, podczas gdy na zewnątrz panował przytłaczający upał. Po własnej przemowie słuchałam tamtej kobiety, która mówiła o swojej ostatniej powieści. Przeczytałam kilka jej książek, nigdy wcześniej jej nie spotkałam. Była błyskotliwa, zabawna, dowcipna. Jej wypowiedź stanowiła pasmo zmian zdania, nieprzewidzianych zwrotów i dygresji, sala była pod silnym wrażeniem, ja też, kobieta igrała ze słowami i ich wieloznacznością, bawiła się. Publiczność, śmiechy, skupiona na niej uwaga, wszystko to zdawało się grą, tak jakby w gruncie rzeczy niczego z tego folkloru (pisarz przed swoją publicznością) nie należało traktować poważnie. Była piękna na męski sposób, nie miało to nic wspólnego z rysami jej twarzy, ale raczej z posturą, chociaż nie potrafiłam dokładnie określić, skąd to się brało, ten osobliwy urok, jaki na mnie wywierała. W sposobie, w jaki nabierała męskości, w posługiwaniu się jej szyfrem, w odwracaniu jej znaczeń było coś w najwyższym stopniu kobiecego.

Jeszcze tego samego wieczoru poszłyśmy na jednego niedaleko portu.

Wcześniej, kiedy otaczała nas grupa (złożona z około dziesięciu pisarzy i organizatorów festiwalu), opowiadała o sobie, o swojej pasji do samochodów i do szybkości, o upodobaniu do wina, o wykładach, które prowadziła na uniwersytecie. Poczułam nagłą chęć, aby się mną zainteresowała, aby zaproponowała, żebyśmy się wymknęły, aby wyróżniła mnie spośród innych. Aby mnie wybrała. I właśnie dokładnie tak się stało.

Siedziałam naprzeciw niej w ciepłą noc; chociaż byłyśmy mniej więcej w tym samym wieku, miałam wrażenie, że jestem niezdarnym dzieciakiem,

ona przewyższała mnie pod każdym względem. Jej umysł, język, głos, wszystko budziło mój zachwyt. Pamiętam, że rozmawiałyśmy o mieście, w którym mieszkała, o urodzie lotnisk, o tym, jak książki nadal żyją w naszej pamięci, mimo zapomnienia. Pamiętam, że opowiedziałam jej o samobójstwie mojej matki, które miało miejsce kilka miesięcy wcześniej, i o pytaniach, które ciągle mnie dręczyły.

Po raz pierwszy zapragnęłam położyć się obok kobiety, dotknąć jej skóry. Zasnąć w jej ramionach. Po raz pierwszy wyobrażałam sobie, że to możliwe, że to może mi się przydarzyć, pożądać ciała kobiety.

Wróciłyśmy do hotelu na piechotę, późną nocą. Na korytarzu pożegnałyśmy się bez wahania, było to czyste, jasne, każda w swoim pokoju. Często o niej myślałam, nigdy więcej jej nie widziałam.

Czy L. stanowiła dla mnie obiekt pożądania? Zważywszy na sposób, w jaki się poznałyśmy, i szybkie tempo, w jakim zajęła tak ważne miejsce w moim życiu, oczywiście zadałam sobie to pytanie. Odpowiedź zaś brzmi tak. Tak, nawet dzisiaj potrafiłabym opisać dokładnie ciało L., jej długie ręce, kosmyk, który wsuwała za ucho, chropowatą skórę. Miękkość włosów, uśmiech. Miałam ochotę być jak L., być L. Pragnęłam się do niej upodobnić. Niekiedy nachodziła mnie ochota, żeby pogłaskać ją po policzku, wziąć w ramiona. Lubiłam jej zapach.

Nie wiem, ile w tym wszystkim pożądania, może nigdy nie dotarło ono do mojej świadomości.

W dniu ogłoszenia wyników matur L. pierwsza zadzwoniła, żeby się dowiedzieć, czy Louise i Paul zdali. Postanowiliśmy uczcić sukces moich dzieci wraz z przyjaciółmi jeszcze tego samego dnia, małe wesołe przyjątko w najbliższym gronie, zanim wyruszą w miasto, prawdopodobnie aż do rana. Zaproponowałam L., żeby wpadła, w ten sposób mogłaby wreszcie poznać ich i François, którego jeszcze nigdy nie widziała. Po krótkiej chwili wahania L. zapaliła się, ależ tak, to świetny pomysł, co mogłaby przynieść: wino, przekąski, deser?

Podczas wieczoru L. zostawiła mi wiadomość na poczcie głosowej, że nie przyjdzie, przykro jej, ale bardzo bolą ją plecy i boi się, że to pierwsze objawy ataku kolki nerkowej, niestety dosyć często jej się to zdarza, woli zostać w domu i odpocząć.

Zatelefonowałam do niej nazajutrz, aby dowiedzieć się, jak się miewa. Jej zdaniem kryzys minął, ale czuła się zmęczona. Jak zwykle wkrótce przejęła pałeczkę i sama zaczęła wypytywać: jak się udał wieczór, czy Louise i Paul są szczęśliwi, dumni, ulżyło im? Czy potem wyszli gdzieś z przyjaciółmi? A jak ja się w tym wszystkim czuję? Domyślała się, że musiał to być dziwaczny etap dla matki, świętować wraz z dziećmi maturę i niedługo osiemnaste urodziny, przygotowywać się do wypuszczenia ich z gniazda, cieszyć się z ich sukcesu i z tego, że dostali się na takie uczelnie, jak chcieli, ale to wszystko oznacza zarazem, że wkrótce zostanę sama, prawda? Jak ja przeżywam tę chwilę? Czy to nie dzieje się zbyt szybko, czy nie wydaje mi się, że zdarzyło się nagle, chociaż od narodzin dzieci upłynęło osiemnaście lat? Czyż to nie jest po prostu zdumiewające?

Także i tym razem L. wyraziła się dokładnie tak samo, jak mogłabym się wyrazić ja: to pragnienie, by zatrzymać czas, ta daremna walka, by

licznik przystopował na chwilę albo żeby godziny się rozciągnęły odrobinkę, i to niedowierzanie, że dotarłam do tego punktu.

L. miała rację. To było bolesne i cudowne. Pojawiło się nagle. Mogło przyprawić o zawrót głowy. Pozostały mi setki obrazów i wrażeń, których nie chciałam utracić, ulotne, już zatarte wspomnienia, które należało teraz zachować.

Poza tym istniało także pytanie, które przychodziło mi czasem na myśl, kiedy usiłowałam skojarzyć te dwa obrazy: Louise i Paul w chwili narodzin (dwie maleńkie istotki urodzone przez cesarskie cięcie w odstępie trzech minut, ważące w sumie ledwie pięć kilo), oraz Louise i Paul dzisiaj (dwoje młodych, dobrze zbudowanych ludzi o wzroście jedno 1,78 metra, drugie 1,95 metra), pytanie, które wypowiadałam czasami na głos, kiedy przyglądałam im się rankiem w kuchni, to pytanie, które wyrażało moje zdumienie, tak, to właściwe słowo, tak jakby czas oddzielający obydwa obrazy w ogóle nie istniał:

– Ale co się stało?

Za pierwszym razem gdy L. zapytała, co zamierzam napisać, wydało mi się, że wreszcie zmierzamy do sedna. Nie wiem, z jakiego powodu natychmiast pomyślałam sobie tak: wszystko, co wydarzyło się przedtem między nią a mną, służyło wyłącznie temu, by doprowadzić nas tutaj, do tego konkretnego punktu, L. zaś właśnie wyłożyła karty na stół, aby wyjawić swoje zamiary.

Siedziałam przy blacie, ona stała naprzeciw mnie, kuchnia była otwarta na salon, przestrzeń opanowywał powoli zapach pieczeni w sosie. L. kroiła warzywa, sączyłyśmy po kieliszku czerwonego wina na zaostrzenie apetytu.

Zadała mi to pytanie znienacka, niespodziewanie, chociaż wcześniej nic nie zapowiadało, że nagle wyskoczy z czymś tak nieoczekiwanym, rozmawiałyśmy zupełnie o czym innym i ni stąd, ni zowąd zapytała:

– Co będziesz teraz pisać?

Od miesięcy czytelnicy, przyjaciele, spotykani to tu, to tam ludzie indagowali mnie o to, co będzie potem. Na ogół pytanie to wyrażali w następujących słowach: „Co będzie pani pisać *po tym*?”. Niekiedy przybierało ono bardziej ogólną postać: „Ale co *można* napisać *po tym*?”. Wydawało mi się, że w tym wypadku samo w sobie zawiera ono odpowiedź: *po tym* już nic nie ma, wszystko już wiadomo. Otworzyłam czarną skrzynkę, roztrwoniłam całą zawartość, nie miałam nic na składzie. Tak czy inaczej, pytanie nie było obojętne. Odnosiłam wrażenie, że kryje w sobie zawoalowaną groźbę, ostrzeżenie.

Być może tylko ja nie miałam pojęcia o tym, co wiedzieli wszyscy. Książka stanowiła kulminację, koniec sam w sobie. Albo raczej nieprzekraczalny próg, punkt, poza który nie *można* było wyjść, a przynajmniej ja nie mogłam. Potem nie byłoby już nic. Słynna historia o szklanym suficie, progu niekompetencji. Oto co oznaczało to pytanie. Być

może jednak była to fałszywa interpretacja z mojej strony, paranoiczne fantazje. Pytanie było tak samo proste, jak się wydawało, nie zawierało żadnej ukrytej myśli, żadnego niedomówienia. Stopniowo wszakże, w miarę powtarzania go, zrodziła się przerażająca myśl, że sama o tym nie wiedząc, napisałam właśnie moją ostatnią książkę. Książkę, poza którą już nie ma nic, poza którą nie da się już nic napisać. Książka zatoczyła koło, zburzyła alchemię, stłumiła poryw.

W czasie spotkań z czytelnikami, w których niekiedy uczestniczyła moja wydawczyni, spostrzegła ona, jak bardzo powtarzalność tego pytania mnie osłabia. Wielokrotnie w jej obecności powstrzymywałam się, by nie ulec panice i nie odpowiedzieć: nic, zupełnie nic, proszę pani, po tym nie *można* już nic napisać, ani jednej linijki, ani jednego słowa, człowiek zamyka dziób na dobre, ma pani rację, o tak, proszę pana, pękłam jak bańka, wypaliłam się całkiem, proszę spojrzeć na tę kupkę popiołu u pańskich stóp, jestem martwa, bo wszystko spłonęło.

Pytanie L. nie było dokładnie takie samo. Nie powiedziała *potem*, tylko *teraz*.

Co będę teraz pisać.

Wielki skok, skok na głęboką wodę, skok w przepaść, godzina prawdy (wyrażenia te przelatywały mi przez głowę jedno po drugim, podczas gdy L. siekała warzywa z niepokojącą zaciętością), było to więc *teraz*.

François udał się właśnie do Stanów Zjednoczonych, żeby nakręcić serię reportaży o pisarzach amerykańskich, z kolei Louise i Paul spędzali weekend u ojca. L. zaprosiła mnie do siebie na kolację. Po raz pierwszy spotykałyśmy się u którejś z nas w domu w nieco ceremonialny sposób, po wcześniejszych przygotowaniach. Po raz pierwszy też wybierałam się do niej, przekraczając zaś próg mieszkania, odniosłam osobliwe wrażenie, że zanurzam się w dekoracje do jakiegoś filmu. Wszystko wyglądało na nowe, dostarczone jeszcze tego samego dnia o poranku. Właśnie to przyszło mi na myśl, a potem L. nalała mi kieliszek wina i wrażenie się rozwiało.

Opróżniwszy kieliszek, zabrałam się do opowiedzenia L. o moim projekcie związanym z reality show. Wszystko zaczynało się klarować, od kilku tygodni miałam w głowie postać kobiecą, na której temat robiłam sporo notatek (narysowałam ją na pierwszej kartce notesu, który zawsze leżał na dnie torebki). Moja przyszła bohaterka była gwiazdą pewnego

programu o wysokiej oglądalności, młodą, całkowicie zmyśloną, dwudziestopięcioletnią kobietą, którą wynosi się pod niebiosa i wokół której robi się zbyt dużo szumu. Postacią umiejscowioną dokładnie pomiędzy Loaną z *Loft Story* a Trumanem Burbankiem z *Truman Show*.

Podczas gdy mówiłam, usiłując objaśnić mój projekt, dostrzegłam jej rozczarowanie albo raczej niezadowolenie. Zorientowałam się po tym, jak zwiększyła tempo krojenia; posiekawszy pory, zabrała się do marchewki, z twarzą pochyloną nad deską, jej ruchy były szybkie, dokładne, słuchała uważnie, ale nie patrzyła na mnie.

Kiedy przedstawiłam jej mój pomysł w ogólnym zarysie, odczekała krótką chwilę, nim się odezwała.

Odtwarzam tu rozmowę, którą przeprowadziłam z L. Zapisałam ją jeszcze tego samego wieczoru, ledwie wróciłam do domu. Nie byłam w stanie się położyć. W kartonie z przyborami szkolnymi znalazłam zeszyt i postarałam się przywołać tę wymianę zdań z najdrobniejszymi szczegółami, zapewne po to, aby nabrać do niej dystansu, odsunąć ją od siebie. Być może przeczuwałam, że skutki tej rozmowy dadzą o sobie znać później i powoli. Przypominam sobie, jak bałam się, że o niej zapomnę i że będzie oddziaływała bez mojej wiedzy.

W ciągu pierwszych miesięcy znajomości nadal zapisywałam w tym zeszycie nasze rozmowy albo monologi L. Aż do dnia, w którym nie mogłam już napisać nic więcej, ale jeszcze do tego wrócę.

L. podniosła na mnie wzrok, wydawało się, że stara się panować nad głosem, a co więcej, nad sposobem wysławiania się:

– Nie wyobrażałam sobie ani przez chwilę, że zamierzasz napisać coś takiego. Czytałam w „Świecie Książek” artykuł, a w nim twoje słowa o książce widmie, jeszcze bardziej osobistej, do której zapewne w końcu byś doszła. Niedopowiedzianej książce, ukrytej wewnątrz tej.

Doskonale wiedziałam, do jakiej rozmowy pije. Udałam, że mgliście sobie przypominam.

– Ach tak, ja tak mówiłam?

– Owszem. Wspomniałaś o drodze, która przechodzi przez rozmaite punkty i że od tej pory będzie ci trudno powrócić do fikcji. Przeczytałam twoją ostatnią książkę właśnie z tą myślą, że zawiera ona w sobie kolejną książkę, która ma się dopiero pojawić, ważniejszą i bardziej niebezpieczną.

Zaczęło mi się robić gorąco.

Wyjaśniłam L., że się pomyliłam. Udzieliłam tego wywiadu na początku sierpnia, na wiele tygodni przed ukazaniem się książki. Byłam daleka od wyobrażania sobie, co się wydarzy, co wywoła książka. Zdaje się, że wyprzedziłam konsekwencje, ale mocno się pomyliłam w ocenie. Nie stanęłam na wysokości zadania. Nie dorosłam, ot co. Oto dlaczego teraz chciałam z kolei powrócić do fikcji, opowiedzieć jakąś historię, wymyślić postać, nie musieć się w ogóle rozliczać z rzeczywistością.

– Więc to kwestia wygody?

Nie kryła rozdrażnienia. Przyparła mnie do muru.

– Owszem, w pewnym sensie kwestia wygody, dla mnie i dla innych. Znośna, dająca się wytrzymać pozycja, która pozwala…

– Ludzie mają to gdzieś. Dostali swoją porcję bajek i postaci, nałykali się już dość perypetii, zwrotów akcji. Ludzie mają dosyć gładkich intryg, zręcznych sloganów i zakończeń. Ludzie mają dosyć piaskowych dziadków i chciwców, którzy sypią opowieściami jak z rękawa, byleby tylko sprzedać im książkę, samochód albo jogurt. Opowieściami produkowanymi całymi tonami i odmieniającymi się w nieskończoność. Możesz mi wierzyć, czytelnicy oczekują od literatury czegoś innego i mają świętą rację: oczekują Prawdy, autentyzmu, chcą, żeby im opowiadać o życiu, rozumiesz? Literatura nie powinna przekraczać pewnych granic.

Zastanawiałam się przez chwilę, po czym odrzekłam:

– Czy fakt, że życie, o którym opowiada się w książkach, jest prawdziwe albo fałszywe, ma aż tak wielkie znaczenie?

– Owszem, ma znaczenie. Ważne, żeby to było prawdziwe.

– Ale kto twierdzi, że to wie? Ludzie, jak utrzymujesz, być może czują tylko potrzebę, żeby to właściwie brzmiało. Jak nuta w muzyce. Zresztą może właśnie w tym tkwi tajemnica pisarstwa: albo coś jest właściwe, albo nie jest. Moim zdaniem ludzie wiedzą, że nic, co piszemy, nie jest nam zupełnie obce. Wiedzą, że zawsze istnieje jakaś nić, jakiś motyw, jakaś luka, które łączą nas z tekstem. Godzą się jednak, żebyśmy przekształcali, skracali, przestawiali, przerabiali. I żebyśmy zmyślali.

Dokładnie tak uważałam. Albo chciałam w to wierzyć. Miałam podstawy, by wiedzieć, jak bardzo *ludzie* albo przynajmniej niektórzy czytelnicy kochają Prawdę, starają się ją oddzielić od fabuły, ścigają ją w każdej kolejnej książce. Ilu z nich chciało się dowiedzieć, które wątki w moich poprzednich powieściach są autobiograficzne? Które stanowią

część tego, co się przeżyło. Ilu z nich pytało mnie, czy naprawdę żyłam na ulicy, czy straciłam głowę dla egocentrycznego i zakłamującego rzeczywistość konferansjera z telewizji, czy byłam ofiarą psychicznego nękania? Ilu z nich pytało mnie po lekturze mojej ostatniej powieści: „Czy *wszystko* jest prawdą?”.

Chciałam jednak wierzyć w coś innego: spotkanie z książką – intymne, głębokie, emocjonalne, estetyczne spotkanie z książką – odbywa się gdzie indziej.

Czułam, że L. ogarnia głucha, brutalna wściekłość.

– A twoja ostatnia powieść to tylko historia, jakich wiele? To nie ma znaczenia? Wyobrażasz sobie, że zrobiłaś dość, aby prawda została powiedziana? A teraz, kiedy dałaś mały krok w bok i o mało nie zwichnęłaś nogi, uważasz, że masz prawo wrócić do swojej strefy komfortu?

Czułam na sobie jej oburzone spojrzenie, wycelowane we mnie niczym broń. Zaczynałam mieć poczucie winy z powodu czegoś, co nie istniało, czego pierwszej linijki nie zdążyłam nawet napisać, to było zupełnie bez sensu.

– Tylko że prawdy nie ma. Prawda nie istnieje. Moja ostatnia książka była zaledwie niezręczną i niedokończoną próbą zbliżenia się do czegoś nieuchwytnego. Sposobem opowiedzenia pewnej historii poprzez zniekształcający pryzmat bólu, wyrzutów, zaprzeczenia. Również miłości. Doskonale to wszystko wiesz. Kiedy tylko pomijamy pewne rzeczy, rozwlekamy, okrawamy, kiedy zapełniamy dziury, wchodzimy w fikcję. Szukałam prawdy, owszem, masz rację. Porównywałam źródła, punkty widzenia, relacje. Ale każde pisanie samo w sobie już jest powieścią. Opowieść jest iluzją. Nie istnieje. Żadna książka nie powinna mieć prawa do tego miana.

L. przestała się odzywać.

Pomyślałam przez chwilę, żeby zacytować jej słynne zdanie Jules’a Renarda (*Kiedy jakaś prawda wykracza poza pięć linijek, to już jest powieść*), ale się powstrzymałam. L. nie należała do tych, na których robi wrażenie byle cytat wyrwany z kontekstu. Napełniła kieliszki winem, następnie podeszła do mnie.

– Nie mówię o rezultacie. Mówię o intencji. O impulsie. Pisanie powinno być poszukiwaniem prawdy, inaczej jest niczym. Jeśli poprzez pisanie nie starasz się poznać samej siebie, przepatrzyć, co w tobie drzemie,

co się na ciebie składa, otworzyć rany, drapać, drążyć rękami, jeśli nie podajesz w wątpliwość własnej osoby, twoich korzeni, środowiska, to nie ma sensu. Nie istnieje inne pisanie niż pisanie o sobie. Reszta się nie liczy. Właśnie dlatego twoja książka zdobyła aż taki rozgłos. Porzuciłaś terytorium beletrystyki, porzuciłaś fortel, kłamstwo, pozory. Wróciłaś do tego, co Prawdziwe, a twoi czytelnicy nie dali się zwieść. Oczekują od ciebie, że nie ustaniesz, że pójdziesz dalej. Chcą tego, co ukryte, zakamuflowane. Chcą, żebyś powiedziała wprost to, co mówiłaś zawsze ogródkami. Chcą wiedzieć, z jakiej gliny jesteś ulepiona, skąd przychodzisz. Jaka siła sprawiła, że stałaś się taką pisarką, jaką teraz jesteś. Oni nie są naiwni. Odsłoniłaś ledwie rąbek tajemnicy i oni to doskonale wiedzą. Jeśli zamierzasz pisać kolejne historyjki o bezdomnych albo o pogrążonej w depresji kadrze kierowniczej, lepiej byś zrobiła, zostając w tej swojej firmie od marketingu.

Zatkało mnie.

Wobec konfliktu tracę grunt pod nogami, mam płytki oddech, krew przestaje mi docierać do mózgu, nie potrafię podać serii spójnych argumentów. Broniłam się w sposób śmieszny, uściślając jeden szczegół, jakby to było najważniejsze:

– Pracowałam przy badaniach społecznych w przedsiębiorstwie, nie w marketingu. Jedno nie ma nic wspólnego z drugim.

Chętnie wyjaśniłabym L., o co chodzi, aby pokazać różnicę, tylko że L. odłożyła nóż i się wymknęła. Zniknęła na kilka minut, słyszałam szum wody w łazience.

Gdy wróciła, wyglądała, jakby płakała.

Tylko że to było zupełnie bez sensu. Niby dlaczego moja następna książka miałaby aż tak obchodzić L.? Nałożyła odrobinę różu na policzki i związała włosy. Naciągnęła kamizelkę na bluzkę koszulową. Zaczęłam mówić o dokumentacji, aby rozładować napięcie:

– Wiesz, dla mnie fikcja, autofikcja, autobiografia to nigdy nie jest z góry powzięta opinia, żądanie ani nawet zamiar. To ewentualnie rezultat. Jednym słowem, wydaje mi się, że nie dostrzegam tak jasno granic. Moje książki beletrystyczne są tak samo osobiste, intymne jak inne. Czasami potrzeba przeróbki, żeby zgłębić materię. Istotna jest autentyczność gestu, to znaczy jego nieuniknioność, brak wyrachowania.

Nie znajdowałam właściwych słów. Zdawałam sobie sprawę, że wykazuję się wobec L. ogromną naiwnością. Byłam wstrząśnięta. Miałam ochotę pójść dalej, obronić się. W owym starciu twarzą w twarz rozgrywało się wszakże coś, co wytrącało mi broń z ręki.

Po krótkim milczeniu oznajmiła:

– Ja nie mówię o tym. To ty o tym mówisz. Mam gdzieś zasady, układy, etykietki. Ja mówię o geście. O tym, co przykuwa cię do stołu. Mówię o powodzie, dla którego całymi dniami tkwisz przywiązana do krzesła jak pies, chociaż nikt cię do tego nie zmusza.

– No i?

– No cóż, nie możesz dłużej udawać, że tego nie ma.

Sama nie wiedziałam, co powiedzieć.

Sama nie wiedziałam, o czym właściwie mówimy ani gdzie to się zaczęło.

L. zabrała się z powrotem do przygotowywania posiłku. Przyglądałam się, jak osusza warzywa, które dopiero co opłukała pod wodą. Czułam, że zmusza się, aby spowolnić ruchy, aby odnaleźć rytm, który pokazałby, że jest spokojna i że to wszystko nie ma żadnego znaczenia. Patrzyłam na L., na to, jak szybko się przemieszcza po względnie ograniczonej przestrzeni, jak krząta się wokół wyspy, otwiera szafki, muska rozmaite przedmioty, zakamarki, krawędzie, patrzyłam na ten jakiś pośpiech bez powodu, na tę jakąś niecierpliwość. L. wrzuciła warzywa do wrzącego oleju w woku.

Wzięła nóż, który posłużył jej do pokrojenia ich, starannie opłukała go pod wodą, lekko przejechała namydloną gąbką po ostrzu, po czym delikatnie wytarła ścierką do naczyń. Włożyła go do szuflady, wyjęła paczkę orzechów nerkowca i wsypała je do miseczki. Nie patrząc na mnie, ciągnęła:

– Ja wiem, co to jest ta twoja ukryta książka. Wiem to od samego początku. Zrozumiałam to, jak tylko zobaczyłam cię po raz pierwszy. Nosisz to w sobie. Nosimy to w sobie. Ty i ja. Jeżeli jej nie napiszesz, ona dopadnie ciebie.

Nazajutrz po tamtej kolacji nie miałam wieści od L.

Na kilka dni L. zniknęła z mojego życia, sprawiając, że powstało coś w rodzaju braku ciągłości, wakatu, na który nie byłam przygotowana.

Brakowało mi L. Chyba pomyślałam, chociaż nie miało to żadnego sensu, że ona mnie karze. Wielokrotnie próbowałam się do niej dodzwonić, zostawiłam jedną czy dwie wiadomości, na które nie odpowiedziała.

Na weekend Louise i Paul wyjechali na wakacje, każde ze swoją paczką. Paul miał być na kempingu w Bretanii, Louise zaproszono na Południe. Jeszcze tego samego wieczoru kurier dostarczył mi wspaniały bukiet kwiatów z liścikiem od L., którego dokładne słowa wyleciały mi z pamięci. Ogólny sens był taki, że przeprasza, iż się uniosła, żałuje, iż rozmowa miała tak gwałtowny przebieg. Napisałam jej SMS-a, aby ją uspokoić.

Znajdowałam się w Paryżu sama i czekałam z niecierpliwością na powrót François, który zamierzał spędzić we Francji dwa tygodnie, zanim ponownie uda się w długą podróż do Stanów Zjednoczonych. Wiedziałam, jak ważny jest dla niego ten cykl reportaży, jak będzie o nim marzył. Rozmawialiśmy ze sobą o długich okresach, kiedy będziemy rozdzieleni. Zachęcałam go do wyjazdu. François nigdy nie robił mi wyrzutów z powodu czasu, który poświęcałam na pisanie, ani mojego stylu życia.

Kiedy wrócił, natychmiast wyruszyliśmy na wieś.

W ciągu minionych lat, gdy otrzymywał coraz więcej rozmaitych zaproszeń, wiedziony jakimś odwrotnie proporcjonalnym instynktem wycofywania się François w pewnym sensie stopniowo zamknął się na swojej ziemi, w miejscu, które wybrał jako punkt zakotwiczenia w gładkiej i śliskiej ścianie świata.

W dniu, w którym poznałam François, kiedyśmy popijali margaritę przy barze w pewnej knajpce na prowincji, opowiedział mi o budowanym właśnie domu niezbyt daleko od Paryża. Wyjaśnił mi, jak bardzo możliwość przebywania w ciszy, oddalenia się, staje się dla niego czymś niezbędnym, wręcz koniecznym do życia. Odparłam bez ogródek, że sama nie znoszę wsi. Nie chodziło tu wcale o przyrodę, nie miałam nic przeciwko, sprawa polegała na czym innym. Wyobrażenie wsi stanowiło dla mnie synonim izolacji, zawierało w sobie nieodłączne pojęcie zagrożenia. Wieś kojarzyła mi się ze strachem i pewną ideą zamknięcia.

Nie zachowałam żadnego wspomnienia tej rozmowy, to François zrelacjonował mi o wiele później, jak bardzo moje słowa nim wstrząsnęły. Wyraźnie rozpoczęliśmy już proces uwodzenia, on zaś nigdy dotąd nie widział, żeby ktoś już na samym początku ot tak strzelał sobie w stopę, nie przestrzegał zasad, nie szukał zbiegów okoliczności ani punktów wspólnych, lecz przeciwnie, podkreślał przeciwieństwa i rozbieżności. Mimo wszystko znaleźliśmy nić porozumienia, wymieniając piosenki, których każde z nas słuchało w epoce radia Hit FM (zrobiliśmy sporą listę i owa wspólna kultura letnich przebojów nas rozbawiła).

Mogłabym opowiedzieć o moim pierwszym przyjeździe do Courseilles, niemal trzy lata po tamtej pierwszej rozmowie, oraz o osobliwej drodze, która zaprowadziła mnie w końcu do tego mężczyzny (a jego do mnie), podobnie jak opowiedziałam to L., skądinąd na jej prośbę, wkrótce po tym, jak się poznałyśmy. L. nigdy nie ukrywała, że uważa naszą zażyłość za dziwną, wydaje mi się zresztą, że właśnie tego słowa użyła (nie powiedziała: „wasza para” albo „para, jaką tworzycie”, albo „wasza miłość”), z jej słów dało się wyraźnie wyczytać, że pasujemy do siebie jak wół do karety. L. zawsze sprawiała wrażenie zaintrygowanej utrzymywaną przeze mnie i François relacją; wprawiała ją ona w pewne zakłopotanie. Nie ją jedną. Potrzebowałam czasu, by zrozumieć, a przede wszystkim pogodzić się z tym, że niezależnie od moich własnych uprzedzeń mieliśmy wiele wspólnego. Z początku uparcie szukałam tego, co nas dzieli, co nas różni, delektowałam się myślą, że nasze światy nie mają punktu stycznego – albo że nawet jeśli punkt styczny istnieje, jest przypadkowy i nietrwały. Później, kiedy zyskałam do niego dostęp, kiedy wreszcie pojęłam, kim jest ten człowiek, co go ożywia, skąd biorą się jego energia i jego słabe strony, kiedy byłam w stanie dostrzec, co kryje się pod maską, czasem otwartości

i uprzejmości, czasem arogancji i obojętności, jaką pokazywał światu, uświadomiłam sobie, jaka miłość może się zrodzić z naszego spotkania, i przestałam się bać.

Gdy byłam w Courseilles, w końcu zadzwoniła L. Ucieszyłam się, słysząc jej głos. Zachowywała się tak, jakby nic się nie stało, chciała wiedzieć, co słychać, upewnić się, że naprawdę odpoczywam, ostatnie miesiące były tak pełne wzruszeń, to zupełnie naturalne, wręcz pożądane, że daję sobie trochę czasu, że robię przerwę. Dość długo wisiałam na telefonie, rozmawiając z nią, pamiętam to, bo akurat wiatr wiał ze złej strony i musiałam się przenieść w głąb ogrodu i przycupnąć na jakimś pagórku, czyli w jedynym miejscu, gdzie jest mniej więcej stały zasięg, kiedy dmucha od północy. Pamiętam, że telefon ten mnie wzruszył, dodał mi otuchy. L. o mnie myśli. Wyglądało na to, że również i tym razem rozumie lepiej niż ktokolwiek inny, jak ważny był dla mnie rok, który dopiero co dobiegł końca, jak wiele energii ode mnie wymagał, ile zrodził wątpliwości, sprzecznych emocji, poczucia spełnienia i poczucia pustki, ściśle ze sobą powiązanych. Po raz kolejny odniosłam wrażenie, że L. nawet na odległość wie, na jakim jestem etapie. Dostrzegła bowiem osobliwą zbieżność dwóch spraw: ostatniej książki, która przerosła mnie dosłownie i w przenośni, a teraz znajdowała się poza mną, i dzieci, które szykowały się do odejścia.

L. oznajmiła, że spędzi w Paryżu całe lato, aby dokończyć tekst, który musi oddać po wakacjach, opowieść o pewnym niedawnym wydarzeniu, chwilowo nie może nic więcej zdradzić, ale to dla niej poważne zadanie, gra toczy się o sporą stawkę. Nie, nie obawia się pozostać w Paryżu sama, lubi, kiedy miasto zwalnia tempo i opanowują je turyści, wyjedzie trochę później. Zapytała, co planuję na sierpień, pamiętam, że opowiedziałam jej historię o naszym słynnym *domu-na-wakacje*, nazwanym tak przez dzieci, gdy były małe, przy czym ten ogólny termin oznaczał nie tyle miejsce, ile czas, owo nieuniknione spotkanie, powtarzające się co roku. Każdego lata wraz z tymi samymi przyjaciółmi, których poznałam, jak miałam ze dwadzieścia lat, wynajmowaliśmy na dwa, trzy tygodnie dom, rzeczywiście duży, nigdy dwa razy z rzędu ten sam ani nigdy dwa razy z rzędu w tym samym miejscu. W ciągu pierwszych lat, kiedyśmy wspólnie jeździli, nie mieliśmy jeszcze dzieci. Dzisiaj nasze dzieci są w tym samym wieku co my, kiedy robiliśmy nocną rundkę po barach w małym kurorcie na

atlantyckim wybrzeżu Hiszpanii. Dzisiaj w zależności od roku *dom-na-wakacje* zamieszkuje od osiemnastu do dwudziestu osób, w tym dzieci, przy czym podstawę grupy stanowi zawsze ten sam twardy rdzeń, wokół którego z biegiem czasu narosło kilka bliskich postaci, przyjętych przez wspólnotę.

Niewielu jest przyjaciół, o których możemy powiedzieć, że odmienili nasze życie, z tym osobliwym przeświadczeniem, że bez nich nasze życie po prostu nie byłoby takie samo, z wewnętrznym przekonaniem, że oddziaływanie, wpływ owej więzi nie ogranicza się do paru kolacji, wieczorów czy wakacji, ale że więź ta promieniowała, odcisnęła o wiele głębsze piętno, że rzutowała na najważniejsze wybory, jakich dokonaliśmy, że istotnie odmieniła to, jacy jesteśmy, i przyczyniła się do afirmacji naszego stylu życia. Przyjaciele z *domu-na-wakacje* są właśnie tacy: fundamentalni. Na nieszczęście dla mnie (za to, zdaje się, na szczęście dla nich) opuścili Paryż dawno temu.

Prawdę mówiąc, większość moich przyjaciół opuściła Paryż. Mieszkają dzisiaj w Nantes, w Angers, w Valence, w Rocbaron, w Caen, w Évecquemont, w Montpellier.

Tkwiąc przycupnięta na pagórku w głębi ogrodu w Courseilles, gdy tymczasem zaczynało się ochładzać (pójście po sweter oznaczałoby utratę zasięgu, a więc przerwanie rozmowy), sama nie wiem, jak to się stało, że wspomniałam L. o owej fali wyjazdów, która kilka lat temu, zanim poczułam się zdolna do nawiązania więzi z innymi ludźmi, sprawiła, że stałam się jakby sierotą. Opowiedziałam L., jak to moi przyjaciele jedno po drugim spakowali dzieci i bagaże, zupełnie jakby na miasto spadła zaraza, opowiedziałam o tym bezsensownym uczuciu straty, nawet porzucenia, które mnie ogarnęło, kiedy w ciągu niecałych pięciu lat wszyscy wyjechali.

L. zapewniła, że rozumie. Znała to uczucie, sama go doświadczyła. Przyjaciele nie wyjechali na prowincję, po prostu odeszli po śmierci jej męża. Obiecała, że któregoś dnia wszystko mi opowie. Życzyła mi udanych wakacji, będzie o mnie myśleć.

W sierpniu François poleciał do Wyoming, ja zaś wraz z Louise i Paulem wsiadłam do pociągu jadącego do *domu-na-wakacje*.

Po raz pierwszy od długiego czasu miałam wrażenie, że wszystko wraca do normalnej postaci i nabiera normalnych proporcji, tak jakby cała

ta sprawa – wydana kilka miesięcy wcześniej powieść, oddźwięk, jaki wywołała – owa seria kręgów na wodzie, która powstała w niemożliwym do zmierzenia promieniu i głęboko zmieniła moje relacje z pewnymi osobami z rodziny – jakby to wszystko nigdy nie istniało.

Wydawało mi się, że tam, wśród tych, których spojrzenia nie uległy zmianie, oczy nie pociemniały, nie zaszły żadną mgłą, tych, którzy trzymali się z dala od owego poruszenia, ale blisko mnie, moje ciało się odprężyło.

Śmialiśmy się, spaliśmy, piliśmy, tańczyliśmy, rozmawialiśmy i spacerowaliśmy godzinami. Powiedziałam sobie, że pewnego dnia napiszę o nich, o moich przyjaciołach rozproszonych tu i ówdzie, tych z dzieciństwa i z dorosłości, i o tych dwudziestu pięciu czy czterdziestu latach, w czasie których dorastaliśmy, stawaliśmy się rodzicami, zmienialiśmy swoje życie, pracę, domy, niekiedy miłości.

W tym okresie nie miałam wiadomości od L. Nie sądzę, żebym rozmawiała o niej z przyjaciółmi.

Trzy tygodnie później Louise, Paul i ja wróciliśmy pociągiem, byliśmy weseli, zajęliśmy przedział rodzinny w TGV, wyglądaliśmy na wypoczętych. Nagle poczułam, że żyję, to było coś niewiarygodnego, siedziałam wraz z dziećmi w pociągu, który wiózł nas z Landów, zrobiłam ich ulubione kanapki, jedne z masłem, inne bez, jedne z sałatą, inne bez, spędziliśmy cudowne wakacje, spoglądałam na umykającą za szybą wieś, dzieci miały wkrótce wyjechać i rozpocząć własne życie, byłam z nich dumna, dumna z tego, jakiego typu ludźmi się stali oboje, pomyślałam, że bez względu na rodzinne lęki i rany przekazałam im coś, co mimo wszystko przypomina radość.

W autobusie, kiedy tkwiliśmy ściśnięci w tłumie pasażerów w godzinie szczytu, znienacka wzruszyłam się do łez. Właśnie coś się skończyło i miało się zacząć coś innego, miałam niewiarygodne szczęście, od samego początku, od zawsze, w gruncie rzeczy szczęście mnie nie opuściło. Zapowiadał się łagodny i intensywny rok, wkrótce znów zabiorę się do pisania i będę często odwiedzać dzieci tam, gdzie się znajdą. Wkrótce poznam nowe życie w nowej konfiguracji, do którego potrafię się przystosować, trzeba odsunąć od siebie tęsknotę i żyć teraźniejszością. Nie ma się czego bać.

Delphine,
to ciężkie. Być kimś z twojej rodziny, nosić to samo nazwisko co ty to dzisiaj ciężkie. Przywłaszczyłaś sobie to nazwisko, splamiłaś je, osrałaś. Oto co fundujesz nam wszystkim wraz z tym dobijającym pytaniem, którym nas zanudzają: „Należy pan (pani) do rodziny autorki?”. Tak, należę do rodziny autorki i to mnie wkurza. Mnie i innych, wierz mi, to nas zwyczajnie wkurwia. Czy możliwe jest dzisiaj egzystowanie poza tym pytaniem, posiadanie innej tożsamości niż ta, należenie do rodziny autorki? To nic przyjemnego.

Chyba zapominasz, że jesteś chora. Tak, chora. Jesteś bardzo chora. W dodatku to zaraźliwe. Wydaje ci się, że wyszłaś z tego, ale zapominasz o następstwach. A poza tym każdy lekarz ci to powie: te rzeczy się przenoszą, ale nigdy nie mijają. To genetyczne, to w tobie siedzi.

Podobno pozbyłaś się dzieci. Wreszcie idealna matka pokazała prawdziwą twarz! Dobrze zagrane. Droga wolna, prawda? Będziesz mogła brylować, wydać całą kasę, będziesz mogła bawić się w kuguara na przyjęciach dla VIP-ów. Ja wiem, że jesteś złą matką, która łapie pierwszą okazję, żeby wysłać dzieciaki jak najdalej pod pretekstem studiów.

Twoje dzieci mają matkę ze zbyt bujną wyobraźnią, która się za dużo pokazuje w mediach.

Żal mi ich.

Zastygłam w bezruchu, z listem w dłoni.

Najpierw poczułam ledwie rozpoznawalne trudności w oddychaniu, następnie w piersiach zaczęła mi rosnąć kula, znane już doświadczenie, nad którym nie sposób zapanować. Palce lekko mi drżały. Nie zdążyłam rozpakować walizek ani pochować moich rzeczy, położyłam na stole stos poczty wyjętej ze skrzynki, zaparzyłam sobie herbatę i zabrałam się do rozdzielania reklam od listów, potem do otwierania kopert jedna po drugiej, aż natrafiłam właśnie na tę, opatrzoną wczorajszą datą. Louise i Paul znajdowali się w swoich pokojach, mogli wyjść w każdej chwili, mowy nie było, żebym się rozpłakała. Przemknęło mi przez głowę, żeby zadzwonić do François, uświadomiłam sobie jednak, że z powodu różnicy czasu nie mam żadnych szans go złapać.

Złożyłam list. Odetchnęłam głęboko i chwyciłam kolejny list. W tej samej chwili zadźwięczała moja komórka. Była to L. Przypomniała sobie, że miałam wrócić z wakacji w najbliższych dniach, i chciała się dowiedzieć, co słychać. Błysnęła mi myśl, czy L. nie widziała, jak wchodzę do mieszkania, i wiedziona jakimś dziwnym odruchem wyjrzałam przez

okno. Nic się nie poruszyło: większość zasłon była zaciągnięta, rolety opuszczone, nieco niżej przez otwarte okno dało się dostrzec jakąś parę, która paliła papierosy, siedząc przy stoliku.

Zaledwie kilka sekund wystarczyło, by uzmysłowić L., że coś ze mną nie tak. Głos od razu zdradził mój nastrój, chociaż usiłowałam się nauczyć go modulować, kontrolować, nic z tego, głos zdradza, jaka jestem, *uczuciowa* pomimo nieustannego zwiększania się mojego zasobu słownictwa. L. zaproponowała czym prędzej, abyśmy wyskoczyły na jednego, rano skończyła tekst, nad którym pracowała, jej też przydałoby się coś dla odprężenia. Zgodziłam się z nią spotkać trochę później, jak odpocznę i wpadnę do supermarketu, aby zapełnić lodówkę. Schowałam list do torebki z zamiarem pokazania go jej.

W głębi kawiarni L. rozłożyła kartkę na moich oczach. Przyglądałam się, jak przebiega wzrokiem treść linijka po linijce, jej włosy nie były związane, powieki pokrywał szary błyszczący cień, co podkreślało bladość cery, wargi miała lekko różowe, była bardzo piękna. Czytanie zajęło jej trochę czasu, ujrzałam, jak twarz zmienia jej się pod wpływem oburzenia.

– Wiesz, kto to jest?

– Nie.

– Myślisz, że ktoś z rodziny?

– Nie wiem.

Podczas gdy L. czytała list po raz drugi, wyraźnie wstrząśnięta, opowiedziałam jej o tym, który otrzymałam parę tygodni wcześniej. W moich wspomnieniach był mniej zjadliwy. L. zdawała się zastanawiać przez kilka sekund, po czym ponownie na mnie spojrzała.

– Nigdy nie rozważałaś napisania książki o tym, co było *potem*? Książki, która opowiadałaby o ukazaniu się twojej ostatniej powieści, o jej następstwach, o tym, co wywołała, co przyspieszyła, co ujawniła. O tym, jak oddziałuje z opóźnieniem.

Owszem, rozważałam. Przeszło mi to przez myśl. Opowiedzieć o tym, jak przyjęto książkę, o nieoczekiwanym wsparciu, o poruszających listach. Opowiedzieć o tym, jak niektórzy robili wszystko, by zaakceptować tekst, jak pragnęli to osiągnąć i nigdy nie zadali temu kłamu. O szacunku dla literatury. Opowiedzieć o spóźnionych wyznaniach, wyszeptanych po ukazaniu się książki drukiem, o wspomnieniach, które wypłynęły na

wierzch. O strategiach obronnych, o cichych procesach. Owszem, napisanie tego było kuszące: zamieszanie nie objęło wyłącznie stref określanych jako strefy *ryzyka*. Strefy *ryzyka* ograniczyły punkt uderzenia, przyswoiły go, przystosowały się do niego. Niszczycielskie trzęsienie ziemi miało miejsce na innych obszarach, tych, o które się otarłam, które ominęłam, które celowo wykluczyłam z pola narracji.

Bez wątpienia każdego autora, który parał się pisaniem o sobie (albo pisał o własnej rodzinie), pewnego dnia korciło, żeby napisać o tym, co było *potem*. Opowiedzieć o ranach, goryczy, fałszywych oskarżeniach, zerwaniach. Niektórzy to zrobili. Bez wątpienia z powodu długofalowych skutków. Książka nie jest bowiem niczym innym jak rodzajem materiału, który rozprzestrzenia się powoli, substancji radioaktywnej, emitującej jeszcze przez długi czas promieniowanie, które rozprzestrzenia się powoli. Zawsze zaś w końcu uważa się nas za to, kim jesteśmy, za ludzkie bomby, które mają przerażającą moc, ponieważ nikt nie wie, jaki zrobimy z niej użytek. Oto dokładnie, co rozważałam, jednocześnie zachowując milczenie.

Jako że się nie odzywałam, L. powtórzyła pytanie, ubierając je w inne słowa:

– Może byłby to sposób, żeby odpowiedzieć tej osobie? Opublikować jej listy dokładnie tak, jak zostały napisane, nie zmieniając ani przecinka, i dać jej do zrozumienia, że gówno cię obchodzi, czy dla niego albo dla niej to skomplikowane, że nosisz nazwisko, którego sama nie wybierałaś, powiedzieć, że można nosić to nazwisko na tysiąc sposobów i że jak chce, może wymyślić jeszcze jeden sposób…

– Tylko że mnie to naprawdę obchodzi.

– Owszem, gówno cię to obchodzi. *Musi* cię gówno obchodzić! Powinnaś napisać o tym wszystkim, o tym, o czym opowiedziałaś mi, jak tylko się poznałyśmy, o tym, jak relacje z pewnymi osobami się zmieniają, psują wbrew twojej woli, z tymi, którzy w ogóle przestają dbać o to, jak się miewasz, którzy od tej pory z upodobaniem traktują cię jak *celebrytkę* – tak jakby w świecie, w którym żyjemy, dla pisarza, bez względu na to, jaki on jest, miało to jakikolwiek sens – z tymi, których bardziej interesuje liczba zer na twoim czeku niż to, jaką postać przybierze twoja literacka droga, którzy prędzej by zdechli, niż zapytali cię wprost, którzy tkwią w przekonaniu, że się zmieniłaś, że jesteś bardziej daleka, bardziej odległa, mniej dostępna, mniej gotowa, którzy przestali cię zapraszać, bo uznali raz

na zawsze, że masz zbyt dużo zajęć, którzy ni stąd, ni zowąd chcą cię zapraszać co niedziela, którzy wyobrażają sobie, że spędzasz wieczory na koktajlach albo przyjęciach wśród śmietanki towarzyskiej, którzy wyobrażają sobie, że nie zajmujesz się dziećmi, którzy zastanawiają się, czy przypadkiem nie popijasz w ukryciu albo czy nie zrobiłaś sobie liftingu powiek. Czy nie to właśnie opowiadałaś mi ze śmiechem pewnego dnia, Delphine? A teraz przeczytaj ten list, przeczytaj go uważnie po raz drugi. Tu nie ma nic śmiesznego, tu chodzi o nienawiść, chodzi o to, żeby ci zaszkodzić.

Czułam, jak w miarę mówienia w L. wzbierają gniew i oburzenie, i sprawiało mi szaloną przyjemność, że ktoś staje w taki sposób u mojego boku, całym sobą, bezwarunkowo.

Tak, oczywiście można było to wszystko napisać, tylko że to na nic by się nie zdało. Byłam odpowiedzialna za to, co się działo, nie chciałam tego, ale to sprowokowałam, musiałam wziąć to na siebie albo przynajmniej z tym żyć, sama się przystosować. A poza tym nic nie jest w stanie powstrzymać innych przed fantazjowaniem na nasz temat. Wiedziałam to przecież. Napisanie książki o tym, co było *potem*, wykopałoby przepaść albo wywołało niezrozumienie. Wydawało mi się, że mam coś lepszego do roboty. Przypomniałam L., że od paru miesięcy rozważam inny pomysł, *prawdziwą fikcję*, przez całe wakacje nadal robiłam notatki, mój projekt nabierał kształtów, zarysowała się wyraźna intryga.

– Intryga? – przerwała mi L. – Mówisz poważnie? Ty nie potrzebujesz intrygi, Delphine, ani nieoczekiwanych zwrotów. Teraz jesteś ponad to, powinnaś wreszcie zdać sobie z tego sprawę.

Tym razem przemawiała bardzo łagodnie. W jej głosie nie było cienia agresji. L. usilnie starała się przekonać mnie o swym niedowierzaniu wobec tego, co właśnie usłyszała. Czy ja naprawdę dopracowałam, wyobraziłam sobie jakąś intrygę?

– Nie musisz niczego wymyślać – ciągnęła. – Twoim jedynym tworzywem powinny być własne życie, osoba, spojrzenie na świat. Intryga to pułapka, zasadzka, bez wątpienia wydaje ci się, że zapewnia ci ona schronienie albo podporę, ale to nieprawda. Intryga przed niczym cię nie chroni, prędko usunie ci się spod nóg albo zawali na głowę. Żeby było jasne: intryga to ordynarne złudzenie, nie zapewnia ona żadnego środka do osiągnięcia celu, żadnego wsparcia. Ty już tego nie potrzebujesz. Teraz

jesteś gdzie indziej, rozumiesz? Nie doceniasz swoich czytelników. Twoi czytelnicy nie oczekują, że będziesz im opowiadać jakieś historie, aby mogli zasnąć w spokoju albo aby ich pocieszyć. Oni kpią sobie z wymiennych postaci, które można przełożyć z jednej książki do drugiej, kpią sobie z bardziej lub mniej prawdopodobnych, zręcznie udzierganych sytuacji, które czytali już dwadzieścia pięć razy. Mają to gdzieś. Udowodniłaś im, że potrafisz robić coś innego, że jesteś w stanie zmierzyć się z rzeczywistością, wziąć się z nią za bary, pojęli, że szukasz innej prawdy i że przestałaś się bać.

Nie istniało już między nami napięcie, które wyczuwałam w jej kuchni kilka tygodni wcześniej. Byłyśmy dwiema przyjaciółkami, które rozmawiają o mojej pracy i jej następstwach, mnie zaś wzruszyło, że temat ten aż tak bardzo L. obchodzi.

L. nie zastanawiała się, czy jestem zdolna do napisania czegokolwiek *po tym*, miała pewność, że jestem zdolna, miała też bardzo dokładną wizję tego, jaki powinno to przybrać obrót.

Odrzekłam rozbawiona, że igra ze słowami i wypacza to, co powiedziałam. Użyłam terminu *intryga*, ale tak się tylko mówi, żadna z moich książek nigdy nie podsuwała czytelnikowi intrygi ani jej rozwiązania w znaczeniu, jakie ona przywołuje. Niech mi pozwoli przynajmniej wytłumaczyć, co sobie wyobraziłam. Skoro ciekawi ją, jaki użytek da się zrobić z rzeczywistości, właśnie ona może mieć z tego korzyść.

L. skinęła na kelnera, żeby przyniósł nam dwa mojito, dała mi w ten sposób do zrozumienia, że ma mnóstwo czasu, choćby i całą noc, rozparła się wygodnie na krześle, jej postawa mówiła: no dalej, słucham, wypijmy za książkę, której nie chcesz napisać, i za tę, która, jak twierdzisz, siedzi ci w głowie. Dopiłam swoją szklankę i zaczęłam mówić.

– Bohaterka… to znaczy… główna postać… to młoda kobieta, która… która dopiero co opuściła reality show jako zwyciężczyni. Już od pierwszych dni emisji stała się ulubienicą telewidzów, na portalach społecznościowych zrobiło się o niej głośno, znalazła się na pierwszych stronach tabloidów i w programach telewizyjnych. W ciągu paru tygodni, kiedy jeszcze znajdowała się w środku gry (to ten rodzaj, gdzie oni są zamknięci, rozumiesz?), ta dziewczyna stała się gwiazdą.

Czekałam na jakiś znak zachęty ze strony L., lecz na jej twarzy malowała się wyłącznie najwyższa czujność. Mówiłam dalej:

– Właściwie interesuje mnie nie tyle sama gra ani nawet zamknięcie, ile raczej to, co dzieje się potem, kiedy ona wychodzi, to znaczy chwila, kiedy będzie się musiała zmierzyć z własnym wizerunkiem, który nie ma nic wspólnego z tym, kim ona jest.

Siedząca całkiem bez ruchu L. nie odrywała ode mnie wzroku. Nie dawała nic po sobie poznać. Słuchała mnie z uporczywą uwagą. Tym razem również odnosiłam wrażenie, że słowa mi umykają, i nie potrafiłam wyjaśnić mojego pomysłu tak, jakbym chciała. Tym razem również odnosiłam wrażenie, że znów staję się symbolicznie tą dziewczynką, która czerwieni się przed klasą, której jedynym zmartwieniem jest się nie rozpłakać. Mimo to ciągnęłam:

– Przez wiele tygodni jej najdrobniejszy gest, najbardziej błahe słowo stanowiły przedmiot komentarzy. Czyjś wszechwiedzący i wszechpotężny głos bezustannie rozszyfrowywał jej reakcje. Stopniowo głos ten nakreślił ramy czegoś, co od tej pory w oczach wszystkich jawi się jako jej osobowość. Czyli fikcja, która nie ma już z nią zbyt dużo wspólnego. Kiedy opuszcza program, jest ucieleśnieniem postaci, której zarysów nie zna, czegoś w rodzaju powielonej odbitki, odżywiającej się nią, pożerającej ją niczym niewidzialna i nienasycona pijawka. Prasa poszła węszyć w miejscu, gdzie spędziła dzieciństwo, jej życie wymyślono na nowo, aby wzruszyć widzów, i opiera się ono na świadectwach ludzi, z których większości w ogóle nie znała. Krótko mówiąc, kobieta odkrywa własny portret jako wojowniczki, chociaż zapewne nigdy nie czuła się równie bezbronna.

L. nie kryła lekkiego grymasu, zachęcała mnie wszakże, bym mówiła dalej. Wiedziona sama nie wiem jakim poczuciem dumy, które nie pozwala człowiekowi uznać się za pokonanego, dopóki nie padnie na ziemię, podjęłam:

– Dobra. Jest jeszcze inna postać, pewien chłopak, montażysta, który pracował przy programie przez cały czas trwania emisji. W rzeczywistości mocno się przyczynił, poprzez dobór obrazów i sekwencji, do stworzenia tego, co ona odkrywa. Chłopak usiłuje się z nią skontaktować, chce ją znów zobaczyć.

Dziwnym trafem zaczęłam mieć trudności w udawaniu jakiegokolwiek entuzjazmu wobec własnych słów. Nagle wszystko stało się groteskowe.

– W rzeczywistości – i dlaczego powtarzałam co parę zdań *w rzeczywistości*? – on sam dokładnie nie wie, kim ona jest. Zależy od fikcyjnej kobiety, od kobiety, do stworzenia której się przyczynił, która nie istnieje.

L. nawet nie drgnęła. Teraz mój pomysł ukazał mi się w bezlitosnym świetle: wszystko to było tak bardzo przewidywalne, tak bardzo… sztuczne. Wszystko to, w tej samej chwili, w której o tym mówiłam, wydało mi się tak bardzo jałowe.

Kelner wśliznął się między nas i postawił szklanki na stoliku.

L. wyjęła z torebki paczkę chusteczek. Grała na zwłokę.

Wciągnęła przez słomkę spory haust koktajlu, machinalnie poderwała do tańca listki mięty w swojej szklance, ciągle wahała się, by przemówić.

– Zastanawialiśmy się nad tym dawno temu, na długo przedtem, zanim pisałaś książki, Delphine. Czytaliśmy Rolanda Barthes’a i Gérarda Genette’a, René Girarda i Georges’a Pouleta, robiliśmy fiszki z brystolu i podkreślaliśmy kluczowe kwestie czterokolorowym długopisem, nauczyliśmy się idei i nowych słów, jakbyśmy odkryli Amerykę, ożywiliśmy swoich idoli, spędziliśmy całe godziny na próbach zdefiniowania, co to jest autobiografia, wyznanie, fikcja, prawdziwe kłamstwo i „zmyślenie w służbie prawdy”.

Doskonale wiedziałam, o czym mówi, nie pojmowałam jednak znaczenia owego *my*. Być może L. była studentką nauk humanistycznych w tym samym okresie co ja. Zapewne studiowała strukturalizm, nową powieść i nową krytykę, owo *my* zaś oznaczało pewne pokolenie, nasze pokolenie, karmiące się tymi samymi myślicielami.

– Pracowaliśmy nad ewolucją form narracji – ciągnęła – nad dążeniem niektórych autorów do osiągnięcia tego, co fundamentalne, motoru prawdziwego życia.

Przytaknęłam.

L. mówiła dalej. Nagle ton jej głosu stał się bardziej poufny.

– Zbłądzenia serca i umysłu, zmieniający się kolor oczu Emmy Bovary, oczarowanie Lol V. Stein, Nadja, w gruncie rzeczy kreśliło to formę drogi,

wskazywało nam ścieżkę, uzmysławiało nam owo poszukiwanie, którego wy, pisarze, jesteście dzisiaj depozytariuszami.

Tym razem aluzje L. były bardzo wyraźne. Crébillon, Flaubert, Duras, Breton, miała na myśli dzieła znajdujące się w programie kursu przygotowawczego do egzaminu na wyższą uczelnię. Program ten zaś co roku ulegał zmianie.

L. mówiła mi właśnie, że chodziła na kurs przygotowawczy w tym samym roku co ja. Dawała w ten sposób do zrozumienia, że mamy ze sobą coś wspólnego. Mówiła dalej z zapałem, lecz ja przestałam słuchać. Mój umysł usiłował sobie wyobrazić osiemnastoletnią kobietę, którą kiedyś była. Próbowałam postawić łącznik, solidny łącznik sięgający do minionego czasu, z kobietą, która siedziała naprzeciwko mnie – jakże opanowaną, jakże pewną siebie – tylko że na końcu nie było nic, żadnej twarzy.

Wreszcie jej przerwałam.

– Ale do jakiego liceum chodziłaś?

Uśmiechnęła się.

Pozwoliła, by milczenie trwało jeszcze kilka sekund.

– Nie pamiętasz mnie?

Nie, nie pamiętałam. Starałam się teraz przywołać w pamięci twarze dziewcząt z mojej klasy, schowane bardziej lub mniej głęboko, przeglądałam odległe obrazy tak szybko, jak się dało, ale zostało mi ich niewiele i żaden nie przypominał L.

– Nie, przykro mi. Ale dlaczego nic nie powiedziałaś?

– Bo wyraźnie widziałam, że mnie nie rozpoznajesz. Że w ogóle mnie sobie nie przypominasz. To mnie zasmuciło. Wiesz, nauczyłam się jednej rzeczy. Jednej niesprawiedliwej rzeczy, która dzieli świat na dwoje: w życiu są ci, których zapamiętujemy, i ci, o których zapominamy. Ci, którzy odciskają piętno, gdziekolwiek pójdą, i ci, którzy przechodzą niezauważeni, którzy nie pozostawiają żadnego śladu. Oni się nie utrwalają. Wszystko po nich się zaciera. Jestem pewna, że dostajesz listy od ludzi, którzy chodzili z tobą do przedszkola, do gimnazjum, byli z tobą na zimowisku, od ludzi, którzy zarejestrowali w jakimś zakamarku mózgu na stałe twoje nazwisko i twarz. Od ludzi, którzy cię pamiętają. Ty należysz do pierwszej kategorii, ja należę do tej drugiej. Tak już jest, nic nie można na to poradzić. Widzisz,

jak doskonale cię pamiętam. Twoje długie spódnice, dziwaczne włosy i tę czarną skórzaną kurtkę, którą nosiłaś przez cały rok.

– Ależ nie – zaprotestowałam – to nie takie proste, wszyscy należymy do dwóch kategorii.

Dla usprawiedliwienia własnych słów opowiedziałam L. o moim spotkaniu z Agnès Desarthe. Czy ona pamięta, że Agnès Desarthe chodziła na kurs przygotowawczy razem z nami? Oczywiście, L. pamiętała doskonale.

Kiedy Agnès wydała swoją drugą powieść, musiałam mieć ze trzydzieści lat. Pewnego wieczoru na targach podpisywała książki na stoisku swojego wydawcy. W tamtym okresie nie miałam zamiaru publikować czegokolwiek, pracowałam w przedsiębiorstwie i nie wyobrażałam sobie, że pewnego dnia moje życie, którego fundamenty nieustannie umacniałam, aby obronić się przed samą sobą i przed wszystkim, co ze mnie kipiało, może przybrać inny kierunek niż ten, który z całą mocą usiłowałam mu nadać. Mimo to pisałam, ale w granicach, które wydawały mi się do przyjęcia, znośne, to znaczy coś w rodzaju dziennika przeznaczonego tylko dla mnie. W tamtym okresie myśl, aby pisać inaczej, pisać po to, żeby mnie czytano, przedstawiała zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Nie byłam zbyt silna i o tym wiedziałam. Nie miałam struktury psychicznej zdolnej wytrzymać tego typu konstrukcję.

Poszłam odwiedzić Agnès tak samo, jak zapewne uczyniłabym to, gdyby została śpiewaczką albo tancerką, dodatkowo żywiąc podziw, jaki można mieć dla kogoś, kto dokonał tego, co nam wydaje się nieosiągalne. Agnès mnie nie poznała. Nie pamiętała ani mnie, ani mojego nazwiska, ani mojej twarzy. Ja pamiętałam i ją, i jej nazwisko panieńskie, i to, co wiedzieliśmy o niej i o jej rodzinie, pamiętałam, jakiego typu dziewczyną była, mogłabym jej przypomnieć nazwiska uczniów, z którymi się kolegowała, Nathalie Azoulai i Hadrien Laroche (oboje także wydali powieści od tamtego czasu), miałam ich przed oczami, jakbym tam była, jak również Nathalie Mesuret, której jasna skóra i szminka w kolorze cynobru tak bardzo mnie fascynowały. Stanowili oni klasową elitę (*fejmy*, jak powiedziałyby dzisiaj moje dzieci), byli piękni i uśmiechnięci, czuli się jak u siebie, na właściwym miejscu, mieli wszelkie obiektywne i statystyczne powody, żeby tam być, coś w ich zachowaniu nie pozostawiało cienia wątpliwości, rodzice byli z nich dumni, wspierali ich

w staraniach, należeli do owego paryskiego, wykształconego i oświeconego świata, który właśnie zaczynałam odkrywać – w chwili gdy to piszę, zdaję sobie sprawę, że była to z mojej strony czysta projekcja – lecz właśnie tak jawili mi się w swej swobodzie: prawowici.

Pamiętałam Agnès Desarthe, chociaż ona z trudem mnie poznała. Oto co chciałam przekazać L.: wszyscy byliśmy rozbitkiem, zaginionym kogoś innego, to nic nie znaczyło, to nie miało sensu.

Opowiedziałam L., że zachowałam fotografię klasy (zresztą tamtego wieczoru na targach książki Agnès zapytała, czy zechciałabym zrobić dla niej odbitkę, którą wysłałam jej pocztą kilka miesięcy później).

– Nadal masz to zdjęcie?

– Oczywiście. Przechowuję wszystkie zdjęcia, które wpadną mi w ręce, jestem zdjęciową maniaczką, niczego nie gubię, niczego nie wyrzucam. Pokażę ci je, jeśli chcesz. Będziesz się mogła przekonać, że po prostu i zwyczajnie się utrwaliłaś!

L. zastanawiała się przez chwilę, po czym odparła:

– Chyba mnie na nim nie ma. Jestem tego niemal pewna. Tamtego dnia byłam chora.

L. sprawiała wrażenie zasmuconej, ja zaś poczułam się winna. Chodziłyśmy cały rok na ten sam kurs, a ja jej nie poznałam. Nic znajomego mnie w niej nie urzekło, nie zaintrygowało, i nawet teraz nie byłam w stanie przypomnieć sobie, jak mogła wyglądać. Rzecz jasna, zmieniła nazwisko i nosiła dzisiaj nazwisko męża (chociaż nie żył od wielu lat), lecz ani przez moment jej twarz nie obudziła we mnie żadnego wspomnienia ani nie wywołała wrażenia, że już ją gdzieś widziałam.

Przez kilka minut sączyłyśmy mojito. Z tamtego ulotnego roku powracały inne, odległe obrazy. Dziwnie było przywoływać wspomnienia, o których nie myślałam od tak dawna.

L. przysunęła się do mnie, nagle poważniejąc.

– Twój pomysł nie jest zły, Delphine. Tylko że twoje postacie nie mają duszy. Dzisiaj nie można już pisać takich rzeczy. Nie w tej formie. Czytelnik ma to w dupie. Musisz znaleźć coś bardziej wciągającego, bardziej osobistego, coś, co pochodzi od ciebie, z twojej historii. Twoje postacie muszą mieć związek z życiem. Muszą istnieć poza papierem, oto czego domaga się czytelnik, żeby to istniało, żeby pulsowało. *Jak bonie*

dydy, jak mawiają dzieci. Nie możesz tkwić aż do tego stopnia w sztucznej konstrukcji, w zmyłce, w szalbierstwie. Inaczej twoje postacie będą jak papierowe chustki do nosa, po jednym użyciu wylądują w pierwszym napotkanym koszu. I wszyscy o nich zapomną. Ponieważ jeśli postacie fikcyjne nie mają żadnego związku z rzeczywistością, nic po nich nie zostaje.

Byłam wzburzona, nie mogłam się zgodzić z jej słowami. Czyż postać nie ma prawa pojawić się znikąd, bez żadnych powiązań, nie ma prawa być czystym wymysłem? Czy powinna się tłumaczyć? Nie. Nie uważałam tak. Czytelnik bowiem wie, czego ma się trzymać. Czytelnik zawsze chętnie ulega złudzeniu i bierze fikcję za rzeczywistość. Czytelnik jest zdolny do następującej rzeczy: uwierzyć, zdając sobie jednocześnie sprawę, że to nie istnieje. Uwierzyć, jakby to była prawda, jednocześnie mając świadomość, że to zmyślone. Czytelnik jest zdolny opłakiwać śmierć lub upadek postaci, która nie istnieje. A to przeciwieństwo szalbierstwa.

Każdy czytelnik może to zaświadczyć. L. się myliła. Chciała usłyszeć tylko połowę historii. Czasami historia jest wręcz tak mocna, że ma swoje przedłużenie w rzeczywistości. Kiedy pojechałam z Louise i Paulem do Londynu, zwiedziliśmy dom Sherlocka Holmesa. Turyści z całego świata przyjeżdżali zobaczyć ten dom. Tylko że Sherlock Holmes nigdy nie istniał. Ludzie przychodzą niekiedy obejrzeć jego maszynę do pisania, lupę i tweedową czapkę, meble, mieszkanie, w aranżacji według powieści Doyle’a. Ci ludzie o tym wiedzą. A jednak stoją w kolejce i płacą, żeby zwiedzić dom, który jest wyłącznie drobiazgową rekonstrukcją fikcji.

L. przyznała, że to prawda. I że to urocze.

Lecz co do niej, kiedy czyta książkę, pasjonuje ją i nie daje spać nie tylko to, że to dobrze brzmi. Ale świadomość, że istotnie miało miejsce. Coś się wydarzyło, a następnie autor poświęcił wiele tygodni, miesięcy, lat, żeby przekształcić ów materiał w literaturę.

Dopiłam moje mojito jednym haustem.

L. obdarzyła mnie uśmiechem.

Sprawiała wrażenie kogoś, kto się nie niepokoi, kto wie, że jego pora nadejdzie. Kogoś, kto nie ma wątpliwości, że czas będzie działał na jego korzyść, okaże się dla niego łaskawy.

Po narodzinach Louise i Paula przestałam pisać dziennik, który prowadziłam od lat.

Po kilku miesiącach zapiski wyrzucone w ten sposób za drzwi, powróciły przez okno, i zaczęłam pisać powieść. Nie wiem, skąd się wzięło to pragnienie, i nie potrafię dzisiaj powiedzieć, jaki wypadek, jakie wydarzenie, jakie spotkanie pozwoliły mi przejść do czynu. Przez całe lata prywatne, pozbawione cenzury, niemal codzienne zapiski pomogły mi poznać samą siebie, stworzyć się. Nie miały nic wspólnego z literaturą. Teraz zaś, gdy uczyłam się żyć bez nich, okazało się, że mogę pisać coś innego, tak naprawdę nie wiedząc, co ani jaki to może przybrać kształt.

Mając więc parę godzin przed sobą, spisywałam tę historię.

Pewnego dnia wysłałam pocztą maszynopis, powstały pod wpływem paru miesięcy, które spędziłam w szpitalu, wkraczając w wiek dorosły. Autobiograficzną, napisaną w trzeciej osobie powieść, w której domagałam się części fikcji.

Zostałam przyjęta w gabinecie pewnego paryskiego wydawcy, który był wyraźnie niezadowolony: jego zdaniem tekstowi brakowało efektu realności.

Czy ja przynajmniej wiem, co to jest *efekt realności*?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, pozwolił sobie mi o tym przypomnieć: pojęcie to stworzył Roland Barthes; chodzi o element, który jasno daje czytelnikowi do zrozumienia, że celem tekstu jest opisanie świata rzeczywistego, element, którego zadanie polega na potwierdzeniu wyraźnego związku między tekstem a rzeczywistością.

No cóż, ciągnął, tego brakuje. Nie należy zasłaniać twarzy, autobiograficzny wymiar tych stron jest oczywisty, po co więc chować głowę w piasek? Książka jest wyznaniem, należy dodać parę szczegółów, które nie mogłyby zmylić, upewnić czytelnika co do jakości towaru, podjąć

się w pełni opowiedzenia tej historii, w pierwszej osobie, i udać się do Jeana-Luca Delarue[1], aby o tym porozmawiać. Poza tym anoreksja staje się modna. Z chusteczką pod ręką, drżącym głosem odparłam, że skoro myśli, iż tekst nie jest niczym więcej, nie przedstawia żadnej innej wartości, nie należy go publikować. Dodałam (mimo woli mój głos nabierał powoli coraz wyższego tonu), że jedna z moich najlepszych przyjaciółek pracuje od dziesięciu lat z Jeanem-Lukiem Delarue. Gdyby więc chodziło wyłącznie o to, o wystąpienie w telewizji, nie musiałabym w tym celu pisać książki. Byłam na granicy płaczu, zaledwie na granicy. Nigdy dotąd nie przekroczyłam progu wydawnictwa, wzięłam wolne popołudnie w pracy, żeby przyjść na to spotkanie, musiałam się zastanawiać dwa albo trzy dni nad strojem, jaki wypada włożyć w takiej sytuacji, może nawet kupiłam spódnicę czy bluzkę na tę okazję. Przez sekundę przemknęła mi przez głowę myśl, iż mogłabym wybiec, ale nie. Byłam zbyt dobrze wychowana.

U szczytu schodów pożegnaliśmy się ostrożnie.

Nie miałam nic przeciw efektom realności, przepadałam za efektami realności, tylko że wydawca mówił o czymś innym. On chciał, abym wpisała tekst w Prawdę. Chciał, abym powiedziała czytelnikowi: uwaga, proszę pani, proszę pana, wszystko, co państwu opowiadam, jest autentyczne, oto książka, która pachnie Przeżytym Doświadczeniem, książka w stu procentach autobiograficzna, oto Prawdziwa Prawda, oto Życie w czystej postaci, z gwarantowanym brakiem dodatków, rzeczywistość, która nie uległa żadnej transformacji, szczególnie literackiej.

Właśnie o tym rozmyślałam w drodze do domu, lekko pijana, rozstawszy się z L. przed barem, w którym wypiłyśmy trzecią kolejkę. Obie śmiałyśmy się do rozpuku w głębi sali, ponieważ rozmowa zeszła w końcu na temat naszych młodzieńczych pasji, sprzed Barthes’a i całej zgrai, kiedyśmy ozdabiały ściany swoich pokojów plakatami.

Opowiedziałam L. o dwudziestu czterech miesiącach, kiedy jako szesnastolatka zadurzyłam się koncertowo w Ivanie Lendlu, czeskim tenisiście o nieprzyjemnym wyglądzie, dostrzegając jego posępną i pociągającą urodę, i to do tego stopnia, że zaprenumerowałam „Tennis Magazine” (chociaż nigdy w życiu nie miałam w ręku rakiety) i przez całe godziny ślęczałam przed telewizorem, śledząc relacje z turnieju Rolanda Garrosa, następnie Wimbledonu, zamiast powtarzać do matury. L. aż zatkało. Ona też go uwielbiała! Po raz pierwszy spotkałam kogoś, kto lubił

Ivana Lendla, jednego z najbardziej znienawidzonych graczy w historii tenisa, zapewne z powodu zaciętej twarzy, której nic nie było w stanie rozchmurzyć, oraz metodycznej i uciążliwej gry z głębi kortu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa zresztą właśnie z tych powodów, jako że był taki duży, chudy i niezrozumiany, tak bardzo go polubiłam. Dokładnie w tym samym okresie L. oglądała wszystkie mecze Ivana Lendla, doskonale to pamięta, zwłaszcza tamten słynny finał Rolanda Garrosa z Johnem McEnroe'em, który Lendl wygrał po wyjątkowo dramatycznej walce. Pokazano go wówczas jako zwycięzcę z grymasem wyczerpania na twarzy i po raz pierwszy cały świat zobaczył jego uśmiech. L. była bezkonkurencyjna, pamiętała wszystkie szczegóły z życia i kariery Ivana Lendla, które mnie częściowo umknęły. To było niesamowite: wyobrazić sobie po dwudziestu latach, jak obie siedzimy zahipnotyzowane przed telewizorami, ona na paryskim przedmieściu, a ja w normandzkim miasteczku, z całej duszy pragnąc konsekracji człowieka ze Wschodu. L. wiedziała również, co się potem stało z Ivanem Lendlem, śledziła to wszystko z bliska, zarówno jego karierę, jak i życie prywatne. Ivan Lendl był żonaty i miał czworo dzieci, mieszkał w Stanach Zjednoczonych, trenował młodych tenisistów i dał sobie zrobić nowe zęby. L. ubolewała nad ostatnim punktem, nad zniknięciem czechosłowackiego uśmiechu (zęby ułożone nierówno – można się było domyślać, że zachodzą na siebie) na korzyść amerykańskiego (sztuczne, idealnie równe, olśniewająco białe zęby), według niej stracił cały swój urok, jeśli nie wierzę, wystarczy sprawdzić w internecie.

Był to dziwny zbieg okoliczności. Jeden z wielu punktów wspólnych, który nas zbliżał.

Tylko że z pamięci wyłoniła mi się inna rzecz.

Wróciwszy do Paryża, aby rozpocząć studia, złożyłam papiery do pewnej agencji, która zatrudniała hostessy, witające gości na rozmaitych wystawach i imprezach. Dość szybko się jednak okazało, że nie pasuję do profilu, czegoś mi brakowało, coś nie grało, toteż co tydzień, podczas gdy inne dziewczyny wysyłano do Pałacu Kongresowego czy na wystawę samochodów, agencja proponowała mnie i pozostałym promocje w hipermarketach na odległych przedmieściach, do których można się było dostać z większym lub mniejszym trudem za pośrednictwem szybkiej

kolejki podmiejskiej. Stojąc więc przed regałami bądź gondolami, prezentowałam perfumy, siekane steki albo proszki do prania, zachęcałam do skosztowania naleśników (crêpes), krakersów oraz własnoręcznie pokrojonych próbek miękkiego sera, rozdawałam ulotki na torach rolkarskich, nosiłam pseudowiejskie koronkowe fartuszki, reklamowe szaliki i podkoszulki, powtarzałam do znudzenia radosne hasła podczas Dnia Matki albo Wielkanocy, aż mi się potem śniły nocami. Po wielu miesiącach wytężonej pracy, jeśli otrzymałyśmy dobrą ocenę przy niezapowiedzianej kontroli, mogłyśmy liczyć na przeniesienie do sklepów na bliskich przedmieściach, a nawet w samym Paryżu.

Tak oto gdy byłam w klasie maturalnej, przydzielono mi sklep Bon Marché. Oznaczało to niespodziewane wyróżnienie, niesłychany awans. Koniec z szybką kolejką podmiejską o świcie, koniec z kawiarniami o pomarańczowych ścianach i z migającymi neonami. Miałam się ustawić na szczycie ruchomych schodów i przez cały dzień rozdawać kupony rabatowe na nową gamę produktów do włosów, jaką pewna firma kosmetyczna zamierzała lansować w galeriach handlowych. Włożyłam dostarczony przez agencję strój, którego pomięty materiał wcale nie maskował obcisłego kroju. Komicznego charakteru nadawał mu jednak wiskozowy szal, który każda z nas musiała zawiązać wokół szyi, żałosna imitacja apaszki Hermèsa, której wzór stanowiło logo firmy. Zbliżała się siedemnasta, czułam, jak puchną mi stopy (przyjaciółka pożyczyła mi trochę za małe pantofle), gdy wtem ujrzałam, jak cała gromada wjeżdża na górę, zastygłszy na ruchomych schodach. Tego właśnie nie przewidziałam: wysokiego prawdopodobieństwa, że w sobotę, w samym środku VII dzielnicy, spotkam uczniów z mojego liceum. Nie pamiętam już tak naprawdę ich twarzy i nie znam nazwisk, sama nie wiem, czy to byli uczniowie z mojej klasy, czy z innej maturalnej. Minęli mnie, trącając się łokciami, było ich dość sporo, część przystanęła, zawróciła, słyszałam śmiechy, dziewczyny chichotały, chłopcy zaś rzucali dowcipami, któryś z nich, nie patrząc na mnie, chwycił jeden z rozdawanych przeze mnie kuponów rabatowych. Zaczął głośno drwić z jego treści, dziewczyny rechotały na całego. Były piękne, pamiętam, a ja wystrojona jak stróż w Boże Ciało w kostium gorszego gatunku, przypominający mundurek stewardesy. Udałam, iż nie zauważyłam, że zostali tuż za moimi plecami, że parskają śmiechem, gdy powtarzam bez końca te same zdania, dzień-dobry-

pani-proszę-bardzo-oto-kupon-rabatowy-na-nasze-szampony-odżywki-maski-nawilżające-nowa-wyjątkowa-gama-produktów-pielęgnacyjnych-do-włosów-proszę-nie-zwlekać-i-czym-prędzej-rzucić-okiem-na-nasze-promocje-o-tam-pierwszy-regał-na-prawo. Jakaś kobieta zapytała, czy może dostać dwa, wręczyłam jej drugi kupon. Chciała się dowiedzieć, czy produkty mają działanie przeciwłupieżowe, odniosłam wrażenie, że chichot za mną narasta, a potem nagle usłyszałam ów dziewczęcy głos, dobiegający z grupy, głos pełen oburzenia i pogardy:

– Słowo daję, ale z was kretyni. To jest właśnie elita narodu, mali gówniarze, którzy nigdy w życiu nie zhańbili się żadną pracą z wyjątkiem posłania własnego łóżka, a teraz robią sobie jaja z dziewczyny, która tyra w sobotę. Porąbało was?

Nadal wręczałam kupony, stojąc u szczytu ruchomych schodów, niczym automat, którego gestów nic nie było w stanie zakłócić, ledwie oddychałam, całe moje ciało było napięte i wyciągnięte ku nim, chciałam, żeby sobie poszli, wszyscy, żeby zniknęli. Słyszałam, jak głosy się oddalają, odczekałam jeszcze chwilę, nim się obejrzałam. Widziałam ich plecy, trącali się łokciami, nie zdołałam rozpoznać dziewczyny, która położyła kres mojej męczarni.

Tak, tamtego wieczoru, gdy wyszłam z kawiarni i samotnie podążałam ulicą, przeżywając na nowo tę scenę, do której wracałam myślami od lat, usłyszałam właśnie głos L.

W owym oczywistym nałożeniu się obrazów nabrałam pewności, że tą dziewczyną, która przepędziła grupę, a której nie udało mi się zobaczyć, była L.

We wrześniu wyjechałam, żeby pomóc dzieciom w przeprowadzce. Paul otrzymał pokój w akademiku, Louise zaś zamieszkała jako współlokatorka z dwiema koleżankami, które wybrały ten sam kierunek studiów co ona. Pierwsze tygodnie po wakacjach zajęły mi wycieczki w tę i z powrotem do Ikei i Castoramy, parodniowy pobyt w Tournai, potem w Lyonie, toteż nie mogło być mowy o pisaniu. Byłam szczęśliwa, korzystając z chwil spędzonych z dziećmi. Odwlekając moment pożegnania.

Nie miałam głowy, żeby się do tego zabrać, właśnie tak powiedziałam L., gdy pewnego dnia zagadnęła przez telefon, jak tam z realizacją mojego projektu. Nie rzucając żadnych twierdzeń, zapytała swym cichym głosem, czy to wszystko (ciągłe wycieczki w tę i z powrotem, urządzanie dzieci, wypełnianie papierów, zakupy) nie dostarcza mi wygodnego pretekstu, aby nie dostrzegać kryzysu twórczego, który nie pozwala mi usiąść i pisać, kryzysu związanego z samym projektem, a nie z okolicznościami. Czy w innym okresie nie umiałam znaleźć potrzebnej przestrzeni i czasu, chociaż pracowałam cztery dni w tygodniu na dalekim przedmieściu? Według niej nie chciałam przyznać, że mój pomysł nie jest dobry i że od kilku miesięcy wkraczam na nie swój teren, co prowadzi wręcz do zmian w mojej pracy. Czyż to nie właśnie brak ciągłości, którego się tak daremnie kurczowo czepiam, nie przeszkadza mi pisać? Podsuwała mi ten trop, abym to przemyślała. Pytanie, które uważała za fundamentalne, którym teraz, skoro zostałyśmy przyjaciółkami, pozwalała sobie się ze mną podzielić. Nie miała żadnej pewności, tylko przeczucie.

Nie znalazłam żadnych argumentów, by jej się przeciwstawić.

Owszem, przy ograniczonym czasie znalazłam chwilę na pisanie.

Tyle że nie byłam już taka młoda i nie miałam już wyjścia, ot i wszystko.

Pokazałam L., którą bardzo ciekawiło to, w jaki sposób pracuję (jak nikogo przed nią), kiedyś moje notesy, trzy lub cztery jednakowej wielkości, w delikatnych i lśniących okładkach, podarowane mi przez François po wystawie Edwarda Hoppera. Każda okładka była reprodukcją jednego z obrazów malarza.

Robię zapiski w małych notesach. Lubię, żeby notatniki były cienkie i lekkie, w linię, żeby miały miękkie okładki. Trzymam je na dnie torebki i wszędzie zabieram ze sobą, w podróż, na wakacje, wieczorem zaś zawsze kładę jeden na stoliku nocnym. Notuję w nich pomysły albo zdania do bieżącej pracy, lecz także inne słowa, tytuły przyszłych książek, początki opowieści. Czasami postanawiam się zorganizować: przez kilka tygodni do jednego notesu trafiają pomysły dotyczące bieżącej książki, kolejny zaś jest zarezerwowany dla późniejszych przedsięwzięć. Zdarzało się, że w okresach wrzenia miewałam pięć czy sześć *rozpoczętych* notesów, z których każdy odpowiadał odrębnemu projektowi; w końcu jednak wszystko mi się miesza.

Wmawiałam mojej wydawczyni, że wszystko jest w porządku, stosując dość mgliste pojęcia, aby odwlec kłamstwo: właśnie robię dodatkowe poszukiwania, przygotowuję grunt, umacniam fundamenty…

Nie ma żadnego powodu do niepokoju.

Właśnie zamierzałam się znów zabrać do pracy.

W rzeczywistości grałam na zwłokę, trwoniłam czas na inne sprawy, odsuwałam z dnia na dzień i z tygodnia na tydzień chwilę, w której będę musiała przyznać sama przed sobą, że coś pękło, zagubiło się, przestało działać.

W rzeczywistości gdy tylko włączałam komputer, gdy tylko zaczynałam się zastanawiać, odzywał się głos cenzury. Władzę nad moim umysłem przejęło coś w rodzaju sarkastycznego, pozbawionego wyrozumiałości superego. Chichotało, szydziło, drwiło. Czyhało na słabe zdanie, które po wyrwaniu z kontekstu wywołałoby wesołość, jeszcze zanim zostało sformułowane. Na czole wyrosło mi trzecie oko nad dwoma pozostałymi. Bez względu na to, co zamierzałam napisać, potrafiło z miejsca przejrzeć moje zamiary. Trzecie oko czekało na mnie tuż za rogiem, torpedowało każdą próbę rozpoczęcia, demaskowało oszustwo.

Właśnie dotarło do mnie coś przerażającego i oszałamiającego: od tej pory stałam się swym najgorszym wrogiem. Własnym tyranem.

Czasami nachodziła mnie pewna ponura, nieznośna myśl: L. miała rację. L. biła na alarm, bo wiedziała, że zmierzam ku katastrofie.

Obrałam zły kierunek.

L. próbowała mnie ostrzec, ale ja udawałam, że nie słyszę.

Louise i Paul rozpoczęli rok akademicki, ja zaś zostałam w domu sama. Nie wyobrażałam sobie tego i w pewnym sensie nie byłam na to przygotowana. Chcę przez to powiedzieć, że nie sposób było przeczuć tę ciszę ani podejrzany bezruch, w jakim znienacka zastygło mieszkanie.

A przecież przed ich wyjazdem próbowałam przewidzieć własną obecność w pustej przestrzeni. Próbowałam uzmysłowić sobie pustkę i nowe życie, jakie się z nią wiąże. Mocno się jednak pomyliłam. Teraz należało się zmierzyć nie z wyobrażeniem, lecz z rzeczywistością, której trzeba było się poddać. Krążyłam od pokoju do pokoju w poszukiwaniu czegoś, co zniknęło. Właśnie skończył się pewien okres w moim życiu, stało się to w sposób naturalny i radosny, bez wstrząsów, stanowiło to część porządku rzeczy, a i tak mnie dobijało. W pustych pokojach łóżka były zaścielone, książki ustawione w równych rzędach, szafy pozamykane. Jeden czy dwa przedmioty przełożone nie na swoje miejsce, jakaś część garderoby nadal wisiała na oparciu krzesła, wpatrywałam się w ten fałszywy bałagan, przypominający nieporządek, który można zobaczyć w katalogach mebli albo czasopismach wnętrzarskich, a który jest tym, czym jest: śmieszną podróbką, sztuczną namiastką życia. Chciało mi się płakać.

L. telefonowała regularnie, troszczyła się o mój stan ducha.

L. najwyraźniej brała to sobie bardzo do serca, współczuła mi i stopniowo jawiła mi się jako jedyna osoba zdolna pojąć, co mnie gnębi: przepełnione wspomnieniami mieszkanie, które teraz musiałam zajmować sama, domowy czas, z którym nie wiedziałam, co zrobić.

Miałam wszakże do napisania książkę i nadeszła pora, by się do tego zabrać.

Codziennie włączałam komputer, poprawiałam fotel. Mając ekran na wysokości oczu, otwierałam plik Worda, w którym od kilku tygodni pisałam ciągle od nowa początek, nigdy nieprzekraczający dwóch stron. Szukałam tytułu. Czasami jakiś tytuł wywoływał pragnienie. Nigdy jednak nie budził nic więcej poza krótkim zapałem, po którym następowało ogólne odrętwienie, nieodparte zmęczenie, zmuszające mnie w końcu zawsze do wstania od biurka, ze strachu, że spadnę z krzesła albo zasnę tak po prostu, nagle, z głową na klawiaturze (wtedy powracał obraz ośmio-, dziesięciomiesięcznego Paula: pewnego dnia, kiedyśmy późno wrócili z placu zabaw i przegapiliśmy porę drzemki, siedząc na wysokim krześle, zanurkował nosem w talerzu purée).

Albo powracał z daleka ów drwiący śmiech.

Mimo to codziennie odtwarzałam cały rytuał, tak jakby nic mnie nie krępowało, nic nie przerażało.

Nadchodzi chwila, gdy nic już nie stoi na przeszkodzie, gdy potrzebna przestrzeń została uwolniona, gdy wszystko znalazło się na swoim miejscu, uporządkowane, sklasyfikowane, przepisane. Cisza po prostu i zwyczajnie wróciła, poduszka leży na krześle tak, jak trzeba, klawiatura komputera czeka już tylko na palce, które będą w nią stukać.

Nadchodzi chwila, gdy człowiek powinien się w tym zatopić, odnaleźć rytm, natchnienie, determinację. Tylko że to się nie pojawia.

Nadchodzi chwila, gdy człowiek mówi sobie, że to kwestia dyscypliny, że wystarczy porządnie kopnąć się w tyłek, przestrzega więc zasad gry, włącza bestię o określonej godzinie, i to wcześnie rano, zajmuje miejsce przy biurku, pełne skupienie, pełna mobilizacja, pełna determinacja. Ale nic się nie dzieje.

Nadchodzi chwila, gdy człowiek sobie mówi, że to nie powinno się odbywać w ten sposób, że to nie było aż takie bolesne, albo jeśli było bolesne, ów ból zawierał jakąś część radości, ale tym razem nie, to tylko klęska. Mój pusty wzrok przed komputerem.

Nieco później nadszedł czas bez wymówek, bez wykrętów. Wszystko było gotowe, lecz nie dało się nic napisać.

Bałam się. Już nie potrafiłam.

Postacie, które opisałam L., zostały pozbawione materii, oddaliły się bez mojej wiedzy i w końcu straciłam je z oczu. Idea powieści oklapła, opadła jak suflet.

Brzmiało to fałszywie.

Opowieść, sytuacja, sama idea książki, sama idea idei.

Już nic nie miało sensu.

Pewnego październikowego wieczoru oznajmiłam mojej wydawczyni, że rezygnuję z projektu, o którym jej mówiłam. Coś nie grało, coś obracało się w próżni. Poprosiła, żebym wysłała jej to, co już napisałam, nawet w wersji roboczej, w stanie surowym, będzie umiała czytać między wierszami, nawet sam zaczątek, nawet kilka stron. Odparłam, że nie napisałam nic, ani jednej linijki, rozłączyłam się.

Nie byłam w stanie wyjaśnić wrażenia impasu, w jakim się znalazłam, wstrętu, jakim mnie to napawało, poczucia, że wszystko straciłam.

Ani przez moment nie przypuszczałam, że rozmowy, jakie prowadziłam z L., mogą mieć jakikolwiek związek z moją rezygnacją. Jak dotąd żaden punkt widzenia, żadna wypowiedź, żadne napomknięcie nie miało wpływu na moją pracę. Książki narzucały mi się same, to nie podlegało dyskusji, nie podlegało negocjacjom, to nie był wybór, to była droga i nie istniała żadna inna.

Jak mogłabym sobie wyobrazić, że jedna czy dwie rozmowy miałyby wystarczyć, aby zaparło mi dech?

W nocy leżałam z szeroko otwartymi oczami. Nie widziałam nic: żadnego migotania, żadnej iskry.

Pewnego poranka o bardzo wczesnej porze, wracając po nocy spędzonej z François, na rogu mojej ulicy spotkałam L. Nie przed samymi drzwiami, za to kilkaset metrów od mojego domu. Nie istniał żaden powód, żeby się tam znalazła. Moja ulica jest bardzo wąska i nie ma na niej żadnego handlu, dzień ledwie się zaczynał, okoliczne kawiarnie zaś były jeszcze zamknięte. Szłam ze spuszczoną głową, dość szybko z racji zimna. Moje spojrzenie przyciągnęła jednak wysoka biała postać na chodniku naprzeciwko, zapewne dlatego, że zastygła w bezruchu. L. otuliła się długim płaszczem i podniosła kołnierz. Nie poruszała się, wyglądała, jakby nie przyszła znikąd ani nawet na nikogo nie czekała. Po paru sekundach odniosłam wrażenie, że co jakiś czas wpatruje się w drzwi mojego budynku. Kiedy mnie ujrzała, jej twarz się rozpromieniła. W jej oczach nie dostrzegłam ani śladu zakłopotania czy zaskoczenia, tak jakby to było zupełnie normalne, że tkwi tutaj w środku zimy, o siódmej rano. Chciała się ze mną zobaczyć i zastała zamknięte drzwi. Właśnie tak mi powiedziała. Nie próbowała niczego zmyślać i ta prostota mnie wzruszyła, ponieważ przy tym wyznaniu L. miała dziecinny wyraz twarzy, jakiego u niej nie znałam.

Podreptała za mną krok w krok i weszła do mieszkania. Przed wyjazdem przykręciłam ogrzewanie, a w nocy spadła temperatura. Zaproponowałam jej szal, ale odmówiła. Zdjęła płaszcz, pod spodem nie miała swetra, tylko satynową bluzkę, której mocno lejący się materiał opływał jej brzuch, ramiona, ręce. Był to raczej rodzaj stroju, który wkłada się na wieczór albo na nieco bardziej uroczystą kolację. Zastanawiałam się, skąd przyszła i czy spała. Postawiłam na ogniu włoską maszynkę do kawy, usiadłyśmy na kanapie. Byłam przemarznięta na kość. Znajdująca się obok L. wydawała się rozgrzana przez jakieś wewnętrzne paliwo, które chroniło ją przed chłodem. Jej ciało emanowało jakąś osobliwą zmysłowością. Spokojem.

Siedziałyśmy kilka minut w milczeniu, po czym przysunęła się do mnie. Wydawało mi się, że ma lekko ochrypły głos, jakby przez całą noc śpiewała albo paliła papierosy.

– Zdarzyło ci się kiedyś, że nie mogłaś wrócić do domu?

– Tak, oczywiście. Ale od dawna już nie.

– Dziś w nocy kochałam się z mężczyzną w hotelowym pokoju. Około piątej, szóstej rano ubrałam się i wsiadłam do taksówki, która podwiozła mnie pod dom. Gdy tylko znalazłam się pod drzwiami, nie byłam w stanie wejść na górę, nie miałam ochoty spać ani nawet się położyć. Tak jakby coś we mnie nie chciało się poddać. Znasz to uczucie? Ruszyłam więc przed siebie. I dotarłam aż tutaj.

Maszynka do kawy zaczęła gwizdać, wstałam, żeby zgasić płomień. Przy każdej z moich przyjaciółek nalałabym kawę i czym prędzej wróciła na kanapę, nie czekałabym ani sekundy dłużej, by przystąpić ze śmiechem do drobiazgowego przesłuchania: co to za mężczyzna, od kiedy się z nim widuje, gdzie, czy jeszcze się z nim spotka?

Teraz jednak postawiłam przed L. filiżankę i cukier, lecz nie usiadłam.

Nie byłam w stanie zadać jej choćby jednego pytania.

Patrzyłam na L., wyczuwałam pulsującą pod jej skórą gorączkę, owszem, z miejsca, w którym się znajdowałam, dostrzegałam to bardzo wyraźnie, krew krążącą szybciej w jej żyłach.

Stałam tak daleko od niej, oparta o zlew. Po raz pierwszy przeszło mi przez myśl, że L. ukrywa coś, co mi umyka, czego nie rozumiem. Chyba po raz pierwszy, sama nie wiem dlaczego, ogarnął mnie lęk, przy czym ów lęk nie mógł przybrać żadnego kształtu ani obrazu.

L. wypiła kawę, wstała. Podziękowała mi.

Zrobiło się jasno i teraz czuła się gotowa, żeby wrócić do domu, była wyczerpana.

Chciałabym, aby udało mi się opisać osobowość L. we wszystkich jej aspektach, choćby były nie wiadomo jak sprzeczne.

L. pokazywała zmienne oblicza, raz była poważna i opanowana, raz skłonna do żartów i nieprzewidywalna. Zapewne właśnie dlatego tak trudno odmalować jej usposobienie, raptowne kłopoty z samokontrolą, mieszaninę władczości i powagi, to znów nagły przypływ dobrego humoru albo

fantazji; ich gwałtowność kojarzyła mi się z niespodziewanym przeciągiem, który powstaje, kiedy okna otwierają się pod naporem wiatru.

L. nie przestawała mnie zadziwiać swoją zdolnością momentalnego wychwytywania cudzych nastrojów i dostosowywania się do nich. Umiała rozładować niechęć kelnera, który przyniósł kawę, albo zmęczenie sprzedawczyni pieczywa, tak jakby wyczuła, w jakim są humorze, gdy tylko przekroczyła próg kawiarni bądź piekarni. Zawsze była o krok do przodu. W miejscu publicznym potrafiła rozpocząć rozmowę z kimkolwiek i po niespełna trzech minutach już wydobywała westchnienia, prowokowała do zwierzeń. Okazywała wyrozumiałość i tolerancję, sprawiając wrażenie kogoś, kto jest w stanie wysłuchać wszystkiego bez osądzania.

L. umiała znaleźć słowa pocieszenia i otuchy.

L. należała do ludzi, ku którym instynktownie zwracamy się na ulicy, aby wskazali nam drogę albo udzielili informacji.

Zdarzało się jednak, że na owej gładkiej powierzchni nieoczekiwanie pojawiała się rysa, a L. sama odsłaniała zaskakujące oblicze. Czasami, w oczywistym dążeniu do zaprzeczenia własnym stałym cechom, wpadała w straszliwą, przesadną złość, kiedy na przykład ktoś, mijając ją na chodniku, ani trochę nie zboczył (uważała, że gdy naprzeciw siebie idą dwie osoby, każda z nich powinna ustąpić miejsca tej drugiej, przynajmniej odrobinę, na znak szacunku albo dobrej woli). Spośród epizodów w metrze pamiętam, jak pewnego dnia na widok kobiety wrzeszczącej do mikrofonu komórki L. niewzruszona przez pięć minut udzielała na głos odpowiedzi, wywołując wesołość u otaczających nas pasażerów, podczas gdy tamta nie miała o niczym pojęcia.

Innym znów razem, gdy umówiłyśmy się na place Martin-Nadaud, ujrzałam, jak czerwona z wściekłości zasypuje wyzwiskami jakiegoś faceta, który wprawdzie krzyczał głośniej od niej, za to w porównaniu z nią najwyraźniej miał o wiele mniejszy zasób słów. L. pokonała go swym niskim, stanowczym, nieznoszącym sprzeciwu głosem. Kiedy wreszcie zgodziła się oddalić, wyjaśniła, że facet zachował się napastliwie i wulgarnie w stosunku do dwóch bardzo młodych dziewczyn w szortach, które szły przed nim.

L. potrafiła rozprawiać na najrozmaitsze tematy. Paryski brak uprzejmości, zadufani w sobie szefowie, wszelkiej maści inkwizytorzy i dręczyciele, rozmaite formy somatyzacji oraz ich związki z naszymi czasami czy teleportacja ludzi należały do jej ulubionych. Jeśli wyjdziemy z założenia, że jesteśmy jedynie zbiorem połączonych wzajemnie atomów, żadne podstawowe prawo fizyki nie zabroni nam żyć razem, szanując cudzą przestrzeń. Żadne podstawowe prawo fizyki nie przeszkodziłoby nam również teleportować się z punktu A do punktu B za kilkaset albo kilka tysięcy lat, bo przecież już teraz potrafimy przesłać zdjęcie albo muzyczny kawałek na drugi koniec świata niemal w jednej chwili.

Co do innych szalonych pomysłów, L. uważała, że mańkuci to odrębne istoty, że rozpoznają się nawzajem w okamgnieniu, są ze sobą powiązani i tworzą niewidzialną, długo odrzucaną kastę, której dyskretnego panowania nie trzeba już udowadniać.

Wkrótce odkryłam, że L. ma także swoje fobie: otóż pewnego dnia, kiedyśmy jadły razem obiad w jednej z restauracji w mojej dzielnicy, spostrzegłam maszerującą po barze, tuż za nią, mysz. Widok myszy w paryskich lokalach, nawet tych najbardziej wytwornych, nie jest rzadkością, muszę jednak przyznać, że w samo południe, w godzinie szczytu nie zdarza się to zbyt często. Tym bardziej że zwierzątko spacerowało sobie beztrosko. Przedstawienie zasługiwało, żeby przerwać naszą rozmowę.

L. zesztywniała, nie będąc w stanie się odwrócić.

– Prawdziwa mysz? Żartujesz?

Pokręciłam przecząco głową, rozbawiona.

A potem dotarło do mnie, że L. wcale nie przesadza, zrobiła się sina, na jej czole pojawiła się delikatna warstwa potu. Po raz pierwszy widziałam ją tak bladą.

Próbowałam ją uspokoić: mysz zniknęła, nie ma się co przejmować, nie ma też żadnego powodu, żeby wróciła. L. nie chciała o niczym słyszeć. Nie tknęła już ani kęsa dopiero co zaczętej sałatki, poprosiła o rachunek, po czym wyszłyśmy.

Później odkryłam, że L. nie znosi żadnych gryzoni, sama zaś wyznała, że nie była w stanie dokończyć napisanego przeze mnie opowiadania, bo wspomniałam w nim o białych myszkach.

Stopniowo, w czasie rozmaitych rozmów, dowiedziałam się, że L. ma *wszystko*, co napisałam i wydałam, powieści, opowiadania, pisma opublikowane w pracach zbiorowych, *wszystko* z wyjątkiem tamtego tekstu, którego nie była w stanie dokończyć.

L. przyznała się zresztą, że cierpi na kilka manii i że bardzo ciekawią ją cudze dziwactwa. Miała na ten temat własną teorię. W naszym społeczeństwie żadna istota nie jest zdolna przeżyć, jeśli nie wykształci pewnych rytuałów, z części których nie zawsze zdaje sobie sprawę. L. twierdziła na przykład, że wszyscy miewamy pewne okresy żywieniowe. Czy ja rozumiem, o czym ona mówi? Jeśli się nad tym zastanowię, to czy nie dojdę do wniosku, że z biegiem czasu moja dieta ulegała zmianom i pojawiały się w niej różne fazy, różne okresy, odpowiadające wiekowi i rozmaitym wpływom, kiedy jedne pokarmy z niej znikały, z kolei inne, do tej pory pomijane, nagle stawały się niezbędne? Zachęcała mnie na przykład, abym zastanowiła się nad własnym śniadaniem. Czy zawsze było takie samo? Przyznałam, że istotnie kilkakrotnie zmieniałam jego zwyczajowy skład. Przeżyłam okres kanapki + jogurt, okres płatki + kanapki, okres płatki + jogurt, okres sama brioszka… Mając dwadzieścia lat, piłam herbatę, mając trzydzieści – kawę, mając czterdzieści – gorącą wodę. Uśmiechnęła się, słysząc to. L. przyznała się, że wchodząc w dorosłość, miewała fazy, nazwijmy to, chromatyczne: okres pomarańczowy, podczas którego żywiła się jedzeniem wyłącznie w tym kolorze (pomarańczami, morelami, marchewką, serem mimolette, dynią, melonami, gotowanymi krewetkami), a nieco później okres zielony (szpinak, fasolka szparagowa, ogórki, brokuły…), któremu położyła kres, gdy wyszła za mąż.

Podobnie L. twierdziła, że pewną ilość obecnych w naszym codziennym życiu gestów wykonujemy w niezmiennym porządku, nie decydując o tym ani się nad tym nie zastanawiając. Według niej sekwencje te zależą od strategii, które uruchamiamy bardziej lub mniej świadomie, aby przeżyć. Nasze nawyki językowe, wcale niewynikające z przypadku, ukazują lepiej niż jakakolwiek przemowa sposób, w jaki w określonej chwili potrafimy się przystosować do wyższych nakazów otoczenia (albo im się oprzeć). Zdaniem L. powszechnie używane przez ogół wyrażenia obrazują nasze

największe rozterki lepiej niż wszelka pogłębiona analiza naszego życia lub planu dnia. Tak oto w epoce, w której wydaje się, że już nic nie działa, w której społeczeństwo jako całość wydaje się skostniałe, w zawieszeniu, ludzie przy każdej okazji powtarzają *wszystko w porządku*. Tak samo przyjęcia, filmy, ludzie przestali być *bardzo* – bardzo sympatyczni, bardzo wkurzający, bardzo szybcy, bardzo wolni, a stali się *mega* – megasympatyczni, megawkurzający, megaszybcy, megawolni – być może dlatego, że w gruncie rzeczy ten styl życia nas zalewa.

Co do strategii, L. miała jedną, bardzo skuteczną, aby zapewnić sobie przestrzeń życiową lub poufność rozmów. Kiedy wchodziła do kawiarni w porze obiadu, zawsze prosiła o stolik na trzy osoby, mimo że byłyśmy tylko we dwie. Sztuczka ta pozwalała jej skorzystać z dużego stołu (albo z połączenia dwóch stolików na jednej nóżce), podczas gdy wokół nas ludzie siedzieli stłoczeni. Po jakichś dwudziestu minutach robiła znużoną minę i oznajmiała kelnerowi, że będziemy zmuszone zamówić, nie czekając na trzecią osobę, dla której zatrzymamy jednak miejsce na wszelki wypadek. Pod koniec posiłku, gdy lokal zdążył już wyraźnie opustoszeć, L. przepraszała kelnera: przykro jej, ale ten ktoś wystawił nas do wiatru.

Muszę przyznać, że nigdy się z nią nie nudziłam. L. stawiała sobie na głos wszelkiego rodzaju pytania albo raczej wypowiadała na głos pytania, które prawdopodobnie wiele kobiet sobie zadaje (w każdym razie ja): Do jakiego wieku można nosić obcisłe dżinsy? Minispódniczkę? Dekolt? Czy jest się w stanie samej zauważyć, że już za późno, że to graniczy ze śmiesznością, czy trzeba poprosić kogoś bliskiego (kiedy jest jeszcze czas), żeby nas powstrzymał w odpowiedniej chwili? Czy *już* jest za późno i przekroczyłyśmy czerwoną linię, nie zdając sobie z tego sprawy?

Nie do wiary: oto L., która sprawiała wrażenie tak pewnej siebie, gdyśmy się poznały, tak przekonanej co do własnych wyborów, tak świadomej własnej aury, wyraża – z większym poczuciem humoru – obawy podobne do moich.

Wkrótce stało się to jednym z naszych ulubionych tematów: wysiłek zaaklimatyzowania się, potrzebny do tego, abyśmy postrzegały się takimi, jakie jesteśmy – ustawienie ostrości, w fotograficznym tego słowa

znaczeniu, na które musiałyśmy się regularnie zgadzać, aby umiejscowić się na skali wieku, wiedzieć, czego należy się trzymać.

Odkrycie nowej zmarszczki, kolejnego etapu w ogólnym starzeniu, niedające się usunąć worki pod oczami, wszystkim tym można się było podzielić, teraz stanowiło już przedmiot krytycznej i… komicznej analizy.

L. zwierzyła mi się, że gdy spotyka kogoś, kto ma więcej niż trzydzieści lat, nie potrafi nie zapytać go najpierw o wiek. Od paru lat pierwszym pytaniem, jakie przychodziło jej na myśl w związku z każdym, kogo mijała lub spotykała, mężczyznę czy kobietę, było pytanie o wiek, tak jakby stanowiło to podstawową, bezsporną informację, aby ocenić stosunek sił, oczarowania, cichego porozumienia. Co do mnie, robiąc się coraz starsza, zauważyłam, że młodzi ludzie wydają mi się młodsi niż w rzeczywistości. Jej zdaniem to właśnie objaw starzenia się, nie być w stanie odróżnić dwudziestolatka od trzydziestolatka, chociaż oni potrafią się doskonale rozpoznać i dostrzec między sobą różnice.

W L. fascynowało mnie to, że jej sposób bycia nie zdradzał żadnych wewnętrznych dociekań. Nic w jej wyglądzie ani zachowaniu nie uzewnętrzniało żadnego niepokoju czy też niepewności w stosunku do własnej osoby. Przeciwnie, odnosiłam wrażenie, że sposób, w jaki się ubierała, poruszała, śmiała, stanowią jaskrawy dowód na to, że w pełni akceptuje to, jaką jest kobietą.

Zapewne to było właśnie to, potęga uroku, jaki wywierała na mnie L.: podziwiałam ją za trzeźwość spojrzenia na świat i na samą siebie, ale także za umiejętność *zachowania pozorów*, podejmowania gry.

Pewnego wieczoru, gdy spacerowałyśmy ramię w ramię po boulevard Richard-Lenoir, L. opowiedziała, że na początku lat dziewięćdziesiątych widziała film Pascale Bailly, który nosił tytuł *Comment font les gens*. Tytuł sam w sobie – *Jak ludzie to robią* – stanowił dla niej kwintesencję stanu jej umysłu, owych nieprzerwanych dociekań na temat innych, od których nie potrafiła się uwolnić: jak oni to robią, tak, z jaką częstotliwością, z jaką energią, w imię jakich przekonań? Jak *ludziom* udaje się trzymać w garści? Bo gdy im się wówczas przyglądała, wydawało jej się, że ludzie radzą sobie dużo lepiej od niej. Czy ja widziałam ten film? Ponieważ milczałam, L. mówiła dalej, rozwodząc się nad innym filmem, mniej więcej z tego

samego okresu, zrealizowanym przez Laurence Ferreirę Barbosę i noszącym tytuł *Les gens normaux n’ont rien d’exceptionnel*[2], który wcale nie był gorszy od pierwszego. Akcja rozgrywa się głównie w szpitalu psychiatrycznym, ona zaś go uwielbiała.

Przystanęłam.

Zaniemówiłam na parę sekund, wpatrując się w jej twarz w poszukiwaniu jakiejś wskazówki.

L. spoglądała na mnie niepewnie. Właśnie zapadł zmierzch, w oknach zapalały się światła, porywy wiatru unosiły liście, które szeleściły niczym gnieciony papier.

Chyba poczułam w tym momencie coś w rodzaju zawrotu głowy, nie potrafiłabym jednak określić, czy z powodu uciechy, czy też przerażenia.

Nie zdarzyło się to po raz pierwszy.

Owszem, widziałam oba filmy i z dość intymnych przyczyn należały one do mojego osobistego panteonu. Fakt, że L. wymieniła akurat te dwa, chociaż ja trzymałam to raczej w tajemnicy, że je skojarzyła, stanowił niepokojący, wręcz zdumiewający zbieg okoliczności, do tego stopnia, że przeszło mi przez myśl, iż usłyszała lub przeczytała gdzieś, jak bardzo zapadły mi w pamięć. Tylko że nie miałyśmy żadnych wspólnych znajomych, a ja nie przypominam sobie, bym kiedykolwiek rozmawiała na ten temat z prasą.

Tak, ja również często się zastanawiałam: jak ludzie to robią? I prawdę mówiąc, nawet jeśli pytania te uległy zmianie, nigdy nie ustały: jak ludzie to robią, żeby pisać, kochać, spać ciurkiem, zmieniać dzieciom jadłospis, pozwalać dorosnąć, pozwalać im odejść, nie czepiając się ich, chodzić raz w roku do dentysty, uprawiać sport, dochowywać wierności, nie zacząć znów palić, czytać książki + komiksy + czasopisma + jeden dziennik, nie pozostawać całkiem w tyle w kwestii muzyki, nauczyć się oddychać, nie wystawiać się na słońce bez ochrony, robić zakupy tylko raz w tygodniu, o niczym nie zapominając?

Tym razem musiałam wiedzieć, czego się trzymać. Spojrzałam L. prosto w oczy i zapytałam, dlaczego mi mówi o tych filmach. Czy ja już kiedyś o nich wspominałam? Sprawiała wrażenie zdziwionej. Mówi o nich, bo te filmy odcisnęły na niej piętno. A poza tym dlatego, że prawdę

powiedziawszy, ciągle zadaje sobie tego rodzaju pytania. To wszystko. Oto dlaczego o nich myśli.

Ruszyłyśmy dalej w milczeniu.

Czy ona także odczuwała nieustanne wątpliwości co do własnej, raz pełnej wahania, raz rozbuchanej, ewolucji w świecie? Lęk, że nie zachowuje właściwego rytmu, właściwej tonacji? Uczucie, że bierze sobie wszystko zbytnio do serca, że nie potrafi utrzymać bezpiecznego dystansu?

Albo też L. przejęła moje obawy, tak jakby włożyła przebranie, aby podsunąć mi lustro, w którym mogłabym się rozpoznać?

Zadając sobie te pytania, w końcu dochodziłam do wniosku, że nie mam żadnego powodu, by wątpić w podobieństwa między nami i by rezygnować z pociechy, jaką mi one przynoszą.

L. obserwowała innych.

Na ulicy, w parkach, w metrze.

L. nie wahała się przed uznaniem samej siebie za przedmiot badań i bawiła się tym z bystrością, która mnie zachwycała.

L. nie poprzestawała na wypowiadaniu pytań, podsuwała odpowiedzi.

L. potrafiła się śmiać sama z siebie.

L. miała teorię na każdy temat: adekwatności ubioru do wieku, rychłego odrodzenia prasy, najlepszego sposobu na powstrzymanie czkawki, telepatii, poprawienia cery, nadejścia robotów kuchennych, ewolucji języka i roli słowników, wpływu portali randkowych na miłosne stosunki.

Pewnego poranka, kiedy szykowałam się do wyjścia, usłyszałam w radio głos Gilles’a Deleuze’a. Odtwarzam tu zdania, które zapisałam z pamięci kilka sekund po nadaniu tej krótkiej archiwalnej wypowiedzi:

Jeśli nie uchwycisz u kogoś tej odrobiny wariactwa, nie możesz go pokochać. Jeśli nie uchwycisz jego punktu szaleństwa, przechodzisz obok. Czyjś punkt szaleństwa jest źródłem jego uroku.

Z miejsca pomyślałam o L.

Pomyślałam, że L. dostrzegła mój punkt szaleństwa i nawzajem.

Być może zresztą to było właśnie to, spotkanie, nieważne, czy miłosne, czy przyjacielskie, dwa szaleństwa, które się rozpoznają i przyciągają.

W te dni, gdy L. miała pewność, że nie nadzieje się na François, wpadała do mnie na kolację albo na herbatę.

Jesień się przeciągała, a ponieważ nie pisałam, cieszyłam się, że żyję. Przestałam przykuwać się do komputera o stałej porze, ogłosiłam coś w rodzaju rozejmu, dopóki nie spotkam innej książki, dopóki nie dam się zwieść. Często powracałam myślami do słów, które gdzieś wyczytałam, chociaż nie pamiętam gdzie: opowieści leżą w ziemi niczym skamieliny. Są relikwiami pochodzącymi ze świata, który istniał wcześniej. Praca pisarza polega zaś na tym, by posługując się narzędziami z własnej skrzynki, ostrożnie je odkopać i wydobyć w stanie w miarę nienaruszonym.

Oto dlaczego chodziłam ze wzrokiem wbitym w swoje stopy, zapewne wypatrując pod brukiem kawałeczka kamienia, który dałby mi siłę, aby drążyć.

Wraz z nastaniem zimy trudno mi było się zbliżyć do klawiatury.

Nie tylko otworzyć plik Worda, lecz także – mocno, podstępnie – odpowiadać na e-maile, pisać listy. Nie potrafię określić, kiedy dokładnie po raz pierwszy poczułam to potworne pieczenie w przełyku, ledwie usiadłam przed monitorem. Wiem, że powtarzało się to z coraz większą intensywnością: wyrzut kwasów, które zapierały mi dech.

Kupiłam w aptece leki na zgagę.

Aby móc nadal korzystać z komputera, musiałam uciekać się do podstępów w stosunku do własnego ciała, dać mu możliwie najjaśniej do zrozumienia, że nie będę niczego próbować, niczego, co miałoby bliższy lub dalszy związek z pisaniem. Przybierałam niedbałą, chwilową pozę, przestałam przysuwać kursor do ikonki Worda, znajdującej się u dołu ekranu. Jedynie takie wybiegi umożliwiały mi siedzenie przed monitorem.

Na szczęście istniały notesy. Notesy, w których ciągle zapisywałam i gromadziłam słowa, maleńkie początki, skrawki zdań wyrwane ciszy, z grubsza nakreślone postacie. Notesy leżały w mojej torebce. Uczepiłam się takiej oto myśli: skamielina została uwięziona w stronach, we włóknie papieru, skamielina czekała na swoją godzinę. Jakiś tytuł, skojarzenie, kilka sporządzonych na gorąco notatek, które nabrałyby sensu i w odpowiednim momencie mnie poprowadziły. Kopalnia, skarb, w którym wystarczyłoby pokopać, gdy będę gotowa. Dokładnie takich wyjaśnień udzieliłam L. w dniu, kiedy martwiła się o to, co ja wyprawiam.

Byłam z nią tamtego dnia, gdy ktoś otworzył w metrze moją torebkę. Zapomniałam, co skłoniło nas do wybrania linii numer 4 w godzinach szczytu, i nie jestem w stanie tego odtworzyć. Stałyśmy ściśnięte jedna przy drugiej, wessane przez zwartą masę ciał, miotane, ciskane jedna na drugą w takt kołysania wagonu. Oczywiście nic nie poczułam. Na skrzyżowaniu linii rozdzieliłyśmy się, po czym wsiadłam do tak samo zapchanego pociągu linii numer 3, żeby wrócić do domu. Dopiero później, wieczorem, szukając paczki chusteczek, zdałam sobie sprawę, że moja torebka została przecięta nożem do tapet z góry na dół, na całej długości. Natychmiast przyszły mi na myśl notesy. Nie było ich. Saszetka zawierająca kartę kredytową, gotówkę i dokumenty także zniknęła. Ktoś zabrał całość (faktura notesów mogła sprawić, że uznał je za portfel albo etui na karty) bądź wziął tylko pieniądze, zaś notesy wypadły później przez ziejący otwór. Przetrząsnęłam torebkę, przeszukałam wszystkie zakamarki dziesięć razy z rzędu w bezsensownym, rozpaczliwym geście, powtarzałam na głos: to niemożliwe, to niemożliwe. Następnie się rozpłakałam.

Później zadzwoniłam do L., żeby opowiedzieć, co mi się przydarzyło, i upewnić się, czy nie spotkało jej nic złego. Jej torebka była nietknięta. Teraz jednak, kiedy się nad tym zastanawiała, widziała za nami dwóch mężczyzn, których zachowanie wydało jej się dziwne. Facetów w rodzaju tych, co to korzystają z tłoku, żeby się poocierać.

L. podała mi numer serwisu międzybankowego, żebym mogła zastrzec karty kredytowe.

L. martwiła się o moje samopoczucie.

L. zapytała, czy chcę, żeby do mnie wpadła.

Położyłam się natychmiast po rozłączeniu się. Nie miałam już nic więcej do roboty. Usłyszałam własny opanowany głos mówiący do słuchawki, że nic się nie stało. Nic się nie stało, nie, moje karty kredytowe zniknęły, ja zaś czułam się tak, jakby amputowano mi obie ręce, ale to było śmieszne, przejaskrawione, nadmiernie wyolbrzymione. Stanowiło oczywisty dowód, o ile dowody były w ogóle potrzebne, że coś tu nie gra.

2

Depresja

Jakiś głos w jego głowie po raz pierwszy
zapytał szeptem: Kim jesteś, Thad, gdy piszesz?
Kim wtedy jesteś?

Stephen King *Mroczna połowa*,
przeł. Marek Fedyszak

– Wiem, że oglądasz z dziećmi seriale, że widzieliście te najlepsze. Proszę cię więc, zastanów się przez chwilę. Porównaj. Popatrz na to, co się pisze i co się filmuje. Nie uważasz, że przegraliście bitwę? Już dawno literatura pozwoliła się pobić z kretesem w kwestii fikcji. Nie mówię tu o filmie, to jeszcze inna para kaloszy. Mówię o kolekcjach DVD, które stoją u ciebie na półkach. Nie chce mi się wierzyć, że to ci nigdy nie przeszkodziło w zaśnięciu. Nigdy nie przyszło ci do głowy, że powieść, a przynajmniej pewna forma powieści umarła? Nigdy nie przyszło ci do głowy, że scenarzyści wyprzedzili was o włos? Wręcz przygwoździli. To oni są nowymi wszechwiedzącymi i wszechmocnymi demiurgami. Potrafią stworzyć od podstaw trzypokoleniowe rodziny, partie polityczne, miasta, plemiona, jednym słowem: światy. Potrafią stworzyć bohaterów, do których się przywiązujemy, których, jak nam się wydaje, znamy. Rozumiesz, o czym mówię? O intymnej więzi, jaka rodzi się między postacią a widzem, o poczuciu straty albo żałoby, jakie go ogarnia, gdy następuje koniec. Tak już się nie dzieje z książkami, to się rozgrywa gdzie indziej, teraz. Oto co umieją robić scenarzyści. Sama mówiłaś mi o sile fikcji, o rozszerzeniu jej zasięgu na rzeczywistość. Tylko że to wszystko to nie jest już kwestia literatury. Będziecie musieli to przyznać. Fikcja się dla was skończyła. Seriale zapewniają jej o wiele bardziej żyzny teren i nieskończenie szerszą publiczność. Nie, to wcale nie jest smutne, wierz mi. Przeciwnie, to wspaniała wiadomość. Cieszcie się. Pozwólcie scenarzystom robić to, co potrafią lepiej od was. Pisarze muszą powrócić do tego, co ich wyróżnia, odnaleźć potęgę wojny. A wiesz, co to takiego? Nie? Ależ tak, dobrze wiesz. Jak sądzisz, dlaczego czytelnicy i krytycy zadają sobie pytanie o autobiografię w dziele literackim? Ponieważ dzisiaj to jedyna racja bytu: zdać sprawozdanie z tego, co rzeczywiste, powiedzieć prawdę. Reszta nie ma żadnego znaczenia. Oto czego czytelnik oczekuje od powieściopisarzy:

żeby wywalili wszystko na wierzch. Pisarz musi bezustannie podważać własny sposób istnienia na świecie, swoje wykształcenie, swoje wartości, musi bezustannie podważać sposób, w jaki używa języka, którego nauczył się od rodziców, którego nauczono go w szkole i którym mówią jego dzieci. Musi stworzyć właściwy sobie język, o wyjątkowych niuansach, język, który połączy go z przeszłością, z jego historią. Język przynależności i wyzwolenia. Pisarz nie czuje potrzeby produkowania marionetek, choćby nie wiadomo jak zwinnych i fascynujących. Ma wystarczająco dużo roboty z samym sobą. Musi się bezustannie oglądać, poruszając się po nierównym terenie, na który musiał wkroczyć, aby przeżyć, musi powracać bez wytchnienia na miejsce wypadku, który uczynił z niego tę owładniętą obsesją i niedającą się pocieszyć istotę. Nie pomyl bitew, Delphine, chcę powiedzieć tylko tyle. Czytelnicy chcą wiedzieć, co wkładamy do książek, i mają rację. Czytelnicy chcą wiedzieć, jakie mięso jest w farszu, czy są tam barwniki, konserwanty, emulgatory i zagęszczacze. A teraz obowiązek grania w otwarte karty spadł na literaturę. We własnych książkach nigdy nie powinnaś przestać drążyć swoich wspomnień, wierzeń, obaw, strachu, relacji z tymi, którzy cię otaczają. Tylko pod tym warunkiem osiągniesz cel, zdobędziesz poklask.

Oto co mówiła mi L. tamtego wieczoru w opustoszałej kawiarni obok merostwa XX dzielnicy.

Zapadła noc, my zaś zostałyśmy tam, w głębi sali, której ściany pokrywały wypłowiałe od słońca plakaty reklamowe z lat pięćdziesiątych. W oddali szumiała stacja radiowa, której nie udało mi się rozpoznać. Pomyślałam sobie, że kawiarnia jest zapewne ostatnim śladem minionego czasu, jedynym lokalem w dzielnicy, który oparł się modnym nowinkom, opanowującym ulice małymi kroczkami. Wysepką oporu, która wkrótce padnie.

Słuchałam L., nie starając się jej przerywać. L. przesadzała, szufladkowała, systematyzowała, nie miałam jednak siły, żeby jej odpowiedzieć.

Nie, nie chciałam porzucać obszaru fikcji dla nikogo. Lecz wpatrywałam się w swoje dłonie, moje dłonie zaś były puste.

Nie, nie wykluczałam też, że pewnego dnia powrócę do autobiograficznej formy pisarstwa, bez względu na jej nazwę. Tylko że ma

ono sens wyłącznie wtedy, gdy pozwala na opowiedzenie świata, na dotarcie do tego, co uniwersalne.

Tak czy inaczej, byłam całkowicie wyczerpana.

Tak oto przemawiała L., a ja jej słuchałam, na wpół rozbawiona, na wpół zdumiona.

Jej przemowa zmuszała mnie do zastanowienia nad tym, na temat czego nigdy nie chciałam teoretyzować. Jej przekonania podkopywały fundamenty skromnej budowli, którą wzniosłam, aby nadać sens mojej pracy albo przynajmniej być w stanie o niej mówić.

Jej słowa zaś wciskały się w samo serce wątpliwości, które przestałam umieć formułować.

Pewnego dnia L. powiedziała, że napisałam tylko dwie książki. Pierwszą i ostatnią. Według niej cztery pozostałe były jedynie godnym pożałowania pobłądzeniem.

Jesienią Louise i Paul wpadli ze dwa, trzy razy na weekend, razem lub osobno. Rosła między nami nowa więź, która uległa zmianie pod wpływem odległości i tęsknoty. Silna, rozgadana więź, stanowiąca przedłużenie wspólnie przeżytych lat, a jednak inna. Moje dzieci dorosły. Ja pozostałam wzruszoną, zachwyconą matką.

François lawirował między rozmaitymi projektami i właśnie zaangażował się w pracę nad drugim sezonem serialu dokumentalnego; za sprawą tego długofalowego przedsięwzięcia miał znów spędzić wiele tygodni za granicą. Znałam jego niespokojną ciekawość, jego upodobanie do podróży, wiedziałam, że poświęca na lekturę całe dnie. I w gruncie rzeczy bardzo mi to odpowiadało, owo zaangażowanie, jakie każde z nas przejawiało w tym, co próbujemy zrobić, owa chęć stawienia czoła wszystkiemu, co podzielamy i czego nie podzielamy, albo złudzenie, że to w ogóle możliwe. François szanował moją potrzebę samotności, niezależność, chwile nieobecności. Ja szanowałam jego wybory, szalone pomysły, nieustannie odradzający się entuzjazm.

L. telefonowała do mnie kilka razy dziennie, aby oznajmić, że jest tuż obok. Prawdę mówiąc, nigdy nie była bardzo daleko. I za każdym razem proponowałam, by weszła na górę. Bo w całym tym zamęcie, którego nie chciałam nazwać, jej obecność dodawała mi otuchy.

L. przynosiła a to kwiaty, a to słodkie pieczywo, a to butelkę wina. Wiedziała, gdzie znaleźć filiżanki, herbatę, kawę, korkociąg i kieliszki. Miała swoje miejsce na kanapie. Otulała się moim szalem, zapalała lampy, wybierała muzykę.

Kiedy ktoś dzwonił do mnie w jej obecności, nie wychodziła. Nie udawała, że wpatruje się w ekran własnego telefonu albo przegląda gazetę, jak uczyniłaby to większość ludzi. Nie, przeciwnie, kiwała potakująco

głową na moje odpowiedzi albo marszczyła brwi. W milczeniu uczestniczyła w rozmowie.

L. podarowała mi zestaw nowych notesów trzech różnych wielkości z papieru makulaturowego. Na największym z nich napisała kilka słów wyrażających zachętę i zaufanie, które wyleciały mi z pamięci. Dzisiaj nie jestem już w stanie go odnaleźć, bo wszystkie wyrzuciłam.

Co tydzień pytała, jak mi idzie praca, przypominała, że jeśli sobie życzę, jest do mojej dyspozycji, aby o tym porozmawiać. Ponieważ nie miałam na ten temat zbyt wiele do powiedzenia, mówiła o swojej pracy. L. rozpoczęła właśnie autobiografię pewnej sławnej aktorki. Trzy miesiące wcześniej stanęła w szranki z dwoma rozchwytywanymi ghostwriterami. Podobnie jak tamci, spotkała się z aktorką na wieczorze zorganizowanym przez jej agenta. I aktorka wybrała ją. Zapewne L. potrafiła znaleźć odpowiednie słowa, wykazać się ową intuicją drugiego człowieka, która ciągle mnie fascynowała. Lubiła wspominać o przyjemności, jaką było nadawanie kształtu materii, powierzonej jej przez aktorkę. Mówiła o tej kobiecie z rozrzewnieniem demiurga, tak jakby aktorka nie istniała poza pracą, którą wspólnie rozpoczęły, tak jakby to do L. należało objawienie jej światu i jej samej. L. była szczęśliwa i miała wrażenie, że tym razem dotarła do samego serca swojego zawodu. Tego, co istotne. L. nie zadowalała się bowiem tym, że ją wytypowano. Ona nie pisze dla byle kogo. Przyznawała sobie prawo do odrzucania pewnych ofert i wybierała ludzi, z którymi miała ochotę współpracować. Ludzi, zdradziła mi, którzy przez coś przeszli. Którzy upadli, pogrążyli się, cierpieli i nosili tego ślady. Oto co ją interesowało. Napisać, w jaki sposób się podnieśli, odbudowali, przeżyli odnowę. Jej rola polegała na tym, aby wyreżyserować, ukazać w jak najlepszym świetle powierzony jej materiał. Dawała do przeczytania ich dusze, kiedy zaś jej dziękowali, nieodmiennie powtarzała: ona tylko sprawiła, że ich dusze stały się widoczne gołym okiem.

Pewnego wieczoru L. powiedziała, że potrafi rozpoznać od pierwszego wejrzenia ludzi, którzy padli ofiarą przemocy. Nie tylko przemocy fizycznej. Ludzi, których osobowość, osoba zostały wystawione na niebezpieczeństwo przez kogoś innego. Umiała dostrzec w nich jakąś formę niemożności, spętania, zachwiania równowagi w dosłownym tego słowa

znaczeniu. Jakieś wahanie, niepewność, szczelinę, której oprócz niej najwyraźniej nikt nie zauważał.

Zbliżała się zima, a L. miała pełne ręce roboty. Co do mnie, korzystałam z chwili, kiedy mogłam jeszcze zasłaniać się bardziej lub mniej wiarygodnymi wymówkami. Zwlekać. Utrzymywałam, że coś przygotowuję. Nadal udawałam, że robię poszukiwania, szkice.

Nie wiedziałam, że upłyną dwa lata, zanim będę w stanie stworzyć nowy plik w edytorze tekstu i sklecić zdanie z więcej niż trzech słów.

W okresie między narodzinami dzieci a rokiem, w którym ich ojciec i ja się rozstaliśmy, ułożyłam z dziesięć albumów fotograficznych po jakieś pięćdziesiąt stron każdy. Później nadal robiłam zdjęcia, niekiedy zlecałam wykonanie odbitek, przestałam je jednak porządkować i przyklejać. Z perspektywy czasu mogłabym wysunąć rozmaite hipotezy na temat naszego rozstania, podobnie jak na temat rezygnacji z tworzenia albumów, ale to inna historia. Jeśli pewnego dnia wybuchnie u mnie pożar, chyba wyniosę je przed książkami, przed listami, przed całą resztą. Przedstawiają one nieskończenie cenny moment mojego życia, naszego życia. Stanowią epicentrum mojej nostalgii, kruchą szkatułkę w sercu pamięci. Często, gdy je otwieram, mówię sobie, że chciałabym umieć napisać o tym, o minionym czasie, którego obraz jest zarazem tak dokładnym i tak bezsilnym świadectwem.

Kiedy nadeszła zima i pojawiła się groźba bezczynności, wbiłam sobie do głowy, żeby powrócić do układania albumów. Od ostatniego dzieliło mnie sporo lat. Strawiłam prawie dwa dni na znalezienie sklepu sprzedającego model podobny do tego, który miałam w domu, kolejne dwa na wybieranie zdjęć, zgromadzonych w większości w postaci cyfrowej. Pliki rozsiane były po różnych, bardziej lub mniej przestarzałych nośnikach pamięci.

Po zrobieniu odbitek na papierze rozłożyłam się na stole w salonie przed pustymi albumami, które trzeba było teraz zapełnić. W gruncie rzeczy, powiedziałam sobie, to nie różni się aż tak bardzo od pisania: z tych wybranych, posortowanych, uporządkowanych, uwiecznionych na papierze obrazów wyłania się wymyślona na nowo historia.

Któregoś dnia, gdy zabrałam się do przyklejania odbitek, do moich drzwi zadzwoniła L.

Wszystkie zdjęcia leżały przede mną podzielone według okresów. L. usiadła obok mnie, po czym zaciekawiła ją kupka umieszczona przed nią. Na serii w miarę świeżych fotografii widniał umazany błotem Paul, który właśnie wrócił z wyścigów motocrossowych, było też sporo ujęć Louise w otoczeniu przyjaciół z klasy maturalnej, zrobionych na śniegu pewnego zimowego dnia.

– Jest do ciebie podobna – oznajmiła L., wpatrując się w Louise z pełną wzruszenia uwagą.

Pomyślałam wówczas, że Louise była w tym samym wieku co L. i ja, kiedy się poznałyśmy. Odkąd L. wyjawiła, że chodziłyśmy do jednej klasy, rozmawiałyśmy o tym tylko raz czy dwa. W ogóle jej nie pamiętałam, toteż poruszanie tego tematu wydawało mi się niedelikatne. Nie chciałam jątrzyć rany.

L. musiała czytać w moich myślach, bo poprosiła, żebym pokazała jej klasowe zdjęcie. Poszperałam trochę w pudełkach, nim znalazłam odbitkę, której kolory już nieco wyblakły. Zdjęcie zrobiono na dziedzińcu przed liceum. Uczniowie ustawili się w pięciu rzędach wokół pana E., nauczyciela filozofii. Niemal wszyscy chłopcy klęczą albo kucają u dołu fotografii. Najwyższe dziewczęta wdrapały się na ławkę, której nie widać. Wycelowawszy paznokciem w moją twarz, którą rozpoznała natychmiast, L. długo wpatrywała się w zdjęcie, analizując szczegółowo każdego ucznia. Następnie, począwszy od najwyższego rzędu, jęła wodzić palcem od prawa do lewa i wymieniać każde nazwisko oraz imię. Nazwiska, z których części nie byłam w stanie sama odszukać, lecz kiedy tylko zostały przez nią wypowiedziane, wyłaniały się z mojej pamięci, aby znaleźć potwierdzenie.

Po wskazaniu ostatniego ucznia spojrzała na mnie z triumfalną miną. Z klasy liczącej pięćdziesięcioro uczniów umknęło jej ledwie z dziesięć nazwisk.

Nagle spochmurniała.

– Jaka szkoda, że tego dnia byłam nieobecna. Tak bardzo bym chciała, żeby został jakiś dowód…

– Dowód na co? – zapytałam.

– Na ten rok, który spędziłyśmy razem.

Tylko że wcale nie spędziłyśmy go razem. Nie dzieliłam z nią tego czasu. Kolegowałam się z innymi. I prawdę mówiąc, na zawsze zapamiętałam tamten rok jako powolne schodzenie. Dzisiaj okres ten

wydawał mi się tak odległy, że równie dobrze mógłby być częścią życia kogoś innego. Stan fizyczny, w jakim się wtedy znajdowałam, zapewne wpłynął na zatarcie wspomnień.

– Tak, szkoda – przytaknęłam w końcu. – Ale dlaczego miałby nam być potrzebny dowód?

– Bo mnie nie pamiętałaś.

Jej wzrok był twardy, czaiło się w nim jednak jakieś błaganie. Może powinnam była udawać, że ją pamiętam, że wreszcie sobie przypomniałam. Nie potrafiłam jej pocieszyć ani nawet skwitować tego jakimś żartem.

Gdy już miałam zamknąć pudełko (w którym leżały luzem dziesiątki odbitek pochodzących mniej więcej z tego samego okresu), L. zapytała, czy mogłabym jej zostawić pamiątkę po sobie. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, poszperała w pudełku i wyciągnęła ku mnie pytającym gestem pasek trzech czarno-białych fotografii z automatu. Brakujące zdjęcie musiało posłużyć do legitymacji studenckiej.

Patrzyłam, jak starannie chowa pasek do portfela, nie czekając na odpowiedź.

Chyba właśnie tamtego dnia wymówiła owe dwa zdania, które zapisałam na karteczce samoprzylepnej tuż po jej wyjściu:

– Mamy ze sobą wiele wspólnego. Ale tylko ty jedna możesz o tym napisać.

L. została na kolacji. Później, w trakcie wieczoru znów przystąpiła do ataku. Jak mi idzie? Czy zabrałam się do pracy? Jej natarczywość mnie drażniła. Jednocześnie nie mogłam się wszakże powstrzymać od stwierdzenia, że jest jedyną osobą, która jeszcze w ogóle zadaje mi to pytanie. Która nadal wierzy.

Kiedy przyznałam się przed nią do pisarskiej niemocy, L. oświadczyła, że jej zdaniem coś mnie rozprasza. Określenie to mnie zdziwiło. Rozprasza?

Nie podważała mojej koncepcji albumów fotograficznych, uważała ją nawet za dość twórczą, ale została przecież jeszcze cała reszta. Według niej ciągle byłam zbyt związana ze światem zewnętrznym.

– Ależ nic podobnego! – zaprotestowałam. – Z nikim się nie widuję, do nikogo nie dzwonię, nie jestem w stanie pójść na kolację, na przyjęcie,

odrzucam każde zaproszenie. Poza François i dziećmi nie potrafię już z nikim rozmawiać.

L. odpowiedziała tonem wyroczni, który tak dobrze znałam:

– To normalne i dobrze o tym wiesz. Bo właśnie w tej zbawiennej ciszy będziesz mogła zabrać się z powrotem do pracy.

Co to znaczy *zabrać się z powrotem do pracy*? Po co siedzieć całymi godzinami przed komputerem, skoro nic z tego nie wychodzi? Powinnam się czymś zająć.

L. wcale tak nie uważała.

Z konfrontacji z przeszkodą coś wyniknie. Jasność albo rezygnacja. Jeśli będę ciągle uciekać, nic się nie wydarzy.

Pewnego poranka mój przyjaciel Olivier zadzwonił, aby mnie ostrzec, że na Facebooku, to znaczy na moim fanpage'u utworzonym przez czytelników na Facebooku, dzieje się coś dziwnego. Nie zrozumiałam nic z tego, co usiłował mi wyjaśnić, tej historii z osią czasu, na której ktoś przez całą noc pisał jakieś straszne posty na mój temat. Ktoś, kto podawał się za członka mojej rodziny, zamieścił dziesiątki postów, oskarżając mnie o najgorsze potworności. Mój przyjaciel bał się, że jakiś dziennikarz natknie się na te wiadomości i zrobi z nich użytek. Czy mam możliwość skontaktowania się z administratorem grupy? Czy tę grupę utworzył mój wydawca?

Kiedy wreszcie uświadomiłam sobie, o czym on mówi (ponieważ sama nie mam konta na Facebooku, niełatwo mi było zrozumieć całą tę historię z widoczną dla wszystkich osią czasu i postami zamieszczonymi z fikcyjnego profilu), zaczęłam się niepokoić. Nie, nie znam osobiście administratorów grupy i z tego co wiem, mój wydawca nie ma z nimi nic wspólnego.

Podziękowałam Olivierowi za ostrzeżenie i się rozłączyłam. Właśnie zastanawiałam się nad całą tą sytuacją, kiedy w tej samej sprawie zadzwoniła L. Streściła mi zawartość postów, odmówiła jednak przeczytania ich, uznawszy, że to by mnie niepotrzebnie zraniło. Chodziło o zło, jakie wyrządziłam, pisząc ostatnią powieść, i o zło, jakie wyrządziłam w ogóle od najmłodszych lat, jestem chora i zniszczyłam wszystko wokół, mam osobowość borderline, niszczycielską, sfałszowałam historię, pomieszałam daty, napisałam książkę, która zupełnie nie dorasta do rzeczywistości, skłamałam poprzez niedomówienie, zniekształciłam rzeczywistość, moim jedynym celem było ukrycie własnej patologii. Posty ukazywały się przez całą noc, wzajemnie sobie przecząc, zarzucając mi, że powiedziałam a to za dużo, a to za mało, że a to osłodziłam rzeczywistość,

a to ją wyolbrzymiłam, jednym słowem wszystko i jego przeciwieństwo. Zdaniem L. członkowie grupy nie pozostali obojętni na zawartość postów. Niektórzy poradzili w końcu ich autorowi, żeby się leczył. W trakcie kolejnych godzin niespójność i narastająca zjadliwość wypowiedzi zdyskredytowały go.

W ciągu dnia posty zniknęły. Albo administrator grupy wszystkie usunął, uznawszy, że są zbyt mocne, albo sam autor zadbał o to, by je wymazać.

L. zadzwoniła do moich drzwi jeszcze tego samego wieczoru. Chciała sprawdzić, czy nic mi nie jest, i porozmawiać o tym, co się właśnie zdarzyło. Według niej autor postów i anonimów to ta sama osoba. Ataki te zaś wymagają odpowiedzi.

Ponieważ nie podjęłam tematu, rozsiadła się na kanapie w pozycji, która wskazywała jasno, że tym razem ma zamiar przeprowadzić prawdziwą dyskusję w tej kwestii. Nie zwlekając zresztą, zaczęła:

– Ktoś z twojej rodziny prowokuje cię od miesięcy, a ty nie reagujesz. On, albo ona, napisał, albo napisała, do ciebie kilka razy, a ty nic. Wobec tego on, albo ona, przechodzi do następnego etapu, który polega na tym, żeby wziąć na świadków innych ludzi, bo on, albo ona, oczekuje odpowiedzi. To proste.

– Ale tu nie ma na co odpowiadać.

– Ależ jest. Oczywiście, że jest. On czeka, aż zareagujesz. Napisz książkę. Udowodnij mu, że się nie boisz. Udowodnij mu, że jesteś wolna, że literatura ma wszelkie prawa. Napisz o twoim dzieciństwie, napisz o rodzinie, napisz o sobie, szukaj. Tylko pisanie pozwoli ci się dowiedzieć, kto to jest. Zaczęłaś coś, co powinnaś dokończyć.

Ależ nie, nie chciałam zaczynać od nowa. Chciałam powrócić do fikcji, chciałam się chronić, chciałam odnaleźć przyjemność wymyślania, nie chciałam strawić dwóch lat na ważeniu każdego słowa, każdego przecinka, na budzeniu się co noc z niemożliwych do odszyfrowania koszmarów, z sercem, które łomocze tak mocno, że o mało nie pęknie.

L. była rozgorączkowana, zdążyłam ją już jednak poznać od tej bardziej emocjonalnej strony. Usiłowałam jej wytłumaczyć, dlaczego to nie jest możliwe:

– Posłuchaj mnie. Gdybym nie napisała tamtej książki, nigdy więcej bym już nie pisała. Nawet dzisiaj jestem tego pewna. Był to rodzaj próby, którą musiałam przejść. Rytuał inicjacji. Tylko że pisanie o sobie, o swojej rodzinie oznacza ryzyko zranienia ludzi, nawet tych, o których sądziliśmy, że ich oszczędziliśmy albo wyidealizowaliśmy. Nie chcę już tego robić. Nie mówię, że żałuję, iż to zrobiłam, mówię, że nie mam siły zaczynać od nowa. Nie w tej formie. Owszem, nie mylisz się, posiadam broń, do której inni nie będą mieli dostępu, dopóki nic się nie zmieni. Inni, kimkolwiek są, nie mają prawa do odpowiedzi. W najlepszym razie mogą do mnie pisać anonimy albo próbować splugawić fanpage, który nie jest moją własnością. Co do mnie, jestem pewna, że jeśli popełnię drugi raz to samo, przeczyta mnie parę tysięcy osób. I że pozostawię po sobie ślad, który nie zniknie przed upływem wielu lat.

– I co z tego? Masz szczęście, że trzymasz w ręku coś, czego wszyscy ci zazdroszczą. Nie możesz się zachowywać tak, jakby to nie istniało, jakby do ciebie nie należało. Owszem, pisarstwo jest bronią i bardzo dobrze. Twoja rodzina spłodziła pisarkę, którą jesteś. Stworzyli potwora, wybacz, a potwór znalazł sposób, żeby usłyszano jego krzyk. Jak ci się wydaje, z jakiej gliny są ulepieni pisarze? Rozejrzyj się, rozejrzyj się wokół! Jesteście wytworem wstydu, bólu, tajemnicy, rumowiska. Wywodzicie się z ciemnych, nienazwanych obszarów albo je przebyliście. Ci, co ocaleli, oto kim jesteście, każdy na swój sposób i wszyscy co do jednego. Nie daje wam to wszelkich praw. Ale daje wam to prawo pisać, wierz mi, nawet jeśli zrobi się szum.

Egzaltacja L. zaczynała budzić mój niepokój.

Kilka lat wcześniej, kiedy szykowałam się do napisania powieści o przemocy panującej w firmie – czy też czegoś *wokół* albo *wychodzącego od* tego tematu – poznałam pewnego psychiatrę, który zajmował się cierpieniem wywołanym mobbingiem w pracy i wynikającym z niego ryzykiem psychospołecznym. W tamtym okresie planowałam brutalne zakończenie powieści, nad którą pracowałam. Chciałam wiedzieć, czy ten koniec jest możliwy, prawdopodobny z punktu widzenia psychiki: czy wyczerpana kobieta, która od wielu tygodni pada ofiarą codziennej podstępnej agresji, kobieta, która pada ofiarą psychicznego dręczenia, może popełnić akt przemocy, a nawet zabić? Czy możliwe jest, żeby ta kobieta przeszła do czynu?

Opisawszy sytuację, postawiłam pytanie, które brzmiało tak:

– Czy wiarygodne jest, żeby ta kobieta dokonała groźnego postępku, nawet niechcący? Jeśli pan powie, że nie, zmienię front.

Siedzieliśmy w kawiarni, psychiatra przyjrzał mi się z rozbawieniem.

– No proszę, ta pani sprawa to ciężki kaliber.

Roześmiałam się. Tamto zdanie, które wypowiedziałam, *zmienię front*, prześladowało mnie przez wiele dni. Z jaką złością zamierzałam napisać tę książkę? Jaki ból miał w niej znaleźć ujście?

Powstrzymałam się oczywiście przed opowiedzeniem L. tej anegdoty.

Nie potrzebowała mojego przyzwolenia, żeby drążyć dalej.

L. była wściekła, ponieważ sądziła, że dałam się zastraszyć groźbom, które przeciwnie, powinny skłonić mnie do walki. Głośno wyrażała swe oburzenie, zagrzewając mnie do buntu.

– Oni muszą zrozumieć, że to dopiero początek, wiesz? Działałaś w rękawiczkach, chodziłaś na paluszkach, przemilczałaś pewne rzeczy, pominęłaś najbardziej gwałtowną, najczarniejszą stronę, i właśnie o to mają do ciebie pretensje! Chcesz wiedzieć dlaczego? Bo dla nich to oznaka słabości. Zachowałaś środki ostrożności, chciałaś pozostać grzeczną dziewczynką, która nie skrzywdziłaby nawet muchy, wzięłaś czytelnika na świadka, chociaż nigdy tego nie robiłaś, aby przekazać mu swoje wątpliwości i rozterki, nieustannie przypominałaś mu uruchomiony przez siebie mechanizm, „uwaga, panie, panowie, to jest powieść, próba zbliżenia się do prawdy, ale to jedynie moje spojrzenie na sprawy, nie twierdzę, nie pozwalam sobie, w żadnym razie nie chciałabym” i tak dalej. Ugięłaś się, ot co. Zrobiłaś wyłom, przez który wślizgują się, żeby skuteczniej cię dopaść. Popełniłaś błąd, Delphine, pokazałaś im, że troszczysz się o nich i o ich morale, a oni próbują cię unicestwić właśnie przez tę szczelinę.

Nie protestowałam, nie sprzeciwiałam się, powstrzymałam się od wszelkich komentarzy.

Zastanawiałam się, czy L. piła, zanim do mnie przyszła. Jej przemowa była zbyt mocna, irracjonalna. Wydawało mi się jednak, że w jej górnolotnych słowach buntu słyszę coś słusznego. Chcąc ją uspokoić, powiedziałam, że to przemyślę. Tylko że ona jeszcze nie skończyła.

– Tak, pisarstwo to broń, Delphine, pieprzona broń masowego rażenia. Pisarstwo jest nawet o wiele potężniejsze niż wszystko, co potrafisz sobie wyobrazić. Pisarstwo to broń obronna, palna, ostrzegawcza, pisarstwo to granat, pocisk, miotacz ognia, w pewnym sensie broń szturmowa. Może wszystko zniszczyć, ale może też wszystko odbudować.

– Nie chcę takiego pisarstwa.

L. spojrzała na mnie. Na jej twarzy w jednej chwili pojawiła się zaciętość. Nagle jej głos wydał mi się nienormalnie łagodny:

– Nie jestem pewna, czy masz wybór.

Owszem, powinnam była poczuć niepokój, że L. aż do tego stopnia obchodziło to, co się ze mną dzieje.

Owszem, powinnam była potraktować pojawienie się w jej przemowie owego *oni* jako ostrzeżenia.

Owszem, powinnam była odsunąć się od niej, przynajmniej na parę dni, i wreszcie zabrać się z powrotem do pracy.

Tylko czy istniały prawdziwe powody do obaw? L. była kobietą w moim wieku, której życie polegało na spisywaniu cudzego życia. Miała ekstremalną, radykalną wizję literatury, ja jednak uważałam tę wizję za bogatą i przeczuwałam, że interesująca byłaby dyskusja wolna od emocji, to znaczy z dala od mojego osobistego przypadku.

W dodatku L. stanęła w mojej obronie. A w chwili takiej jak ta – chwili zwątpień i trudności – jej współczucie stanowiło niewysłowioną pociechę.

Po kilku dniach, gdy zeszłam do piwnicy po stare papiery, przetrząsnąwszy archiwum w walizce, natknęłam się na zapomniany maszynopis. Napisałam ten tekst jakieś dziesięć lat wcześniej, kiedy nie zdążyłam jeszcze nic wydać. Sama już dokładnie nie wiedziałam, w jakich okolicznościach, ale go napisałam. Był to dość niejasny okres, który opierał się pamięci. Kartki połączone zostały giętką spiralą i przykryte przezroczystą okładką. Uśmiechnęłam się na widok tytułu. To był dobry tytuł. Przekartkowałam maszynopis w drżącym świetle piwnicznego korytarza. Powracały strzępy wspomnień rozmowy z jakąś dyrektorką literacką, która zachęcała mnie do dalszej pracy, chociaż uznała tekst za niedokończony. Zrezygnowałam bez żalu i odłożyłam go na bok, stwierdziwszy, że jest dla mnie zbyt ambitny.

Poszperałam w walizce w poszukiwaniu kolejnych egzemplarzy, ale najwidoczniej zostawiłam sobie tylko ten jeden.

Spędziłam popołudnie, leżąc na łóżku i czytając maszynopis. Ani razu nie odebrałam telefonu, nie przerwałam ani na chwilę. Nie odczułam potrzeby, żeby zrobić cztery rundki wzdłuż kwartału, za każdym razem pod innym pretekstem, ani żeby wypastować wszystkie znajdujące się w szafie buty. Po raz pierwszy od długiego czasu pozostałam skupiona. Kiedy skończyłam czytać tekst, w jakimś ciemnym, odległym zakamarku mózgu zaświecił się napis „wyjście awaryjne”.

Następnie poszukałam odpowiedniego pliku Worda. Nic nie znalazłam. W tym czasie zdążyłam dwukrotnie zmienić komputer, a w pewną burzliwą noc utracić większość danych.

Pod koniec dnia zadzwoniłam do mojej wydawczyni, aby obwieścić jej nowinę: zamierzam powrócić do niedokończonej powieści, której jedyną

ocalałą po przeprowadzkach kopię właśnie znalazłam. Pozostaje ogrom pracy do wykonania, trzeba wszystko napisać na nowo, ale pierwszy raz od dawna odzyskałam chęć, żeby to zrobić. Wydawczyni zapytała, czy jestem pewna. Czy odgrzebywanie starego tekstu to naprawdę dobry pomysł, czy nie istnieje niebezpieczeństwo, że pragnę się wbić w ubranie, które przestało już dobrze leżeć, albo w buty, które stały się za ciasne?

Nie, jestem dobrej myśli: trzymam w rękach bogaty surowiec, nieoczyszczony, ale cenny, i potrafię go oszlifować.

Pamiętam, że opowiedziałam jej o tekście, o tym, co da się z niego zrobić teraz, gdy mam należyty dystans, by dostrzec jego naiwność. Wydawczyni ucieszyła się, że się odezwałam, to dobra wiadomość, już nie może się doczekać, żeby przeczytać kawałek.

Odłożywszy słuchawkę, pomyślałam sobie, czyby nie zejść na dół do punktu ksero, nie zrobić kopii maszynopisu i czym prędzej nie wysłać jej wydawczyni, ale natychmiast zrezygnowałam. Lepiej pokazać jej nową wersję.

Ledwie skończyłam rozmowę, zadzwonił telefon. Automatycznie wyjrzałam przez okno w kierunku budynku naprzeciwko. (Kilka dni wcześniej zdałam sobie sprawę z tego dziwnego odruchu, nie potrafiąc określić, kiedy się dokładnie pojawił: gdy wracałam do domu, gdy zapalałam światło, przy najlżejszym hałasie mój wzrok wędrował ku klatce schodowej bloku naprzeciwko, aby sprawdzić, czy nikt mnie nie obserwuje).

Ujrzałam na ekranie imię L., toteż odebrałam połączenie. Jak to często bywało, L. zapytała, jak mi minął dzień, co porabiałam, czy wychodziłam. Czy znów strawiłam mnóstwo czasu w Monoprixie? Wystarczyło parę minut niewinnej pogawędki, żeby L. wyczuła u mnie zmianę nastroju.

– Jest coś nowego? Zaczęłaś nad czymś pracować?

Z początku wykręciłam się od odpowiedzi. Jeszcze za wcześnie, żeby o tym mówić. Próbowałam zmienić temat, skierować rozmowę na inne tory, tylko że L. nie należała do tych, którym można zamydlić oczy.

– No powiedz, Delphine. Coś się dzieje, słyszę to w twoim głosie.

Osłupiałam. Nigdy dotąd nie spotkałam kogoś, kto potrafiłby tak dobrze rozgryźć drugiego człowieka, jakby miał szósty zmysł. Dokładny. Wyostrzony. Przenikliwy.

L. miała rację. Wydarzyło się coś niepewnego, maleńkiego.

Odnalazłam maszynopis. Wiedziałam, że znów mogę pisać. Odzyskałam nadzieję.

L. skłoniła mnie łagodnie do wynurzeń. Paliła ją ciekawość.

Usiadłam, chciałam ważyć słowa. Nie rozczarować jej. Uniknąć wstrząsu. Chciałam wyjaśnić jej stopniowo i nagle poczułam się jak nastolatka, gdy zamierza oświadczyć rodzicom, że rezygnuje z drogi, którą dla niej wybrali.

Starannie dobierając słowa, wyjaśniłam L., że odnalazłam pewien tekst, powieść, i że go przeczytałam na nowo. Wydał mi się interesujący. Pozostało sporo do zrobienia, ale to może być dobry punkt wyjścia. Mam ochotę ponownie się do niego zabrać.

Owszem, ten tekst to fikcja. Owszem, „czysta” fikcja.

Po drugiej stronie nastała długa cisza. Po czym L. rzekła:

– Skoro jesteś taka pewna siebie, to dobrze. Bez wątpienia masz rację. W końcu sama wiesz najlepiej.

Dopiero po rozłączeniu się przemknęła mi przez głowę następująca myśl: jej głos się zmienił. Jakiś cień rozpaczy sprawił, że ledwie zdołałam usłyszeć to zdanie, które zamiast dodać otuchy, przypomniało mi, jak bardzo jestem zgubiona. Nie, nie wiedziałam, nic nie wiedziałam.

Nie miałam wieści od L. przez dwa dni. Spędziłam ten czas na notowaniu uwag na maszynopisie, aby oddzielić to, co moim zdaniem nadawało się do wykorzystania, od tego, co powinno pozostać w zapomnieniu. Powoli zaczynała mi się kształtować wizja tego, czym po przeróbce może się stać ta historia.

Pewnego wieczoru zadzwoniła L. z zaproszeniem na swoje urodziny, które wyprawiała nazajutrz. Wyjaśniła, że będzie pięć, sześć osób, nie więcej, ponieważ woli przyjęcia w małym gronie. Mam w żadnym razie nie przynosić ani prezentu, ani ciętych kwiatów (nie znosi ich), w ostateczności butelkę wina, jeśli się przy tym upieram.

Przyjęłam zaproszenie bez wahania. Od dwóch czy trzech tygodni nie widywałam nikogo, cieszyłam się, że wyjdę trochę między ludzi i poznam kilkoro jej przyjaciół. Zaproponowałam, że wpadnę wcześniej, aby pomóc w przygotowaniach, zgodziła się z zapałem, będziemy miały czas porozmawiać, zanim zjawi się reszta.

Tamtej soboty przyszłam do niej około dziewiętnastej. Wszystko było gotowe.

L. zdjęła przewiązany w talii fartuszek, poczęstowała mnie aperitifem. Miała na sobie skórzaną, krótką obcisłą spódniczkę, ciemne rajstopy i czarny, bardzo prosty, lekko połyskujący T-shirt. Pomyślałam sobie, że po raz pierwszy widzę ją w tak seksownym stroju.

W mieszkaniu unosił się przyjemny zapach przypraw i cynamonu. L. właśnie włożyła do piekarnika tadżin z morelami według przepisu, który wypróbowała już z powodzeniem, spodoba mi się, jest tego pewna, skoro lubię słodko-słone smaki.

Bar, oddzielający kuchnię od pokoju dziennego, zastawiony był rozmaitymi potrawami we wszystkich kolorach, podanymi w odpowiednio

dobranych czarkach. L. przygotowała wszystko sama: kawior z bakłażana, humus, taramę, marynowane papryczki. Na bufecie stało kilka deserów, najwyraźniej domowej roboty.

Nie, nie, nie mogę jej w niczym pomóc, wszystko już jest gotowe, cieszy się, że wpadłam trochę wcześniej.

Przyszło mi na myśl, że L. spędziła w kuchni dwa dni, aby to wszystko upichcić.

Rozgościłam się w salonie. Zapaliła świece zapachowe i umieściła na pomocniku pół tuzina nakryć. W ten sposób, wyjaśniła z kuchni, gdzie sprawdzała właśnie temperaturę piekarnika, każdy będzie mógł się sam obsłużyć i usiąść tam, gdzie sobie życzy. Rozejrzałam się dokoła. Pokój oświetlał szereg rozstawionych ze smakiem jednakowych lamp. Stolik kawowy ze szklanym blatem był nienagannie przezroczysty. Podobnie jak za pierwszym razem, poczułam się, jakbym siedziała wśród sztucznych dekoracji, stworzonych specjalnie na tę okazję. Salon L. – jego oświetlenie, dobór materiałów i kolorów, dokładnie wyznaczone miejsce dla każdego przedmiotu, odległość dzieląca go od pozostałych, wszystko to wyglądało jak żywcem wyjęte z jednego z tych programów telewizyjnych, w których podczas weekendu jakiś doradca zamienia twoje mieszkanie na dwustronicową reklamę Ikei.

Jak daleko sięgam pamięcią, dekorowanie wnętrz nigdy mnie nie pociągało. Gdy tylko w moim polu widzenia znajdą się ludzie, sposób urządzenia mieszkania schodzi na dalszy plan, znika. Jeśli udaję się z François w jakieś nowe miejsce (na przykład do restauracji), już po fakcie potrafię opisać z wprawiającą go w osłupienie dokładnością osoby, które nas otaczały, rodzaj relacji, jakie je łączyły, ich fryzury bądź stroje, najważniejsze tematy ich rozmów też rzadko mi umykają. Z kolei François mógłby zrelacjonować, nie opuszczając żadnego szczegółu, jak było urządzone pomieszczenie, jaka panowała w nim atmosfera, z jakiego typu mebli się składało, a także, w danym przypadku, jakie bibeloty lub drobne przedmioty w nim się znajdowały. Mnie to wszystko by umknęło.

W mieszkaniu L. coś mi jednak przeszkadzało, chociaż nie umiałabym określić, co to takiego.

W oczekiwaniu na przyjaciół L. nalała mi kieliszek białego wina. Rozmawiałyśmy o wszystkim i o niczym, sypała jak z rękawa

najrozmaitszymi anegdotami na temat bardziej lub mniej znanych osobistości, dla których pracowała. Tamtego wieczoru L. rozgadała się o swojej pracy bardziej niż zwykle. Opowiedziała mi o ścisłej relacji, która rodzi się w ciągu kilku miesięcy, z każdym spotkaniem zacieśniając się coraz bardziej, po czym zamilkła. Nie widuje żadnej z osób, dla których pisała, tak już jest, sama właściwie nie wie dlaczego, może z powodu owej gwałtownej, niezbędnej bliskości, która nagle staje się kłopotliwa.

Czas mijał, a my siedziałyśmy tam, w jej salonie, czekając na przyjaciół L.

L. przerywała raz po raz, aby doglądać potrawy w kuchni, ja zaś korzystałam z tego, by zerknąć na zegarek.

Około dwudziestej trzydzieści otworzyłyśmy meursaulta i rozpoczęłyśmy degustację przygotowanych przez L. przekąsek w pucharkach.

Około dwudziestej pierwszej, gdy nadal nikt się jeszcze nie zjawił, L. wstała, by wyłączyć piekarnik, bojąc się, że mięso zbytnio się wysuszy. Nie sprawiała wrażenia zdenerwowanej, przeciwnie, przejawiała nieco nienaturalny spokój. Powiedziała, że zapraszając gości, nie podała dokładnej godziny, w soboty ludzie zawsze są zajęci wszelkiego rodzaju zakupami.

Nieco później zapytałam L., czy upewniła się, że jej komórka jest włączona, w razie gdyby jej przyjaciele mieli jakieś kłopoty.

Kwadrans przed dwudziestą drugą L. sprawdziła godzinę na zegarze piekarnika i oznajmiła, że oni już nie przyjdą. Jej głos nie brzmiał pewnie, nie miałam śmiałości dalej wypytywać i zaproponowałam, żebyśmy jeszcze trochę zaczekały.

O dwudziestej drugiej, kiedy właśnie otworzyłyśmy drugą butelkę, zapytałam L., czy przyjaciele uprzedzali, że zjawią się wszyscy razem. Nie miała pojęcia. Zasugerowałam, żeby do nich zadzwoniła, przynajmniej do niektórych z nich, aby się dowiedzieć, co się dzieje.

L. odparła, że to *próżny trud*. Ja natomiast pomyślałam sobie, że tak naprawdę zadała sobie wiele trudu na próżno, jeśli nikt nie przyjdzie. Zapytałam, czy zaprosiła ich telefonicznie. L. odrzekła, że nie. Rozesłała e-maile, jak co roku. I jak co roku nie przyszli.

Około dwudziestej drugiej piętnaście wręczyłam L. kaszmirowy szal, który kupiłam dla niej mimo zapewnień, że nie chce prezentów. Kiedy

rozpakowała szal i rozłożyła przed sobą, ujrzałam, jak ściska ją w gardle, rumieniec wypełza jej na policzki, jak z trudem powstrzymuje łzy. Przez moment sądziłam, że rozklei się na moich oczach. W odruchu pocieszenia otoczyłam ją więc ramionami. Przez kilka chwil wydawało mi się, że wyczuwam toczącą się w jej ciele walkę między dzielnością a kapitulacją. Gdy wyswobodziłam ją z uścisku, L., odzyskawszy panowanie nad sobą, uśmiechnęła się.

– Przecież mówiłam: bez prezentów! W każdym razie dziękuję, jest prześliczny.

Około dwudziestej drugiej trzydzieści, chociaż L. najwyraźniej o nim zapomniała, wyjęłam tadżin z piekarnika i nałożyłyśmy sobie gorącą potrawę na talerze.

Później, być może dlatego, że prawie skończyłyśmy drugą butelkę wina, L. wyjaśniła, że od śmierci męża jej przyjaciele (grupka dziesięciu osób, które często widywali, kiedy Jean jeszcze żył) przestali się odzywać. Mimo to co roku tego dnia, w którym wypadały nie tylko jej urodziny, ale także rocznica śmierci Jeana, nadal ich zapraszała. Nigdy jednak nie przyszli.

Usiłowałam dowiedzieć się czegoś więcej, lecz zaraz po pierwszych pytaniach L. zamknęła się w sobie.

Po kilku minutach milczenia oznajmiła, że nie jest gotowa, by o tym mówić. Nie może już narażać się na osądzanie.

Obiecała, że któregoś dnia wszystko mi opowie. Nie nalegałam.

Później L. spędziła parę minut w łazience. W czasie jej nieobecności spojrzałam na pusty pokój, na stos ślicznych talerzy, na potrawy, których nawet nie tknęłyśmy, pamiętam, że pomyślałam o całym tym *trudzie*, i wydało mi się to zatrważająco smutne.

Kiedy wróciła, pokosztowałyśmy rozmaitych deserów i włączyłyśmy muzykę.

Śmiałyśmy się, zapomniałam dlaczego.

Po północy, kiedy trącałyśmy się kieliszkami po raz trzeci czy czwarty, L. zaciekawił maszynopis, który dopiero co odnalazłam. Czy zaczęłam już

pracę? Czy dałam go komuś do przeczytania? Wyjaśniłam, że wydaje mi się to przedwczesne, że wolę posuwać się naprzód.

W przedpokoju, gdy szykowałam się do wyjścia, ona zaś przyglądała się ze smutną miną, jak wkładam płaszcz, chwyciła moją dłoń, aby mi podziękować.

– Całe szczęście, że przyszłaś. Nie masz pojęcia, ile to dla mnie znaczy.

Następnie tym swoim łagodnym głosem, z którym zaczynałam się oswajać, poprosiła, żebym dała jej – nikomu więcej, tylko jej – przeczytać odnaleziony maszynopis. W absolutnym zaufaniu.

Przyrzekłam.

Po powrocie do domu, przed zapaleniem światła zaciągnęłam zasłony.

Przypuszczenie, że L. mogłaby wymyślić i zainscenizować całą tę maskaradę wyłącznie po to, by mnie rozczulić albo udobruchać, zrodziło się w mojej głowie o wiele później.

Usiadłam na kanapie, rozejrzałam się dokoła, poczułam dziwną ulgę. I nagle, na zasadzie kontrastu, uświadomiłam sobie, co mi przeszkadzało w mieszkaniu L.

Nic nie było u niej zużyte, pożółkłe, zniszczone. Ani jeden przedmiot, ani jeden mebel, ani jedna tkanina nie nosiły śladów wcześniejszego życia. Wszystko tam było nowe. Wszystko sprawiało wrażenie kupionego poprzedniego dnia albo przed paroma tygodniami. Pokoje nie miały duszy i nie było w nich bałaganu.

Nie zauważyłam żadnej fotografii, żadnej pocztówki, żadnego bibelotu, które mogłyby przywołać jakiekolwiek wspomnienia.

Tak jakby wczoraj nie istniało.

Tak jakby L. wymyśliła się na nowo.

– Nie, naprawdę, to niemożliwe. Wolę być z tobą szczera, nawet gdyby miało się to wydać trochę brutalne, nie chodzi o pracę, to coś innego. To tekst pozbawiony życia, napisany nie wiadomo kiedy ani w jakich warunkach, jak ty sobie wyobrażasz, że można by go dzisiaj powiązać z twoją drogą, z twoją ewolucją, z tym, co *powinnaś* pisać? Zaufaj mi. Nie mówię, że tekst jest do niczego albo że nikogo nie zainteresuje, mówię, że to już nie twoja sprawa. On nie ma już nic wspólnego z tobą, z autorką, którą się stałaś. Byłby to niezrozumiały krok do tyłu. Katastrofa. Przeczytałam go, tak, oczywiście, do samego końca, ależ tak, jak ci się wydaje? Poprosiłaś, żebym powiedziała, co o nim sądzę, więc pozwalam sobie powiedzieć, że to by był błąd, poważny błąd, tak, nawet gdybyś go dogłębnie przejrzała i poprawiła, nawet gdybyś go ulepszyła, przekształciła, popatrzyła na niego pod zupełnie innym kątem. Tu nie chodzi o dojrzałość. Nie chcę cię zniechęcać, nie chcę, abyś choć przez chwilę pomyślała, że uważam, że nie dasz rady. Wiesz, jak bardzo w ciebie wierzę. Ale co to, to nie, to niemożliwe. Na twoim miejscu odłożyłabym to coś na dno szuflady, tam, gdzie je znalazłaś. Boisz się, panikujesz, jesteś gotowa rzucić się na wszystko, co ci wpadnie w ręce. Zawsze do tego wracamy, widzisz, zawsze wracamy do tego samego punktu: masz blokadę, bo nie chcesz pisać tego, co powinnaś napisać. Nie, to nie jest projekcja z mojej strony, to coś, co w tobie wyczuwam, co wyczułam już przy pierwszym spotkaniu. Wyczułam, że się boisz. Boisz się pójść tam, dokąd cię nogi poniosą. Mylisz się, bo nie do ciebie należy wybór, jaką jesteś pisarką, przykro mi, decyzja nie należy do ciebie, nie. Skoro już o tym mowa, zastanawiam się czasem, czy nie powinnaś się wystrzegać komfortu, w jakim się rozwijasz, tego pospolitego, w końcu względnie spokojnego życia wśród dzieci, faceta, pisania, przy czym wszystko jest umiejętnie dawkowane, zastanawiam się czasem, to jest pytanie, ależ tak, zastanawiam się, czy nie

ma w tym czegoś odrobinę… znieczulającego. Być może potrzebujesz tego, tej równowagi, potrafię to zrozumieć, wiem, o czym mówię, wiem, jaką szczelinę drąży przemoc i że nie da się tego naprawić. Wydaje ci się, że tego potrzebujesz, bo nie dość sobie ufasz, ale mimo wszystko pilnuj się, uważaj, żeby się nie uśpić. Rozumiem, że się boisz, ale strach przed niczym nie chroni, strach nie zapobiega niebezpieczeństwu. Dobrze o tym wiesz. A co do niebezpieczeństwa, wiem, skąd ono nadchodzi. Co jest twoją piętą achillesową. Wiem, którędy mogą zaatakować i powalić cię na ziemię, nie pozwól im więc na to, to wszystko, co chcę ci powiedzieć. Oni doskonale wiedzą, ja cię dopaść, i w ogóle nie mają pojęcia, czym jest literatura, wybacz mi. Trzeba będzie się z tym zgodzić. O kim ja mówię? Przecież dobrze wiesz. Twierdzę tylko, że nie musisz się poddawać pod pretekstem utrzymania więzi, które dawno zniknęły i w które wierzysz wyłącznie ty. Zastanów się, kto kocha cię naprawdę. Skoro już o tym mowa. Nie jestem pewna, czy zdołasz uniknąć samotności, wydaje mi się wręcz, że przygotowanie się na nią leży w twoim interesie, ponieważ taki jest los pisarza, wykopać rów wokół siebie, nie sądzę, żeby istniała inna droga, pisanie niczego nie naprawia, w tym jednym przynajmniej raz się zgadzamy, ono drąży, ryje, kreśli coraz szersze doły, zostawia wokół ciebie pustkę. Niezbędną przestrzeń. Cóż, wracając do tekstu, tak, oczywiście, jeśli wyślesz go do wydawcy, nie powiedzą nie, będą cię zachęcać, powiedzą, że to dobry pomysł, oni nie są głupi, przyda im się, jak ściągniesz im do kieszeni trochę pieniędzy, nie ma się co łudzić, tylko to ich interesuje, nawet jeżeli twoja następna książka będzie zła, i tak uda im się ją upłynnić paru tysiącom czytelników. A ponieważ oni też muszą się rozliczać z kimś wyżej, nie będą utrudniać, wierz mi. Zastanów się tylko trochę nad tym, co musisz zrobić, nad rolą, jaką odgrywasz. Boisz się pustki, ale nie wolno ci ustąpić. Skoro już o tym mowa.

Nazajutrz schowałam maszynopis z powrotem na dno walizki, w której go znalazłam.

Kilka dni później powiadomiłam moją wydawczynię. Nie domagała się przeczytania go, nie sprawiała wrażenia zdziwionej. Doradziła, żebym dała sobie czas, tyle czasu, ile mi potrzeba.

Nie wspomniałam François o maszynopisie i nie miałam już żadnego powodu, żeby to zrobić, skoro natychmiast zrezygnowałam. Kiedy François nie podróżował, spędzał całe dnie na czytaniu książek, na tym polegała jego praca. Pod pewnymi względami jego praca nas do siebie zbliżała. Mogliśmy rozprawiać godzinami o cudzych powieściach, lubiliśmy się dzielić swoimi odkryciami, fascynacjami, spierać się. Ja jednak nie byłam wyłącznie czytelniczką. Ja pisałam książki. Książki, na których temat można było wydawać sądy. Zapewne właśnie z tego powodu nie chciałam mu pokazywać mojej prozy, a czasami nawet w ogóle mu o niej mówić. Bałam się, że go rozczaruję. Bałam się, że przestanie mnie kochać. Dwa lata wcześniej, ukończywszy wstępną wersję mojej ostatniej książki, nie pozwoliłam mu jej przeczytać. Poznał tekst dopiero po wydrukowaniu pierwszych próbek.

Pisanie było moim najintymniejszym, najbardziej odosobnionym, najbardziej strzeżonym terenem. Którym najmniej się dzieliłam. Wolną strefą, egoistycznie strzeżoną. Zabarykadowaną. Strefą, o której wspominałam wyłącznie powierzchownie, bardzo oszczędnie. Najczęściej przed zaczęciem książki rozmawiałam z wydawczynią, następnie mijały długie miesiące, zanim wysyłałam jej pierwszą wersję ukończonego tekstu.

Zawsze posuwałam się naprzód w ten sposób.

Właśnie to pojęła błyskawicznie L.: pisanie to terytorium obwarowane, zakazane dla gości. Tylko że teraz terytorium to było zaminowane,

oblężone przez zwątpienie i strach, owa samotność stawała się zaś dla mnie nieznośna.

Chciałam się bić sama, lecz potrzebowałam sojusznika.

Kilka dni później, gdy usiłowałam odpowiedzieć na listy, stwierdziłam, że siedzenie przed komputerem dłużej niż pięć, dziesięć minut stało się dla mnie prawie niemożliwe. Poza lękiem, jaki odczuwałam, włączając urządzenie (silne ściskanie w okolicy mostka), pozostanie przed ekranem, choćby tylko tyle czasu, ile potrzeba na zredagowanie paru e-maili, sprawiało mi coraz większą fizyczną trudność. Pisanie zamieniło się w walkę. Nie tylko pisanie książki (szczerze mówiąc, tak naprawdę nie było już o tym mowy), ale pisanie w ogóle: odpowiadanie przyjaciołom, na prośby przekazane przez wydawcę, łączenie słów w zdania, choćby nie wiem jak zwyczajne. Wahałam się przy formułach, wątpiłam w gramatykę, szukałam właściwego tonu, nie mogąc go znaleźć. Pisanie zamieniło się w próbę sił, ja zaś nie stawałam na wysokości zadania.

Nie powiedziałam L., że odmówiłam napisania nowelki dla pewnego kobiecego magazynu i po raz trzeci przełożyłam napisanie wstępniaka, który proponował mi jeden z tygodników.

Nie powiedziałam L., że od sześciu tygodni spóźniam się z oddaniem przedmowy do kolejnego wydania ostatniej powieści Maupassanta, do czego zobowiązałam się rok wcześniej.

Nie powiedziałam L., że nie potrafię już sklecić trzech słów.

Trzęsły mi się ręce, a serce łomotało w głuchej, bezładnej panice.

Pewnego wieczoru zgodziłam się towarzyszyć François na wernisażu wystawy zorganizowanej przez jego przyjaciela. Od urodzin L. nigdzie nie byłam.

Przybyliśmy jako jedni z pierwszych, przywitaliśmy się z gospodarzem i obejrzeliśmy wiszące na ścianach fotografie; widniała wśród nich seria czarno-białych, pochodzących z lat sześćdziesiątych portretów, które bardzo mi się spodobały. Urządzono koktajl. Szczęśliwa, że tu jestem, chwyciłam kieliszek szampana i rozejrzałam się dokoła. Nadeszła chwila, aby trochę podyskutować, porozmawiać przy trunkach, udowodnić, że się jest towarzyskim. Kiedy wahałam się przed odezwaniem się (należy sądzić, że siedząc w domu, człowiek w końcu traci umiejętność posługiwania się

językiem), spostrzegłam, że zjawiło się kilku znajomych pisarzy i dziennikarzy. Ludzi, z którymi powinnam się przynajmniej przywitać. Zamiast jednak podejść bliżej i powiedzieć dzień dobry, wycofałam się w odruchu ucieczki i absolutnej paniki, wycofałam się, jakbym stojąc na drodze nad urwiskiem, dwadzieścia metrów nad ziemią, poczuła zawrót głowy i chciała przylgnąć do bezpiecznej ściany. Plecami. Zupełnie tak samo jak wtedy, gdy miałam piętnaście lat i podczas imprez jakaś niewidzialna siła wypychała mnie poza krawędź na zewnątrz, poza granice. Podpierać ściany, już lepsze to, niż rzucać się w oczy. Tamtego wieczoru ta sama siła wypychała mnie z kręgu, nie byłam w stanie powiedzieć po prostu dzień dobry, jak się pani, pan miewa, jakiś głos w mojej głowie oburzał się: Delphine, przecież robiłaś to dziesiątki razy, potrafisz to zrobić, bądź zwyczajna i naturalna, bądź sobą, ale nie, było za późno, źle zaczęłam, płynęłam bez steru. W oddali François oglądał się za mną i rzucał mi niespokojne spojrzenia.

W ciągu niecałych dwóch minut cofnęłam się o trzydzieści lat, stałam się na powrót nieśmiałą i dumną dziewczyną, która nie jest w stanie przestrzegać reguł.

Oto gdzie się znalazłam, nie pisząc, nie mogąc pisać, oto co mnie czekało, jeśli nie znajdę wyjścia: regresja, jakiej jeszcze nie było.

Przestałam już nawet liczyć ludzi, do których powinnam oddzwonić, których obiecałam zaprosić na lampkę wina, na obiad, na kolację, ludzi, z którymi normalnie z rozkoszą bym się spotkała, ale w tej sytuacji nie, bo co miałabym im powiedzieć? Miałabym im powiedzieć, że opuściły mnie wszelkie pomysły, wszelki zapał, zastanawiam się, czy od samego początku nie szłam złą drogą, zastanawiam się, co ja tu robię, pośrodku niczego, jestem pisarką z defektem, to taki banał, że wręcz brak mi odwagi, by ubrać to w słowa, z defektem, tak, przykro mi, to żałosne, ale nie, to nie jest kwestia czasu ani sukcesu, ani nic z tych rzeczy, to coś nieskończenie głębszego, nie potrafię państwu tego wyjaśnić, to ma coś wspólnego z samymi podstawami pisarstwa, z jego racją bytu, być może się pomyliłam, od początku, że nie mam tu nic do roboty, opuściłam skrzyżowanie i nie skręciłam tam, gdzie rozsądnie było skręcić, w drugie życie, tak, w inny rodzaj życia, mniej zarozumiałego, mniej próżnego, mniej na widoku, nie wiem, dlaczego to mówię, z powodu zmęczenia, tak, zapewne, chociaż czasem mam wrażenie, że do mojego mózgu przedostała

się jakaś obca cząsteczka i zaburzyła przekazy, znajomości, pragnienia, wszystko to, co działało nie tak znów źle, teraz podlega drganiom, osłabieniu, wolę więc zostać sama, widzą państwo, przez jakiś czas trzymać się na uboczu, proszę nie brać mi tego za złe, byłabym bardzo szczęśliwa, otrzymując wiadomości od państwa, gdybym nie musiała w zamian przekazywać państwu własnych, ale to nie funkcjonuje w ten sposób, wiem doskonale.

Pewnego ranka zadzwoniła do mnie wydawczyni, wobec której zobowiązałam się napisać przedmowę do *Naszego serca*, powieści Maupassanta w nowym wydaniu w serii literatury klasycznej. Powinnam była oddać tekst kilka tygodni wcześniej, ale schowałam głowę w piasek i nie dałam znaku życia.

Kobieta się niepokoiła, książka figurowała już w katalogu, nie dało się po raz kolejny przesunąć terminu, zwłaszcza że spora część nauczycieli liceów zdążyła umieścić dzieło na liście lektur.

Odłożywszy słuchawkę, wpadłam w panikę. Rzecz jasna, napisanie przedmowy przekraczało moje możliwości. Nie byłam nawet w stanie napisać e-maila z prośbą o jeszcze jedno odroczenie terminu albo z deklaracją o rezygnacji. Zresztą w mojej skrzynce zebrały się dziesiątki wiadomości bez odpowiedzi, z których wielu w ogóle nie otworzyłam.

Po południu ogarnęło mnie coś w rodzaju ostatniego podrygu (kilka dni wcześniej przeczytałam artykuł naukowy o ostatnim podrygu umierających komórek, zapewne więc dlatego przyszło mi do głowy to wyrażenie). Nie mogłam się poddać, nie przekonawszy się: nie spróbowawszy pójść na całość, jak mawiano w pewnym programie telewizyjnym, który oglądała moja babcia, kiedy byłam dzieckiem.

Musiałam napisać chociaż to. Przyjęłam tę pracę. Gdybym nie dotrzymała słowa, gdybym się czegoś nie uczepiła, straciłabym grunt pod nogami.

Dobrze znałam powieść, przeczytałam ją parę razy, mogłam sobie poradzić, *musiałam* sobie poradzić.

Włączyłam komputer, postanowiłam wywiązać się z podjętego zobowiązania.

Zmusiłam się do oddychania na czas, zanim uruchomią się główne aplikacje i pokażą odpowiednie ikonki, usiłowałam przybrać swobodny wyraz twarzy, minę kogoś, kto nie czuje przerażenia na myśl, że siedzi przed pustą stroną, pośrodku której mruga niemy kursor. Otworzyłam przysłany mi e-mailem przez wydawcę plik, zawierający kwestionariusz, który miałam wypełnić. Ledwie jednak ujrzałam otwierającą się stronę, dopadły mnie niesłychanie gwałtowne mdłości. Rzuciłam się do kosza na papierowe śmieci, do którego zwymiotowałam tak obficie, że żołądek o mało nie wywrócił mi się na drugą stronę, niezdolna złapać tchu. Powinnam się odsunąć, oto co czułam, odsunąć się jak najdalej od klawiatury, aby to ustało. Złożona w scyzoryk pomiędzy dwoma atakami nudności, starając się ciągnąć za sobą kosz, dopełzłam do łazienki. Gdy tylko zamknęłam drzwi, zwymiotowałam ostatnią porcję żółci do umywalki.

Kiedy ochlapałam twarz i umyłam zęby, zobaczyłam w lustrze, jaka jestem blada. Wyglądałam jak ktoś, kto właśnie zobaczył coś najgorszego. Obraz komputera, myśl o komputerze ściskały mi głowę jak w imadle.

Wówczas dotarło do mnie, że jestem *na dnie dziury*, na samym dnie.

Nie był to wyłącznie obraz. Widziałam bardzo wyraźnie siebie na dnie dziury, której gładkie ściany całkowicie uniemożliwiały jakąkolwiek próbę wydostania się. Widziałam się – owszem, przez kilka sekund miałam przerażająco dokładną wizję siebie na dnie dziury wypełnionej ziemią i błotem.

Dzisiaj kusi mnie myśl, że wizja ta nie była niczym innym jak tylko przeczuciem.

Opuściłam łazienkę i wezwałam na ratunek L.

Zadzwoniłam do niej, właśnie do niej, a nie do kogoś innego, ponieważ w tamtej chwili jawiła mi się jako jedyna osoba zdolna pojąć, co się ze mną dzieje.

L. przyszła pół godziny później.

Zdjęła płaszcz, zaparzyła herbatę, zmusiła mnie, bym usiadła w fotelu pod oknem.

L. zapytała o hasło do komputera.

L. usiadła na moim miejscu, przy biurku.

L. oznajmiła: zaczniemy od odpowiedzenia na pocztę, a potem napiszemy tę przedmowę.

L. czytała na głos dyplomatyczne formułki, których używała, aby wyjaśnić odmowę albo opóźnić odpowiedź. W jej ustach wszystko to wydawało się takie proste. Takie płynne.

L. oznajmiła, że korzysta z okazji, aby wysłać liścik znajomym, którzy dali znak życia w ciągu ostatnich tygodni, a którym najwyraźniej również nie odpisałam. Następnie zredagowała wiadomość do zarządcy nieruchomości, która leżała odłogiem.

W końcu zabrała się do przedmowy.

Tekst, który zobowiązałam się napisać, miał postać wywiadu. Taka jest zasada tej serii wydawniczej: współczesny pisarz wyjaśnia, dlaczego lubi określone wznawiane dzieło. L. przeczytała na głos zarys proponowany przez wydawcę, około piętnastu pytań, na które powinnam udzielić odpowiedzi na piśmie. Sprawiała wrażenie zadowolonej. To prawdziwe szczęście, wystarczy, że opowiem jej o tekście, a ona zadba, aby nadać temu właściwą formę. W końcu to przecież jej zawód, a w ciągu dwóch, trzech dni będziemy gotowe.

L. odpowiedziała wydawczyni, podając nasz termin.

L. wróciła do mnie nazajutrz i kolejnego dnia.

Wyłuszczyłam L. powody, dla których lubię tę powieść. Umościłam się w fotelu pod oknem, niezbyt daleko od niej, gdy tymczasem ona pisała.

Ostatniego dnia, wydrukowawszy tekst, abym mogła go przejrzeć, L. wzięła pióro, żeby umieścić poprawki, które właśnie wpadły jej do głowy.

Pochylona nad kartką, zapewne czując ulgę, że skończyła, L., która oświadczyła mi wcześniej, że jest leworęczna (i dała tego dowód na moich oczach), trzymała pióro w prawej dłoni i stawiała idealnie czytelne litery.

Owszem, powinno było mnie to zdziwić.

Owszem, powinnam była zapytać L., z jakiej przyczyny nagle pisze prawą ręką.

Owszem, powinnam była ją zapytać, dlaczego zaczęła nosić takie same botki jak ja.

Powinnam była jej podziękować i dać do zrozumienia, że nie ma potrzeby, aby wracała nazajutrz, skoro już skończyłyśmy.

Tego samego dnia wieczorem, kiedy L. ciągle jeszcze u mnie była, wydawczyni potwierdziła otrzymanie przedmowy. Bardzo jej to odpowiada. Jest zachwycona.

Wówczas zrobiłam coś, co często mi się zdarza z przyjaciółkami: w przypływie wdzięczności uściskałam L. Poczułam, jak jej ciało sztywnieje przy dotyku. L. wyswobodziła się z moich objęć i spojrzała na mnie wzruszona: jest bardzo szczęśliwa, że może mi pomóc i uwolnić od pewnej liczby spraw, jeśli to mi pozwoli skupić się na tym, co najistotniejsze.

Powtórzyła te słowa: skupić się na tym, co najistotniejsze.

Teraz, gdy przedstawiam fakty, odtworzone mniej więcej w takim porządku, w jakim się wydarzyły, mam świadomość, że niczym po użyciu atramentu sympatycznego, pojawia się coś w rodzaju intrygi, której prześwity pozwalają dostrzec, jak L. powoli i pewnie parła naprzód, z każdym dniem umacniając swój wpływ. I nie bez przyczyny piszę tę historię w świetle tego, czym owa relacja się stała i jakie szkody poczyniła. Znam przerażenie, w jakim mnie pogrążyła, i przemoc, w jakiej się kończy.

Dzisiaj, kiedy znów mogę siedzieć przed ekranem monitora (w jakim stanie, to już inna historia), nawet jeśli nadal wszystko pozostaje kruche, usiłuję zrozumieć. Próbuję zbudować więzi, znajomości, hipotezy. Mam wyraźną świadomość, że to z góry przyjęte założenie skłania czytelnika do pewnej nieufności w stosunku do L. Nieufności, której ja nie odczuwałam. Zdziwienie, rozbawienie, zakłopotanie, owszem. Ale nie nieufność. Nieufność pojawiła się o wiele później. O wiele za późno.

François ponownie wyjechał z kraju, aby dokończyć film dokumentalny, ja zaś wkroczyłam w okres ogromnej izolacji.

Trwał on kilka miesięcy, a dzisiaj trudno mi określić jego ramy czasowe.

Muszę przyznać, że punkty odniesienia mi się mylą, mieszają, tym bardziej że z kalendarza niczego nie mogę się dowiedzieć: teraz przewracam puste kartki. Widnieją w nim jedynie powroty Louise i Paula, zapisane na niebiesko ich inicjałami, a także parę weekendów, kiedy opuściłam Paryż, aby ich odwiedzić, haust tlenu, który wyrywał mnie z odrętwienia.

Gdy przedmowa została napisana i wysłana, zgodziłam się, by L. zaprowadziła u mnie jako taki porządek. Zauważyła, że na moim biurku

nieustannie rośnie sterta listów i rachunków, czasem nawet nieotwartych, obawiała się więc, że minie termin płatności.

L. podpisała za mnie pewną liczbę czeków, poleceń zapłaty, odpowiedziała na rozmaite wiadomości (od ubezpieczyciela, zarządcy nieruchomości, banku…), następnie posortowała walające się rachunki.

L. zajęła się odpisywaniem na różne prośby, które ciągle do mnie napływały, w większości za pośrednictwem mojego agenta.

Patrzyłam, jak L. włącza komputer, otwiera blok papieru listowego, wybiera kopertę określonej wielkości, sortuje moje e-maile, jednym słowem: porusza się u mnie, jakby była u siebie, i wszystko sprawiało wrażenie prostego. Prawdę mówiąc, znów posługiwała się lewą ręką ze swobodą, która wydawała mi się trudna do udawania, dlatego w końcu uwierzyłam, że tamtego dnia, gdy widziałam, jak pisze prawą ręką, się pomyliłam.

– Dochodzisz do takiego momentu w życiu, gdy obdarzanie kogoś zaufaniem staje się niebezpieczne – oświadczyła któregoś poranka, spędziwszy blisko godzinę przy moim komputerze.

– Dlaczego to mówisz?

– Bo wyraźnie widzę pułapki, jakie się na ciebie zastawia. Wyraźnie widzę, czego oczekują dziś od ciebie twój wydawca, przyjaciele, rodzina, znajomi. I jak postępują, żeby cię do tego nakłonić, jednocześnie udając, że nie mają z tym nic wspólnego.

– Przecież wszystkich tych ludzi niewiele łączy i każdy z nich oczekuje ode mnie innych, a nawet sprzecznych ze sobą rzeczy.

– Nie jestem tego taka pewna, Delphine. Wszyscy zachęcają cię, żebyś wiodła takie pozbawione ryzyka życie jak kiedyś. Żebyś w pewnym sensie powróciła do starej śpiewki, do pełnych empatii i życzliwości ogranych tematów, które w mniejszym lub większym stopniu były twoim literackim znakiem fabrycznym.

– Nie rozumiem, o czym mówisz.

– Chciałabym tylko przykuć twoją uwagę. Najwyższy czas wykazać się odrobiną rozsądku w tym, jak podchodzisz do świata zewnętrznego. Żadna z osób, które uznajesz za bliskie, nie ma zielonego pojęcia, co przeżywasz. Żadna z tych osób, które wybrałaś na przyjaciół bądź przyjaciółki, nie wie,

z czym się w tej chwili zmagasz. Kto się tym przejmuje? To znaczy kto *naprawdę* się tym przejmuje?

Ciągle nie pojmowałam, do czego zmierza, nie mogłam jej wszakże pozwolić, by mówiła byle co.

– Przecież ludzie, których kocham, się przejmują, w każdym razie interesują się, ponieważ ja się tym przejmuję. Interesują w granicach rozsądku, tak jak człowiek interesuje się życiem kogoś, kogo kocha i komu dobrze życzy.

– Ach, tak… Skoro tak twierdzisz. Nie takie odniosłam wrażenie, to wszystko. Niewielu ludzi potrafi się odezwać, jeśli się do nich nie zadzwoni. Niewielu ludzi potrafi przekroczyć bariery, któreśmy poustawiali w pulchnej i błotnistej ziemi naszych okopów. Niewielu ludzi jest zdolnych poszukać nas tam, gdzie naprawdę się znajdujemy. Bo ty jesteś taka jak ja, Delphine, nie należysz do tych, którzy proszą o pomoc. W najlepszym razie zdarza ci się wspomnieć, już po fakcie, w dodatku wplatając to w rozmowę, że właśnie przeżyłaś trudny okres. Ale poprosić o pomoc teraz, kiedy się pogrążasz albo toniesz, jestem pewna, że nigdy tego nie zrobiłaś.

– Owszem, zdarza mi się. Dzisiaj mi się zdarza. W konkretnych sprawach, o których wiem, że ta czy inna osoba jest w stanie mi pomóc. To jedna z tych rzeczy, których w końcu się nauczyłam.

– Tylko że prawdziwi przyjaciele to ci, których nie trzeba prosić, nie sądzisz?

– Nie wiem, co to znaczy „prawdziwi przyjaciele”, albo się jest przyjacielem, albo nie. A kiedy się jest przyjacielem, są chwile, kiedy można przełamać bariery, owszem, i takie chwile, kiedy to bywa trudniejsze.

– Ale czy twoje przyjaciółki umiały kiedykolwiek przełamać bariery, narzucić się we właściwej chwili, bez pozwolenia?

– Tak, oczywiście. Zdarzyło się to wiele razy.

– Na przykład?

– Ależ mam mnóstwo przykładów…

– Opowiedz mi chociaż o jednym.

– No więc na przykład kiedy ojciec moich dzieci i ja dawno temu się rozstaliśmy, przeżyłam dziwny okres. To następowało stopniowo, niezauważenie, po mojej wyprowadzce. Powoli przestałam dzwonić do przyjaciół, pytać, co słychać, pozwalałam upływać dniom i tygodniom,

zamknęłam się we własnym żalu, zahibernowałam się, schowałam, żeby zrzucić skórę, sama nie wiem, był to rodzaj oderwania, jakiego nigdy jeszcze nie odczułam, tak jakby nie liczyło się nic poza dziećmi. Nie miałam już siły. To trwało kilka miesięcy. Większość przyjaciółek nadal się odzywała, dzwoniła, zaznaczała swoją obecność, nawet z daleka. W marcu pewnego piątkowego wieczoru, około dwudziestej, kiedy Louise i Paul właśnie wyjechali na weekend do ojca, ktoś zadzwonił do drzwi. Otworzyłam. W progu stały Chloé i Julie z urodzinowym tortem, na którym paliły się świeczki. Zaczęły śpiewać na schodach, widziałam ich uśmiechy w blasku płomieni, uśmiechy, które mówiły: przyszłyśmy pomimo wszystko, nieważne, w jakim cię zobaczymy stanie. Nie rozpłakałam się, chociaż bardzo się rozczuliłam. Widzisz, najbardziej poruszył mnie i nadal jeszcze porusza, kiedy to opowiadam, ten tort. Bo przecież mogły kupić placek u Picarda czy w jakiejkolwiek cukierni w okolicy. Ale nie. Setki kilometrów stąd upiekły ciasto z kremem migdałowym, pięknie je polukrowały, przewiozły w kartonie z zachowaniem wszelkich niezbędnych środków ostrożności, zadbały o świeczki i zapalniczkę (żadna z nich nie pali), tak to zorganizowały, żeby spotkać się w tym samym wagonie TGV (jedna jechała z Nantes, druga z Angers), następnie wsiadły do metra, weszły po schodach, niosąc mały weekendowy bagaż. Już na klatce schodowej powtykały i pozapalały świeczki i zadzwoniły do drzwi. Owszem, poruszyło mnie to, że zapukały do drzwi w moje urodziny, z tortem domowej roboty, była to zapowiedź życia, w którym zawsze znajdzie się miejsce dla wyrozumiałości i łagodności, była to zapowiedź wielkich radości. Kilka lat później, kiedy zmarła moja matka, Tad i Sandra, przyjaciółki z dzieciństwa, o których ci mówiłam, a które mieszkały daleko od siebie, wsiadły do pociągu jadącego do Paryża. Wzięły urlop, żeby oddać hołd mojej matce, żeby mi pomóc, żeby być ze mną.

L. wysłuchała mnie uważnie, bez słowa. Uśmiechnęła się.

– To piękne historie. Tylko że pochodzą sprzed.

– Sprzed czego?

– Sprzed tego wszystkiego.

Rozejrzała się wokół wzrokiem, który nie wskazywał niczego w szczególności, ja nie poprosiłam o wyjaśnienie, ona udała, że nie słyszy.

– Ciekawe, kto teraz jest w stanie zadzwonić do twoich drzwi w piątkowy wieczór, chociaż o nic nie prosiłaś. Jak myślisz, która z twoich

przyjaciółek zjawi się niespodziewanie?

– Teraz to co innego. Jest François.

– Gdzie?

Udałam, że nie dostrzegam ironii.

– W moim życiu. Moje przyjaciółki o tym wiedzą, wiedzą, że mogę na niego liczyć.

– W porządku. Wobec tego, owszem, wyobrażam sobie, że to co innego. Tak między nami, nie jestem pewna, czy ktokolwiek może cię ochronić przed tobą samą. Ale dobrze. W gruncie rzeczy to być może tłumaczy, dlaczego właściwie nikt tak bardzo nie martwi się twoim milczeniem.

Wcale nie miałam ochoty ciągnąć tej rozmowy, według mnie świadczącej o braku lojalności i okrutnej. Czy mogłam sobie pozwolić przypomnieć L., że jej przyjaciele nie tylko nie zadzwonili do niej z życzeniami w urodziny, ale w dodatku nie przyszli, choć ich zapraszała? Czy mogłam sobie pozwolić oznajmić L., że sprawia wrażenie osoby bardzo samotnej, osoby, która stworzyła wokół siebie ogromną pustkę?

Przyszło mi na myśl, że gorycz L. bierze się z samotności, i to napełniało mnie smutkiem. Nie mogłam mieć do niej żalu. L. straciła męża. W jej życiu wydarzyło się coś poważnego, co odcięło ją od większości przyjaciół. L. rzucała pod moim adresem czymś, z czym nie miałam nic wspólnego. Na swój sposób chciała mi jednak pomóc.

Minęło już prawie południe, L. zaś powiedziała, że jest umówiona na obiad.

Pożegnała się, poradziwszy, żebym wyszła trochę do ludzi, miałam minę zbitego psa.

Dopiero kilka dni później doszłam w końcu do następującego wniosku: L. miała rację. Poza François i dziećmi już od dłuższego czasu nikt do mnie nie napisał ani nie zadzwonił.

Oto zapewne sposób, w jaki L. weszła do mojego życia, z moim przyzwoleniem, niejako stopniowo mnie oczarowując.

Często zastanawiałam się, jaka szczelina sprawiła, że stałam się taka bezbronna. Taka przemakalna.

Dostawałam coraz bardziej napastliwe anonimy.

Dzieci opuściły dom i zaczęły budować gdzie indziej własne życie.

Ukochany mężczyzna był zajęty pracą, podróżami i tysiącem projektów, do których przyjęcia go zachęcałam. Wybraliśmy ten model życia, który zostawiał miejsce dla innych obsesji, innych pasji. Za sprawą naiwności albo nadmiaru zaufania uwierzyliśmy, że jesteśmy wolni od wszelkiej próby podboju.

W dorosłości przyjaźń buduje się na pewnego rodzaju wdzięczności, na porozumieniu: wspólnym terytorium. Wydaje mi się jednak, że szukamy w drugim człowieku czegoś, co istnieje w nas wyłącznie w mniej dojrzałej, embrionalnej lub zaprzeczonej postaci. Mamy zatem skłonność do wiązania się z tym, kto potrafi wykształcić sposób bycia, do którego sami bezskutecznie dążymy.

Wiem, co podziwiam u wszystkich moich przyjaciółek. U każdej z nich mogłabym wymienić cechy, którymi ona może się pochwalić, a których ja nie posiadam albo posiadam je w zbyt słabym stopniu.

Zapewne L. ucieleśniała w moich oczach jakiś rodzaj pewności siebie, refleksji, przekonania, których czułam się pozbawiona.

L. wpadała niemal każdego popołudnia.

L. odgadywała lepiej niż ktokolwiek inny mój nastrój, troski, zdawała się wiedzieć wcześniej o dotyczących mnie wydarzeniach. Miała na mnie wpływ, jakiego nigdy nie wywarła żadna przyjaciółka.

L. pamiętała wszystko. Już od pierwszego razu zarejestrowała każdą anegdotę, każdy szczegół, daty, miejsca, nazwiska wymieniane w rozmowie. Czasem zadawałam sobie pytanie, czy nie robi notatek po każdym spotkaniu. Dzisiaj wiem, że była to jej druga natura, rodzaj wybiórczej hipermnezji.

W rzeczywistości L. chyba jako jedyna pojęła ogrom tego, z czym się zmagałam, czego stawka mogła się wydawać śmieszna – w końcu to, czy napiszę książkę albo jej nie napiszę, nie zmieniłoby biegu świata – lecz L. zrozumiała, że dla mnie to kwestia zachowania równowagi.

L. stała mi się potrzebna, niezbędna. Była tu. I być może potrzebowałam właśnie tego: żeby ktoś interesował się mną na wyłączność. Czyż wszyscy nie skrywamy w głębi tego szalonego pragnienia? Pragnienia z czasów dzieciństwa, z którego byliśmy zmuszeni, niekiedy zbyt szybko, zrezygnować. Pragnienia, o którym jako dorośli wiemy, że jest egocentryczne, przesadne i niebezpieczne. A któremu zdarza nam się wszakże ulegać.

Zapewne L. wypełniała rodzaj pustki, z której nie zdawałam sobie sprawy, łagodziła lęk, którego nie umiałam nazwać.

L. wydobywała na wierzch coś, co jak sądziłam, ukryłam, usunęłam.

L. zdawała się zaspokajać nienasycone pragnienie pocieszenia, które drzemie w każdym z nas.

Nie potrzebowałam nowej przyjaciółki. Lecz po każdej kolejnej rozmowie i dzięki nieustannej uwadze, jaką mnie otaczała, w końcu uwierzyłam, że tylko L. potrafi mnie zrozumieć.

Któregoś poranka L. zadzwoniła o bardzo wczesnej porze. Mówiła mniej pewnym głosem niż zwykle, sprawiała wrażenie lekko zdyszanej. Ponieważ mnie to zaniepokoiło, przyznała, że ma trochę kłopotów, nic poważnego, ale chce prosić o przysługę: czy mogłaby się do mnie wprowadzić na dwa, trzy tygodnie, dopóki nie znajdzie nowego mieszkania?

L. zjawiła się u mnie w następny poniedziałek. Towarzyszył jej jakiś chłopak, mniej więcej dwudziestolatek. Jego wzrost, wyjątkowo długie rzęsy, młodzieńcza niedbałość w ruchach przykuwały wzrok. Był śliczny.

Spotkali się u niej w domu nieco wcześniej i pomógł jej przewieźć cztery pokaźne walizki, które postanowiła zabrać. Ledwie dotarł pod drzwi, zszedł z powrotem po kolejne, które zostawił na dole. Postawił je pod progiem i wrócił do samochodu L. po kilka toreb. Mieszkam na szóstym piętrze bez windy, ale chłopak najwyraźniej się nie zasapał.

Na widok ilości bagażu pomyślałam, że L. ma szerokie plany. Z trudem wyobrażałam sobie jej przeprowadzkę bez sporej części garderoby, zapewne wzięła też ze sobą pewną ilość papierów, żeby pracować.

Kiedy chłopak wspiął się na górę po raz trzeci, zaproponowałam mu kawę. Odwrócił się do L., szukając przyzwolenia, ona jednak udawała, że nie dostrzega pytania w jego spojrzeniu. Po paru sekundach chłopak odmówił.

Gdy drzwi się za nim zamknęły, zapytałam L., kim on jest. Roześmiała się. Jakie to może mieć znaczenie? Żadnego, odparłam, zwykła ciekawość. L. powiedziała, że to syn przyjaciółki. Nie wymówiła jego imienia, nie podziękowała mu i ledwie się z nim pożegnała.

Zaplanowałam, że umieszczę L. w pokoju Paula. Pamiętałam, że gdy przyszła po raz pierwszy, kolor ścian bardzo jej się spodobał. Dałam L. czas na rozpakowanie się. Opróżniłam wcześniej parę regałów i część szafy, aby mogła ułożyć swoje rzeczy. Pościeliłam łóżko i sprzątnęłam biurko, na którym czym prędzej umieściła laptop. Zostało jej bardzo mało czasu na dokończenie autobiografii aktorki w terminie określonym przez wydawcę, dlatego też nie była w stanie poszukać natychmiast nowego mieszkania. Nigdy nie poznałam powodu, dla którego musiała w takim pośpiechu opuścić swoje.

Wkrótce do mnie dotarło, że L. przywiozła ze sobą mniej więcej wszystko, co posiadała, z wyjątkiem czterech, pięciu kartonów, które wolno jej było znieść do piwnicy sąsiadki z dołu. L. nie miała żadnych mebli, jak mi wyjaśniła, po śmierci męża wszystko sprzedała (kilkakrotnie podkreśliła słowo „wszystko”, dając w ten sposób do zrozumienia, że żaden przedmiot nie uniknął tej decyzji). Od tamtej pory zawsze wolała wynajmować umeblowane mieszkania. Nie chciała obciążeń, a tym bardziej zapuszczania korzeni. W zamian za to L. posiadała ubrania. Mnóstwo, chętnie to przyznała.

Zachowałam niewiele wspomnień z pierwszych tygodni, które L. u mnie spędziła.

Zapewne wynikało to z tego, że była bardzo pochłonięta tekstem, nad którym pracowała, i rzadko wychodziła z pokoju. Słyszałam przez drzwi, jak odsłuchuje ciągle na nowo nagrania z wywiadów, ową surową, płynną, niekiedy pogmatwaną materię, z której tworzyła. Zatrzymywała się przy jakimś zdaniu, cofała się, zaczynała od nowa. Potrafiła słuchać dziesięć razy jednego fragmentu, tak jakby poza słowami starała się uchwycić coś, co nie sposób wypowiedzieć i co musiała odgadnąć. Napełniwszy imbryk wrzątkiem, zamykała się w pokoju na cztery, pięć godzin w niczym niezmąconej ciszy. Nie słyszałam, żeby jej fotel szurał po parkiecie, nigdy nie słyszałam, żeby chodziła dla rozprostowania nóg, nie słyszałam, żeby kasłała czy otwierała okno. Zdumiewała mnie jej zdolność koncentracji.

Miałam nadzieję, że wspólne mieszkanie z L. pomoże mi zabrać się z powrotem do pracy.

Często wydawało mi się, że łatwiej jest pracować ramię w ramię. We względnej samotności. Lubię myśleć, że niezbyt daleko ode mnie ktoś siedzi w podobnej pozycji i dokonuje takiego samego wysiłku. Właśnie dlatego, będąc studentką, spędzałam tyle czasu w bibliotece.

Pilność L. przy biurku nie przeszkadzała mi tkwić ciągle w tym samym miejscu.

Nie umiałabym dzisiaj powiedzieć, co mnie zajmowało, czas płynął bez trudu i bez prawdziwej nudy, lecz nic z tego nie wynikało.

Rankiem przygotowywałam sałatkę albo danie z makaronu dla L. i dla mnie.

Około trzynastej wołałam ją i jadłyśmy w pośpiechu przy małym kuchennym stole, siedząc naprzeciwko siebie.

Następnie wyruszałam na długi samotny spacer. Otulałam się ogromnym pomarańczowym szalem, który L. podarowała mi, wprowadzając się do mojego mieszkania, i spacerowałam. Marzyłam o książkach, których nie byłam już w stanie napisać. Wałęsałam się, dopóki nie zapadł zmierzch. Wracając z owych włóczęg, zawsze przemierzałam w końcu skwer, na który zabierałam Louise i Paula, kiedy byli mali. Gdy plac zabaw pustoszał, tkwiłam przed zjeżdżalniami albo huśtawkami w kształcie zwierząt, próbowałam odnaleźć ich dziecięce buzie, szukałam ich śmiechu, chrzęstu grubego piasku pod ich butami, oczyma duszy widziałam kolory ich czapek, chwiejną równowagę pierwszych kroków. Tutaj wydarzyło się coś, czego nie można zatrzymać.

Wieczorami słyszałam niekiedy, jak L. telefonuje. Dość długie rozmowy, z których docierało do mnie brzmienie, ale nie treść. Zdarzało mi się także słyszeć, jak się śmieje na całe gardło. Ponieważ nigdy nie słyszałam, żeby jej komórka dzwoniła lub wibrowała, pamiętam, że zastanawiałam się, czy L. nie rozmawia sama ze sobą.

Gdy tylko L. się do mnie wprowadziła, wszystkim się zajęła – pocztą, deklaracjami, składkami, jednym słowem: wszystkim, co wymagało włączenia komputera albo trzymania pióra. To, co mnie wydawało się nie do przeskoczenia, jej zajmowało parę minut.

Kiedy odpisywała za mnie na rozmaite listy, wieczorami składała mi krótkie sprawozdanie: odpowiedziały*śmy* nie na to, a na to, uzyskały*śmy* odroczenie terminu na coś innego, przełożyły*śmy* na przyszły rok napisanie krótkiej sztuki teatralnej dla „Le Paris des Femmes”.

L. tuszowała moją nieudolność. Nie byłam w stanie zredagować czegokolwiek ani utrzymać pióra dłużej niż przez trzy minuty, ale w gruncie rzeczy wcale nieźle sobie radziłam.

Dawały*śmy* radę.

Gdy L. wychodziła po zakupy albo na spotkanie, nie mogłam się powstrzymać, by nie zajrzeć do jej pokoju. W kilka sekund omiatałam wzrokiem wszystko – ubrania leżące na krześle, buty stojące w szeregu pod kaloryferem, porzuconą pracę. Tak naprawdę to interesowało mnie

najbardziej i stanowiło moją największą niedyskrecję: obserwowanie owych porozkładanych na biurku, poprawionych ołówkiem, pokrytych strzępkami gumki do ścierania kartek brudnopisu, które gładziłam dłonią, nie czytając. I kręgi w kolorze ochry, pozostawione na papierze przez filiżanki z herbatą.

Przyglądałam się owej przestrzeni, którą wzięła w posiadanie, wyraźnym oznakom pracy, nad którą właśnie ślęczała, notatkom, karteczkom samoprzylepnym, wydrukowanym i poprawionym stronom, i wszystko to, zamiast być znajome, zdawało się należeć do obcego, zakazanego świata.

Właśnie w tym okresie L. rozpoczęła coś, co nazwałam wkrótce *rytuałem bibliotecznym*. Kilka razy w tygodniu, wieczorami poświęcała kilkanaście minut na przeglądanie książek na półkach w moim salonie. Nie poprzestawała jedynie na przebieganiu wzrokiem po grzbietach, jak robi to większość ludzi. Oglądała uważnie każdy rząd, niekiedy wyciągała jakąś książkę, aby jej dotknąć. Czasami rozpromieniała się na znak aprobaty, czasami marszczyła brwi, wyraźnie niezadowolona. I zawsze nadchodził moment, gdy po raz kolejny pytała, czy przeczytałam to wszystko. Owszem, prawie wszystkie książki, które tu są, powtarzałam, z wyjątkiem paru sztuk. Wtedy L. przesuwała palcem po grzbietach, głośno wymieniała tytuły, jakby wypowiadała jedno zdanie, olbrzymie i wspaniałe zdanie, którego sens mi umykał. Czy przeczytałam deklarację, jeśli zimową nocą podróżny, lata świetlne, brzeg morza, ani jednego dnia, zamarzniętą kobietę, pokój ech, chłopięce marzenia, życie ptaków, klify, wczoraj, potem, teraz, jaki ci się podobam, młynek, wdzięk i ubóstwo, wynaleźć samotność, o czym mówimy, kiedy mówimy o miłości, można by naprawdę powiedzieć raj, módlcie się za nas, wspomnienia, wysokie fale, kochałem ją, co kochałem, krzyki, ciała, piątkową noc, latawce, źródło przemocy, rodzinę w niesławie, przechadzkę, strzępy, na fotografii, in memoriam, siostry, antrakt, żywoty maluczkich, straż nocną, mojego małego chłopca, jego kobiety, całe podobieństwo z ojcem, te, które wiedziały, Joséphine, noc seksualną, początek, brakującą część, martwą pięść, zanim spadł deszcz, przeciwnika, pomiędzy dźwiękami, suche oczy, zeznanie, poryw, przyszłość, czerwony zeszyt, zastępcę, zbyt wrażliwe, toksyczną, dzieciństwo, graj, jak się da, utracone wspomnienie skóry.

Delphine,
brak odpowiedzi z twojej strony dowodzi, jak bardzo się wstydzisz. Jest się czego wstydzić.

Budzisz strach. Wystarczy popatrzeć, jak jesteś ubrana, jak się zachowujesz, wystarczy popatrzeć na twoje ruchy i zobaczyć twoje ponure spojrzenie. A to nic nowego. Już od dziecka budzisz strach, człowiek wyraźnie czuje, że jest w tobie coś, co nie gra, widać to jak na dłoni, i nic nie zmieniło się na lepsze. Jesteś całkiem popaprana, biedna dziewczyno.

W kwestii marketingu nie można nic powiedzieć, jesteś najlepsza. Co do opakowania, wyrabiasz się. Na początek sprzedajesz własną matkę, a potem chodzisz z prezenterem redakcji literackiej, żeby się wypromować, w tym wypadku czapki z głów, należało to zrobić. Biedak musi mieć poważne problemy z seksem, skoro jest z taką kobietą jak ty. I co, myślisz, że on cię kocha? Myślisz, że taki mężczyzna jak on może pokochać taką kobietę jak ty? Przypuszczam, że jak cię rzuci, napiszesz o tym książkę. Porządną kurewską książkę, jak ty to potrafisz. Daj mu mój numer, opowiem mu parę rzeczy.

Uczyniłaś wokół siebie dużo zła, poważne spustoszenie.

Wiesz dlaczego?

Bo ludzie wierzą w to, co wydrukowane. Wierzą, że to prawda.

A to jest ohydne.

Włożyłam kartkę maszynopisu z powrotem do koperty, schowałam wraz z innymi. Rozmawiałam o tym przez telefon z François bez wdawania się w szczegóły, powiedziałam, że dostałam kolejny list, jeszcze bardziej brutalny niż poprzednie. Uspokoiłam go, to nic poważnego, kiedyś wreszcie się to skończy.

Na tę chwilę nie wydaje mi się, żebym wspomniała o tym L.

Pewnego poranka, ze dwa, trzy dni później, wstałam, ubrałam się, zaparzyłam kawę, a potem nagle bez żadnego powodu się rozpłakałam. L. znajdowała się naprzeciw mnie, zdążyłam dostrzec na jej twarzy wyraz paniki, następnie podniosłam się, aby schronić się w moim pokoju. Płakałam przez kilka minut, nie mogłam przestać.

Listy tkwiły w moim ciele niczym jad. Począwszy od pierwszego. W końcu uwolniły swoją truciznę, truciznę pomyślaną tak, aby rozchodziła się powoli, zdolna przekroczyć wszelkie bariery odporności.

Kiedy wróciłam, L. wręczyła mi paczkę chusteczek higienicznych. Zaparzyła herbatę. Położyła mi dłoń na ramieniu, wyraźnie poruszona.

Gdy się uspokoiłam, poprosiła o pokazanie listów. Przeczytała je po kolei, z grymasem niesmaku na ustach. Wpatrywała się w papier, tak jakby mógł jej dostarczyć odpowiedzi, szukała najdrobniejszego szczegółu, który zdradziłby autora. Adres, podobnie jak tekst, zostały napisane na maszynie, listy wsunięto do standardowych kopert i nadano pocztą w różnych dzielnicach Paryża. Nie dało się z tego nic więcej wyciągnąć.

L. znalazła słowa, by mnie ukoić, by umniejszyć dramatyzm sytuacji. Przywrócić właściwe proporcje. Nie powinnam wszystkiego mieszać, traktować dosłownie. L. przypomniała o serdecznych wiadomościach, które otrzymałam od wielu osób z rodziny po ukazaniu się książki. To nie oznaczało, że było to dla nich proste, oznaczało, że zrozumiały. Książka nie kwestionowała uczucia. W niektórych przypadkach może nawet je umocniła. Tak, oczywiście, było jasne, że autor listów to ktoś bliski. Ktoś, kto miał do mnie żal jeszcze na długo przed książką. Ktoś, kto przeżuwał swą nienawiść i złość i właśnie znalazł okazję, żeby dać im upust.

L. nie uważała tego za smutne. Przeciwnie. Moja książka coś sprowokowała, pozwoliła na wyrażenie tej agresji. Agresji, która istniała przedtem. Takie jest powołanie literatury, jej sprawcza rola i to jest szczęście. Że literatura wywołuje skutki w życiu, że rodzi gniew, pogardę, zazdrość, owszem, to dobra wiadomość. Coś się dzieje. Jesteśmy w sercu tematu. A listy powinny mnie sprowadzić z powrotem do tego, co najistotniejsze.

L. wierzyła, że agresja w relacjach domowych i rodzinnych stanowi źródło literackiej inspiracji. Wielokrotnie przedstawiła mi tę teorię. Owa agresja, nieważne, czy tłumiona, czy wyrażona, jest jednym z koniecznych warunków tworzenia. Punktem wyjścia.

Listy sprawiały mi ból. Widziała to i było jej z tego powodu przykro. Rozumiała to. Listy te zżerały mnie podstępnie, ponieważ mierzyły w dziecko, którym kiedyś byłam, ale także w kobietę, którą się stałam. Ponieważ wskazywały mnie jako winowajczynię. Przypominały mi źródło agresji.

L. ponownie przeczytała w milczeniu ostatni list, po czym jęła mówić dalej:

– Owszem, ludzie wierzą w to, co jest napisane, i tym lepiej. Ludzie wiedzą, że tylko literatura umożliwia dostęp do prawdy. Ludzie wiedzą, ile kosztuje pisanie o sobie, potrafią rozpoznać, co jest szczere, a co nie.

I wierz mi, nigdy się nie mylą. Owszem, *ludzie*, jak mawia twój przyjaciel, chcą tego, co prawdziwe. Chcą wiedzieć, że to istniało. Ludzie nie wierzą już w fikcję i powiem ci nawet, że jej nie ufają. Wierzą w przykład, w świadectwo. Rozejrzyj się dokoła. Pisarze przejmują fakty, mnożą introspekcje, opowieści dokumentalne, interesują się sportowcami, łotrami, piosenkarzami, królowymi i królami, wypytują o ich rodziny. Jak sądzisz, dlaczego? Bo to jedyny materiał, który jest coś wart. Dlaczego się cofać? Nie możesz się bić w złej sprawie. Uciekasz, twierdzisz, że powracasz do fikcji z jednego powodu: odmawiasz napisania powieści widma. Tak, prawda, znów do tego wracam, ale sama o tym mówiłaś, niczego nie zmyślam. Zresztą użyłaś dokładnie takiego sformułowania, czytałam wywiad, sama możesz zobaczyć, można go łatwo znaleźć w internecie. Faktycznie, ten, kto do ciebie pisze, boi się, że zaczniesz od nowa. Te listy powinny ci otworzyć oczy, wywołać elektrowstrząs, którego potrzebujesz, żeby odnaleźć siłę i odwagę do zmierzenia się z tym, co cię czeka. Pisanie to sztuka walki. Niesie ze sobą zagrożenia, sprawia, że człowiek staje się bezbronny. Inaczej nic nie jest warte. Możesz narazić się na niebezpieczeństwo, skoro ja tu jestem. Jestem tutaj, Delphine, nie opuszczę cię. Zostanę u twego boku, zaufaj mi, tak długo, jak będzie trzeba. I nigdy nikt cię nie dosięgnie.

Kiedy L. już raz wdała się w monolog, nie trafiały do niej żadne argumenty. Słuchałam jej bez słowa. Czekałam z odpowiedzią, aż skończy. Po raz kolejny nie mogłam nie poczuć ulgi, widząc, że bierze sobie te sprawy tak bardzo do serca. Przemówiłam do niej łagodnie, tak jak człowiek przemawia do wyczerpanego dziecka, bojąc się wybuchu złości:

– Tak, to prawda, masz rację. Przypominam sobie. Opowiadałam o tej ukrytej książce, o książce, którą być może napiszę. Nie wykluczyłam, że pewnego dnia do niej powrócę, w takiej czy w innej postaci. Ale nie teraz. Moja praca przywiodła mnie gdzie indziej. Nie chcę…

– Niby dokąd? – przerwała mi L. – Dokąd cię przywiodła? Z tego co ja widzę, chwilowo nie przywiodła cię donikąd.

Nie odpowiedziałam. Miała rację.

Ważne, że tu była. Tylko ona jedna naprawdę tu była.

Myślę, że właśnie jeszcze tego samego wieczoru albo nazajutrz L. ustrzegła mnie przed uduszeniem. Później często wspominałyśmy ten epizod jako *wieczór, kiedy L. ocaliła mi życie*. Podobała nam się górnolotna strona tego zdania, jego dramatyczne brzmienie, tak jakby to była fikcja niskich lotów, pseudoepicki epizod naszej przyjaźni. Tylko że w gruncie rzeczy, o czym każda z nas wiedziała, dokładnie to się wydarzyło: L. ocaliła mi życie.

Akurat znajdowałyśmy się w kuchni i szykowałyśmy kolację, kiedy połknęłam w całości solonego migdała, który stanął mi w poprzek w gardle. Zdarzało mi się zakrztusić, ale nigdy aż do tego stopnia. Migdał był wyjątkowo duży, czułam, jak schodzi do tchawicy, moje gardło wydało coś w rodzaju zdziwionego rzężenia, natychmiast zabrakło mi powietrza. Próbowałam kasłać, potem mówić, lecz nic nie krążyło, ani gram powietrza, tak jakby ktoś jednym ruchem zakręcił kurek. Popatrzyłam na L., ujrzałam w jej oczach dokładny moment, gdy pomyślawszy najpierw, że to głupi żart, pojęła, co się dzieje. Bezskutecznie poklepała mnie trzy, cztery razy w plecy, następnie przywarła do mnie, otoczyła ramionami i wbiła mi pięść w żołądek gwałtownym ruchem. Przy drugiej próbie migdał wyleciał, przywracając dopływ powietrza. Kasłałam przez dwie, trzy minuty, paliło mnie w tchawicy i znienacka wzięła mnie ochota na wymioty. Z oczu trysnęły mi łzy bólu i ulgi. Powoli odzyskałam oddech i podniosłam migdał, który spadł na podłogę.

L. wpatrywała się teraz we mnie z uwagą, szukając potwierdzenia, że wszystko wróciło do normy.

Po chwili wybuchnęłyśmy śmiechem, który coraz bardziej przybierał na sile. A potem L. po raz pierwszy chwyciła mnie w ramiona. Wówczas poczułam, że jej ciało drży i że wystraszyła się równie mocno jak ja.

Później L. wyznała, że chociaż posiada certyfikat ukończenia kursu pierwszej pomocy, nigdy nie miała okazji zastosować w praktyce rękoczynu Heimlicha, metody udrażniania dróg oddechowych, opracowanej w latach siedemdziesiątych przez pewnego amerykańskiego lekarza, jak wyjaśniła, na ogół uczonej na fantomach. Doświadczenie to bardzo jej się spodobało.

W ciągu kolejnych dni często śniły mi się koszmary. Pewnej nocy obudził mnie własny krzyk, podobny do tych, które rozdzierały mrok, gdy jako nastolatka śniłam, że ktoś dusi mnie poduszką albo strzela mi w nogi z karabinu.

Odkąd dostałam list, moje noce pełne były dartego papieru, palonych książek, wyrywanych kartek. Nagle rozlegały się w pokoju nabrzmiałe gniewem, oburzeniem słowa, wściekły hałas, który wyrywał mnie brutalnie ze snu. Pamiętam również szaleńczy, niebywale okrutny śmiech, który obudził mnie pewnej nocy i choć miałam szeroko otwarte oczy, umilkł dopiero po kilku minutach.

Siadałam spocona na łóżku, w przekonaniu, że wszystko to jest realne. Musiałam zapalić światło i odnaleźć znajome przedmioty w pokoju, żeby serce znów biło normalnie. Wstawałam więc bezszelestnie, stąpałam boso po parkiecie, potem po kafelkach, aby ochlapać wodą twarz albo zaparzyć herbaty ziołowej. Siedziałam w kuchni przez godzinę, dwie, dopóki obrazy się nie rozmyły, zanim mogłam położyć się z powrotem.

Chyba właśnie w tym okresie przeczytałam na nowo wszystkie książeczki z obrazkami, zachowane przez Louise i Paula. Wiele razy mówiło się, by znieść je do piwnicy, ale żadne z nas nigdy nie mogło się na to zdobyć, toteż dzisiaj, gdy mają po dwadzieścia lat, książeczki nadal są w ich pokojach. Ostrożnie przewracałam kartki w środku nocy, szczęśliwa, że odnajduję rysunki, które odcisnęły ślad na ich dzieciństwie, i teksty, które czytałam im głośno ze sto razy. Zdumiewała mnie siła przywoływania wspomnień, jaką miały te książeczki. Każda z nich wydobywała na wierzch ową cenną chwilę przed pójściem spać, dotyk ciałek moich dzieci przywierających do mojego ciała, gładkość ich welurowych piżam, przypominałam sobie intonację, z jaką wypowiadałam każde zdanie, słowa, które tak bardzo im się podobały i które trzeba było niekiedy powtarzać

dziesięć, dwadzieścia razy, wszystko to wypływało nietknięte na powierzchnię.

Niemal co noc między czwartą a piątą rano czytałam na nowo opowieści o niedźwiedziach, o królikach, o smokach, o niebieskim psie i o grającej krowie.

Pamiętam, że pewnej nocy L. się obudziła i zastała mnie w kuchni, zatopioną w lekturze książeczki Philippe'a Corentina, uwielbianej przez Louise: opowieści o rodzinie myszy, która mieszka w bibliotece i żywi się książkami. Louise śmieszyło, że można jeść książki, a zwłaszcza zamówienie, jakie matka bohatera składa, kiedy ten szykuje się na wyprawę ze swoim kuzynem: „Przynieście mi dwie kartki z *Pinokia*. Ojciec uwielbia z nich sałatkę!". Ze wspomnień wyłonił się dziecięcy śmiech Louise. Znałam te zdania na pamięć, być może nawet właśnie je szeptałam z uśmiechem na ustach, gdy L. przysunęła się bliżej. Nalała wody do czajnika, poszperała w szafce w poszukiwaniu torebki ziółek, po czym usiadła. Przekartkowała książeczkę, ledwie dotykając jej koniuszkami palców i trzymając w sporej odległości od siebie (wprawdzie stylizowane i pokolorowane, ale nadal były to myszy), a następnie zapytała:

– Jaka to jest alegoria według ciebie?

Nie pojmowałam, do czego zmierza.

– Myszy, które żywią się książkami – ciągnęła – tak jakby jadły ordynarny papier, czyż to nie jest sposób, aby dać do zrozumienia, że fikcja umarła, albo przynajmniej jaki należy z niej zrobić użytek?

– Przecież to nie ma nic do rzeczy – odparłam. – To wcale nie jest tematem książki! Jeśli kryje się w niej jakieś przesłanie, nie ma ono z tym nic wspólnego.

– Ach tak, a według ciebie jakie jest to przesłanie?

L. przerwała chwilę nostalgii, ja zaś z trudem skrywałam niezadowolenie. Poza tym nie miałam najmniejszej ochoty rozprawiać o trzeciej w nocy nad ukrytym sensem historii o Strasznym Pipiolim, bohaterze książeczki z obrazkami przeznaczonej dla odbiorców w wieku od trzech do sześciu lat.

Zamierzałam się podnieść, lecz L. mnie powstrzymała.

– Nie chcesz zobaczyć kontekstu – rzekła. – Podobnie jest ze wszystkim, Delphine, nie chcesz patrzeć na sprawy w całości, zadowalasz się szczegółem i na nim się skupiasz.

Poczułam się napadnięta. Zareagowałam w najbardziej małostkowy sposób z możliwych, paląc się ze wstydu już w chwili, gdy zadawałam jej to pytanie:

– À propos kontekstu, powiedz no, jak ci idzie poszukiwanie mieszkania?

Nie dość, że było to niegodne łączącej nas relacji, ale w dodatku wcale nie miałam ochoty, żeby się wyprowadziła.

– Skoro moja obecność ci przeszkadza, wystarczy jedno słowo, a natychmiast sobie pójdę.

Wstała, włożyła filiżankę do zmywarki, cukier do szafki, jej gesty były gwałtowne i zdradzały gniew.

Nie ruszyłam się z miejsca, osłupiała, że mogłam powiedzieć coś równie głupiego. Ona zaś stała teraz przy moim krześle i pochyliwszy się nade mną, rzekła:

– Spójrz na mnie, Delphine. Więcej tego nie powtórzę. Jedno twoje słowo i znikam. Jeszcze zanim się rozwidni. Tylko jedno słowo i nigdy więcej o mnie nie usłyszysz.

O mało nie parsknęłam śmiechem. Nie zapytałam, czy brała lekcje w Actors Studio, u Ala Pacino albo Marlona Brando. W jej słowach kryła się groźba, której nie mogłam zignorować. Spróbowałam rozładować sytuację.

– Przepraszam, nie chciałam tego powiedzieć, to śmieszne. Dobrze wiesz, że możesz zostać, jak długo zechcesz.

L. usiadła obok mnie. Westchnęła głęboko.

– Zacznę szukać, jak tylko oddam tekst. Nie martw się.

Nigdy więcej nie wracałyśmy do tej rozmowy.

Kilka dni później, kiedy L. ukończyła książkę aktorki, otworzyłyśmy butelkę różowego szampana. L. oddała tekst na czas, wydawca pochwalił ją za pracę, aktorka zaś była wniebowzięta.

Tamtego wieczoru L. przyznała się do pewnej pisarskiej kokieterii, której nigdy nie umiała sobie darować. Otóż pod ostatnią linijką każdego tekstu, który pisała dla kogoś innego, umieszczała słowo KONIEC opatrzone gwiazdką (rodzajem asterysku, który do niczego nie odsyłał). Miała zagwarantowane w umowie, że ów podpis będzie figurował na końcu

książki. To był jej osobisty styl, znak firmowy, coś w rodzaju piętna zrozumiałego tylko dla niej.

Zakpiłam z niej delikatnie, uznałam, że to przestarzałe, rzadko się zdarza, żeby na ostatniej stronie książki widniało dzisiaj słowo KONIEC.

– Wyraźnie widać, że to skończone – zażartowałam – skoro nie ma więcej kartek!

– Nie, nie wydaje mi się. Moim zdaniem czytelnik lubi, jak mu o tym powiedzieć. Właśnie słowo KONIEC pozwala mu wyjść z tego szczególnego stanu, w którym się znajduje, przywraca go do życia.

Przez sporą część nocy słuchałyśmy starych płyt. Pokazałam L., jak się tańczy ska, ponieważ twierdziła, że zapomniała.

Siedząca na kanapie L. śmiała się, widząc, jak podskakuję po salonie, po czym wstała i jęła mnie naśladować. Wrzeszczała, żeby przekrzyczeć muzykę:

– Kto pamięta, że istniało ska? Kto pamięta Specials czy The Selecter? A co, jeżeli tylko my dwie pamiętamy?

Pamiętało wielu ludzi. Osoby w naszym wieku, parę lat młodsze lub starsze. Czyż nie to właśnie przede wszystkim łączy pokolenie: wspólna pamięć złożona z przebojów, dżingli, czołówek filmów? Piętno kinowego afisza, muzyki, książki. Ależ tak, jeśli chce, przez jeden wieczór możemy poudawać, że tylko i wyłącznie my umiemy tańczyć ska, tylko i wyłącznie my znamy słowa *Missing words* i *Too much pressure*, które śpiewałyśmy właśnie na całe gardło, uniósłszy ramiona, spoglądałam na nasze odbicie w szybie i od dawna tak się nie śmiałam.

Pewnego dnia, gdy L. nie było w domu, zadzwoniła jakaś dziennikarka z France Culture, która chciała przeprowadzić ze mną wywiad na temat jednej z moich starych powieści. Przygotowywała właśnie materiał o cierpieniu w pracy i pragnęła się dowiedzieć, skąd czerpałam dokumentację, gdy pisałam ten tekst.

Nie mam pojęcia, dlaczego się zgodziłam. Może, aby sobie udowodnić, że potrafię coś zrobić sama. Bez L. Tym razem nie potrzebowałam jej, by udzielać odpowiedzi, tym razem to się jej wymknęło. Zauważyłam, że z biegiem czasu czy też raczej w miarę jak czas mnie od nich oddalał, zmieniał się mój sposób wypowiadania się o własnych książkach. Tak jakbym nie była w stanie dostrzec czegoś w fabule – charakteru albo motywu – inaczej niż z daleka. Ciekawiło mnie, jaki wzór mógł się ukazać w osnowie tej książki, i byłam szczęśliwa, że kogoś to jeszcze interesuje. A poza tym chwilowo nie potrafiłam wprawdzie pisać, za to ciągle potrafiłam mówić.

Dziennikarka zadzwoniła do drzwi po dwóch dniach. Miała w zwyczaju jeździć po domach, żeby nagrywać ludzi w ich własnym otoczeniu, we względnie lekkiej atmosferze, jak wyjaśniła przez telefon, wychodzić na spotkanie rozmówców, ich świata. Potem zaś dokonywała montażu nakręconego materiału.

Kiedy przybyła, dopiero co skończyłyśmy obiad, L. miała kiepski humor, nie podobało jej się, że ciągle mówię o niektórych moich książkach, chociaż nie zasługują, żeby do nich wracać.

L. zniknęła w swoim pokoju, jeszcze zanim zdążyłam powitać dziennikarkę. Kobieta postanowiła rozstawić się w salonie, poprosiła o uchylenie okna, żeby mieć odgłosy w tle, następnie objaśniła, jak będzie przebiegać rozmowa. Napiłyśmy się kawy, włączyła sprzęt.

Opowiedziałam, jak wpadłam na pomysł napisania książki, któregoś poranka, gdy wykończona jechałam linią D szybkiej kolei podmiejskiej, i w jaki sposób nad nią pracowałam. Potem przez blisko godzinę rozmawiałyśmy o wszystkim i o niczym, dziennikarka była serdeczna, zdaje się, że wspomniałyśmy coś o mojej dzielnicy, gdzie mieszkała parę lat wcześniej, o jednym czy dwóch filmach na temat przemocy w pracy, które się ukazały, po czym rozmowa zeszła na bardziej banalne tematy. W pewnej chwili, kiedyśmy się właśnie obie roześmiały, wydało mi się, że słyszę, jak otwierają się drzwi do pokoju L., pomyślałam, że chce sprawdzić, jak nam idzie.

Nieco później odprowadziłam kobietę do drzwi. Wyciągnęła organizer, aby podać mi dokładną datę emisji wywiadu. Uścisnęłyśmy sobie dłonie, zamknęłam za nią drzwi i poczułam tuż za plecami obecność L. Gdy się odwróciłam, L. zastępowała mi drogę. Przez chwilę przeleciała mi przez głowę myśl, że popełniłam nieodwracalny błąd i że od tej pory nie mam już wstępu do własnego mieszkania. L. jednak odsunęła się, by mnie przepuścić, i podążyła za mną do salonu niczym pełen potępienia cień.

– Znalazłaś sobie nową przyjaciółkę?

Roześmiałam się.

– Myślisz, że was nie słyszałam?

Szukałam na jej twarzy uśmiechu, który by potwierdził, że to żart, lecz wyraz jej twarzy nie pozostawiał wątpliwości co do wydźwięku wypowiedzianych słów. Nie zdążyłam zareagować.

– Jeśli sądzisz, że tak się z tego wykręcisz, to się mylisz. Owszem, słyszałam was, Delphine, i cały ten cyrk, żeby się dowiedzieć, jak sprawy stoją, „a więc powraca pani do fikcji?” – jednym gestem wzięła to zdanie w cudzysłów – ale co ją to obchodzi, czy my pytamy, jakiego rodzaju dziennikarstwo uprawia, używając tego swojego magnetofonu Nagra za dwa tysiaki, i kim ona jest, żeby mieć zdanie w tej kwestii, co, czyśmy ją o to zapytały?

Każdy najdrobniejszy mięsień na jej twarzy zdawał się drgać z wściekłości. L. była zła, że poświęciłam tej kobiecie aż tyle czasu, że się razem z nią śmiałam, że pozwoliłam, aby ta chwila przeciągnęła się w łagodne popołudnie. Oskarżała mnie o kompromisowość, o uprzejmość. Gdyby to mężczyzna tak do mnie mówił, z miejsca uznałabym, że to wybuch

zazdrości, i położyła temu kres, nie wdając się w żadną dyskusję. Jakby czytając w moich myślach, złagodniała nieco.

– Przepraszam cię. Irytuje mnie, że tracisz czas. To nie jest wymierzone przeciwko tobie. Wiesz, jak bardzo bym chciała, żebyś odnalazła drogę do pisania. Aby to się stało, pewnego dnia będziesz musiała przyznać, że nie masz nic wspólnego z pisarką, którą chcą z ciebie zrobić. Im wszystkim jest na rękę, że przyklejają ci etykietkę i że ty się tego trzymasz. Ale ja cię znam. Tylko ja dokładnie wiem, kim jesteś i co możesz napisać.

Sama nie wiem dlaczego, może dlatego, że spędziłam miłe chwile, a ona właśnie to zepsuła, ale wybuchnęłam:

– Czy ty nie widzisz, że nie mam zielonego pojęcia, jaką jestem pisarką? Czy ty nie widzisz, że już nic mi się nie udaje, że mam strasznego cykora? Czy ty nie widzisz, że doszłam do ściany i że dalej już nic nie ma? NIC, NIC, NIC? Wkurzasz mnie tymi swoimi opowieściami o książce widmie, ona nie istnieje, nie istnieje nawet cień ukrytej książki, nie rozumiesz? Na dnie kapelusza ani za zasłoną nie ma nic, ani tabu, ani skarbu, ani zakazanego owocu! Owszem, jest pustka. Przyjrzyj mi się dobrze, przy odrobinie szczęścia będziesz mogła patrzeć przeze mnie, jakbym była przezroczysta.

Chwyciłam płaszcz i wyszłam. Musiałam zaczerpnąć powietrza.

François nie było już od zbyt długiego czasu. Tęskniłam za nim. Błąkałam się bez celu po ulicach. Zdaje się, że później wstąpiłam do kina, wcale nie jestem tego pewna. Albo też wylądowałam na koniec w jakiejś kawiarni.

Wieczorem, około dziewiętnastej wróciłam do domu. W mieszkaniu unosił się zapach gotowanych warzyw i rosołu z kurczaka. Zastałam L. w kuchni, z fartuszkiem przewiązanym w talii. Właśnie robiła zupę. Usiadłam obok niej. Przyglądałam jej się bez słowa przez kilka minut. Włosy przytrzymywała jej spinka, parę kosmyków najwyraźniej się wymknęło i wystawało z koka, niecodzienny nieład w uczesaniu L. Nagle wydała mi się drobna, pomniejszona, a potem, patrząc na jej bose stopy na posadzce, pomyślałam, że po raz pierwszy widzę ją bez obcasów. Uśmiechnęła się, nie odezwałyśmy się ani słowem. Odwzajemniłam uśmiech. Piekarnik był włączony, przez szybę dostrzegłam zapiekankę. Wyglądało na to, że L.

spędziła w kuchni sporo czasu. Kupiła i otworzyła butelkę wina. Wszystko zdawało się znów w porządku. Poczułam się dobrze. Popołudniowy epizod stał się jedynie dziwnym, zamazanym wspomnieniem, już wcale nie byłam pewna, czy ta rozmowa w ogóle się odbyła. W cieple pokoju mieszały się ze sobą zapachy. Usiadłam. L. nalała mi kieliszek wina.

Gdy warzywa się ugotowały, L. przełożyła je do pojemnika od blendera. Dodała odrobinę rosołu, po czym spróbowała uruchomić urządzenie. Raz, drugi. Bez powodzenia. Patrzyłam, jak włącza blender do kontaktu i go wyłącza. Sprawdziła, wzdychając, czy blender jest dobrze osadzony. Wpatrywała się w ostrze na końcówce, dotknęła opuszkami palców, czy się obraca. A potem zaczęła wszystko od początku: złożyła urządzenie część po części, włączyła do kontaktu, spróbowała uruchomić.

L. sprawiała wrażenie bardzo spokojnej. Jej spokój budził lęk.

Już miałam zaproponować, że jej pomogę, kiedy L. uniosła blender nad głowę, a potem trzasnęła nim o blat kuchenny. Powtarzała ów gest z furią, której nigdy wcześniej u niej nie widziałam, raz po raz, z całych sił waląc urządzeniem, aż blender rozleciał się na kawałki. Siekające ostrze upadło u moich stóp.

L. natychmiast przestała. Oparła się o stół zdyszana, wpatrując się w szczątki urządzenia, które rozsypały się po podłodze. Sądziłam, że furia minęła, lecz ona w ostatnim przypływie złości złapała wałek do ciasta i dwoma uderzeniami zmiażdżyła to, co zostało z blendera.

A potem podniosła ku mnie wzrok. Nigdy jeszcze nie widziałam tego triumfalnego i dzikiego błysku, który tamtego wieczoru tańczył w jej oczach.

Od tamtego dnia nigdy nie było już mowy o szukaniu przez nią mieszkania. Nie zadawałam żadnych pytań, nie wykazywałam żadnych oznak zniecierpliwienia. Nie sądzę, aby w tym okresie L. udawała, że szuka nowego lokum. Nie poruszałyśmy więcej tego tematu, tak jakbyśmy ustaliły, że wprowadziła się na długo.

Z wyjątkiem epizodu z blenderem (odkupiła go zaraz nazajutrz) L. była spokojna i w niezmiennym humorze.

L. okazywała uprzedzającą grzeczność, delikatność, nie pozostawiała po sobie bałaganu. Regularnie robiła zakupy, uzupełniała to, czego brakowało. Wspólne mieszkanie było czymś oczywistym i nigdy nie miałyśmy najmniejszych zatargów w kwestiach domowych.

L. wtopiła się w tło, jakby zawsze tu była. Jej obecność przynosiła mi jakiś rodzaj pokrzepienia, nie mogę zaprzeczyć. Byłyśmy sobie bliskie. Byłyśmy wspólniczkami. W pełnym tego słowa znaczeniu. Poza wzajemnym porozumieniem uczyniłam z L. powierniczkę tajemnicy, którą znała wyłącznie ona. Tylko ona bowiem wiedziała, że nie jestem już w stanie napisać choćby jednej linijki tekstu ani nawet utrzymać pióra. Nie dość, że o tym wiedziała, to jeszcze mnie *kryła*. I podszywała się pode mnie, aby nie wzbudzać podejrzeń. Odpowiadała za mnie na listy w sprawach urzędowych i zawodowych, które nadal dostawałam.

Odrzucały*śmy* spotkania, propozycje pisarskie.

Odrzucały*śmy* wypowiedzi na tematy, które często podsuwa się pisarzom.

Miały*śmy* nawał pracy.

Dzisiaj naprawdę muszę to wyznać. Mam świadomość, że osoby, którym jakoby odpowiadałam na piśmie w tym okresie, zrozumieją, czytając te

słowa, iż to nie byłam ja. Być może osoby te odnajdą w skrzynce odbiorczej lub wśród poczty podpisany przeze mnie list albo e-mail, którego nie byłam autorką.

Proszę je, by zechciały mi wybaczyć.

Co oczywiste, wspólne mieszkanie pozwoliło L. wywrzeć większą presję, i wcale nie mam pewności, czy stawiłam jej silny opór. Chciałabym móc napisać, że się biłam, że walczyłam, że próbowałam uciec. Nie mam jednak nic więcej do powiedzenia niż to proste stwierdzenie: zdałam się na L., ponieważ sprawiała wrażenie jedynej osoby zdolnej mnie wyciągnąć z tej czarnej dziury.

Czasem pojawia mi się przed oczami nieco wstydliwy obraz pająka, który cierpliwie utkał swoją sieć, albo ośmiornicy o wielu mackach, której stałam się więźniem. Lecz to było coś innego. L. przypominała raczej lekką i przezroczystą meduzę, która przylgnęła do jakiejś części mojej duszy. Pozostała blizna po oparzeniu, ale niewidoczna gołym okiem. Pozornie piętno zapewniało mi pełną swobodę ruchów. Wiązało mnie z nią wszakże mocniej, niż potrafiłam sobie wyobrazić.

Nielicznym osobom, z którymi pozostawałam w kontakcie (dzieciom, François, mojej wydawczyni), dałam do zrozumienia, że wróciłam do pracy. Że znów mam *coś* na warsztacie. Jestem dopiero na samym początku, ale posuwam się do przodu.

Nie zadzwoniłam do żadnego z przyjaciół, aby opowiedzieć o impasie, w jakim się znalazłam. Bałam się, że, nie bez słuszności, uznają to za kaprys rozpuszczonego dziecka. Nie miałam żadnej wymówki, toteż usprawiedliwianie własnego nieróbstwa wydawało mi się niemożliwe.

François także nic nie powiedziałam. Bałam się, że przestanie mnie kochać. Nie tylko nic mu nie powiedziałam, ale kiedy wrócił, zorganizowałam się tak, aby nigdy nie natknął się na L. Wiedziałam bowiem, że ledwie ją zobaczy, wszystko zrozumie: kłamstwo, wykręty, całą tę spółkę złoczyńców, którą teraz tworzyłyśmy.

Oto co muszę dziś wyznać: byłam w stanie okłamywać François i otaczających mnie ludzi. Zabrnęłam w kłamstwo z mieszaniną strachu, wstrętu i zapewne jakiejś rozkoszy.

Czasami rankiem, czując, jak lęk ściska mnie za gardło niczym żelazne szpony, czepiałam się pewnego zdania, które wypowiedziała kiedyś L.: „Prawdziwe twórcze porywy poprzedza jakaś postać nocy”.

Wieczorami, gdy obie siedziałyśmy w domu, L. powtarzała swój rytuał, podchodziła do regału, przesuwała dłonią po grzbietach książek, niby to przystawała przypadkiem.

Czy przeczytałam worek kości, małą Arabkę, wieczór psa, noc psa, majtki, tylko miłość, odmowę, niemożliwą książkę, porzucam, ponurą niedzielę, oczyszczenie, niedorozwinięte, wysadzonych z siodła, dziewczęta, narodziny duchów, macierzyństwo, sztukę głodu, lśnienie, poczucie opuszczenia, nikogo, spadając, wypadki, poetę, pył, to, co pożarło nasze serca, wizję lokalną, samotnego jeźdźca, lato, w którym o mało nie umarł, łaskę i prawdę, życie przed oczami, przeciwżycie, trzy światła, daleko, daleko od nich, daleko od Odile, historię miłości, upadki, pokój ech, nasze życie jak powieść, dziewczynę mojego kumpla, przeszłość, bohaterów i groby, wszystko jest iluminacją, śmierć z przerwami, zjawę, raj, wierzbę, śmiertelną wigilię, café Nostalgia, podtrzymywanie światła, Sukkwan Island, wyspy, zapomnienie, nigdy nie zapomnij.

Po powrocie François wyjechaliśmy oboje na parę dni do Courseilles. Zostawiłam L. samą u mnie w domu. Nie zabrałam żadnej roboty (i nie bez przyczyny). Wmówiłam François – który dziwił się, widząc, że mam tak dużo wolnego czasu, że tak bardzo oddaliłam się od mojego warsztatu – że zrobiłam sobie przerwę. Kiedy zaś wypytywał mnie o pracę, podobnie jak za każdym razem, gdy się zamartwiał, powtórzyłam, że jeszcze za wcześnie, by o tym mówić.

Wróciwszy do domu, w pokoju Paula zastałam L. Skupioną przed komputerem. Oznajmiła, że moje wydawnictwo przysłało mi e-mail na temat spotkania w pewnej placówce w Tours, do którego zobowiązałam się wiele miesięcy wcześniej i które kilkakrotnie przekładano, nie pamiętam dlaczego. Dzwoniła bibliotekarka z liceum, trzeba jak najprędzej ustalić nową datę. Jedna klasa druga i trzy klasy trzecie pracowały nad kilkoma moimi powieściami i na mnie czekają.

Nie czułam się naprawdę na siłach, ale przecież się zobowiązałam. Na pierwszy rzut oka nie było powodu, żeby miało się nie udać. Przywykłam do tego typu spotkań. Sprawdziłyśmy wspólnie z L., jakie dni możemy zaproponować.

L. wspomniała o dwóch czy trzech innych prośbach, na które odpowiedziała w czasie mojej nieobecności. Uznała, że świetnie wyglądam po tych paru dniach na wsi. Nie zadała żadnego pytania o wyjazd.

Wieczorem zapytała z niepokojem, czy nie będzie mi przeszkadzało, jeśli zostanie jeszcze trochę. Odparłam, że nie musi się spieszyć.

L. nigdy nie wypytywała mnie o François, chociaż pozwalała sobie to robić w przypadku moich przyjaciółek. Nigdy nie prosiła, bym opowiedziała, jak się poznaliśmy ani jak długo jesteśmy razem. Kiedy wracałam od niego albo z Courseilles, chciała tylko wiedzieć, jak się miewam. Unikała

szczegółów, anegdot i wszelkiego rodzaju opowieści. François był częścią mojego życia, nie mogła tego zignorować. Traktowała go milcząco jako składową problemu. Nie kryła pewnego sceptycyzmu co do tego związku, niekiedy wymykała jej się uwaga dająca jasno do zrozumienia, jak bardzo ciągle wydaje jej się on wbrew naturze. Nie gorszyło mnie to. W oczach L. François stanowił stały parametr mojego życia, z którym należało mnie łączyć. Raczej źródło komplikacji niż czynnik sprzyjający. Kochać mężczyznę, który bezustannie gości u innych pisarzy albo ich wychwala – uważała, że to niebezpieczne. Ktoś, kto przemierza kanał La Manche czy Atlantyk, aby spotkać się z autorami, których uznaje za bardziej interesujących niż autorzy francuscy – bo jej zdaniem właśnie tak należy rozumieć jego ciągłe podróże – to mi nie pomoże odzyskać wiary w siebie. Pewnego wieczoru, gdy L. trochę wypiła, porównała mnie wręcz do nauczycielki, która zdecydowała się na życie z inspektorem oświaty. Uśmiechnęłam się na te słowa, toteż mówiła dalej:

– Facet co wieczór wraca do niej, żeby opowiadać o pilotażowych eksperymentach, przeprowadzanych w najlepszych liceach przez superbelfrów, podczas gdy ona nie potrafi nawet utrzymać porządku w ostatniej klasie podstawówki…

Nie jestem pewna, czy uchwyciłam sens tej przenośni. Albo raczej pełni jej znaczenia. Przy L. ukryte znaczenia objawiały mi się czasem dopiero po kilku dniach od naszej rozmowy.

Nasze wspólne pomieszkiwanie trwało nadal w ten sposób. Powrót François niewiele zmienił. Kiedy zostawałam u niego na noc, wracałam do domu nazajutrz wczesnym rankiem pod pretekstem, że muszę pracować. Zastawałam L. w kuchni, pijącą herbatę.

Jedyne nieco bezpośrednie pytanie, jakie L. zadała mi na jego temat, dotyczyło naszego ewentualnego wspólnego życia teraz, gdy dzieci wyjechały.

Kiedy odbiłam piłeczkę (czy ma zamiar ułożyć sobie życie na nowo?), zadrwiła z tego naiwnego sformułowania. Co to w ogóle znaczy *ułożyć sobie życie na nowo*, czy chodzi wyłącznie o ułożenie, zburzenie, ułożenie na nowo? Tak jakbyśmy mieli tylko jedną nitkę do tkania. Roześmiała się i dodała:

– Tak jakbyśmy byli istotami jednoznacznymi, zbudowanymi z jednego kawałka, z jednej materii. Jakbyśmy mieli tylko jedno życie.

Powracają dwa, trzy wspomnienia, które jak sądzę, pochodzą z tamtego okresu. Muszę jednak przyznać, że wcale nie jestem pewna kolejności, w jakiej nastąpiły owe wydarzenia, ponieważ w miarę opowieści wszystko staje się coraz bardziej płynne.

Najpierw L. kupiła sobie jedną czy dwie pary dżinsów takiej marki jak moja. Zrazu nie zwróciłam na to większej uwagi, szczegóły te przypomniały mi się dużo później, kiedy nasze relacje zaczęły się naprawdę psuć. Mnie również zdarza się szukać ubrania podobnego do tego, które widziałam na przyjaciółce. Zdarza mi się je przymierzać, a nawet kupić. Lecz to, co zdawało się zmysłowo opływać inną figurę, na mnie zawsze sprawiało wrażenie zbyt szerokiego, zbyt obcisłego, niedopasowanego.

Zwróciłam uwagę, że L. kupiła takie same dżinsy jak moje, ponieważ zanim się poznałyśmy, L. w ogóle ich nie nosiła – przynajmniej tak wywnioskowałam, patrząc na jej garderobę w pierwszym okresie naszej znajomości.

W ciągu kolejnych dni doszłam do wniosku, że L. się zmieniła. Chcę przez to powiedzieć, że L. stała się do mnie podobna. Mam pełną świadomość, że może się to wydać dziwne (dostrzegać u kogoś innego podobieństwo do samego siebie) i odrobinę narcystyczne. Ale właśnie to odczułam. Nie tyle prawdziwe podobieństwo szczegółów, rysów, ile podobieństwo konturów, sposobu bycia. Zdążyłam wcześniej zauważyć, że mamy taki sam wzrost, kolor włosów (z tym że włosy L. były podatne na układanie i ładnie przystrzyżone), do tego dochodził jednak nowy czynnik: coś w gestach, w postawie, coś u L. przypominało mi *mnie*. Chwilami jej sylwetka odcinała się niczym projekcja wideo mojego własnego ciała na łagodniejszej, bardziej gładkiej powierzchni. Zauważyłam też, że L. mniej

się maluje. Odstawiła na przykład kremy tonujące, które stosowała, gdy się poznałyśmy. Stopniowo L. przejęła moje ruchy, pozy, drobne przyzwyczajenia. Było to niepokojące, krępujące. Może jednak stanowiło tylko wytwór umysłu, mojego umysłu.

(Ludzie często mi mówią, że córka jest do mnie podobna, zapewne najpierw za sprawą pewnej formy mimetyzmu, której nie potrafię dostrzec. Mogę ewentualnie dojrzeć określone podobieństwo, patrząc na niektóre zdjęcia Louise przypominające moje fotografie, kiedy byłam w jej wieku, lecz gdy Louise stoi naprzeciwko mnie, nie jestem w stanie go uchwycić. Widzę, w czym Paul jest podobny do ojca, to sposób siadania, grymas ust, kiedy się zastanawia, ruchy dłoni, kiedy mówi. Nie sądzę jednak, by ojciec sam dostrzegał mimetyzm Paula w stosunku do siebie).

W rzeczywistości mimetyzm, który L. przejawiała w stosunku do mnie, miał inną naturę. Nie był naturalny, nieświadomy. Był celowy. Zapewne z tego właśnie powodu mi nie umknął.

Tylko że w tamtej chwili niczego już nie byłam pewna. Chyba w końcu doszłam do wniosku, że coś sobie ubrdałam.

Pewnego poranka o bardzo wczesnej porze, wróciwszy od François, zastałam L. siedzącą w kuchni, nieubraną, nieuczesaną, z zaczerwienionymi oczami. Właśnie się dowiedziała, że autobiografię Gérarda Depardieu, w sprawie której skontaktowano się z nią kilka tygodni wcześniej, powierzono Lionelowi Duroyowi. Nie po raz pierwszy rywalizowała z tym pisarzem. Duroy zwyciężył po kolacji z aktorem. Kwestia pokrewieństwa charakterów. Rozumiała ów wybór. Znała obu mężczyzn i ten wybór miał sens. Tylko że była zawiedziona. Chociaż rzadko godziła się pisać dla aktorów. Depardieu to było jednak co innego. Potrafiłaby go napisać.

Później, widząc L. tak mocno przybitą, na poprawę humoru zaproponowałam kolację w restauracji. Nie starczyło mi odwagi, by samej coś ugotować, a lodówka była pusta.

Zamknęła się na pół godziny w łazience.

Kiedy wyszła, nie mogłam powstrzymać okrzyku podziwu, co jak co, ale umiała zabrać się do rzeczy. Nie licząc lekko podpuchniętych oczu, dokonała widowiskowej przemiany, miała zaróżowione policzki, wyglądała świeżo i rześko.

Udałyśmy się do znanej z dań dnia restauracji w mojej dzielnicy, gdzie byłyśmy już raz czy dwa. Gdy miałyśmy właśnie wejść do lokalu, usłyszałam, że ktoś wykrzykuje moje imię. Obejrzawszy się, spostrzegłam Nathana, przyjaciela Louise, z którym znała się od żłobka. Chodzili razem do przedszkola, później do szkoły podstawowej i mimo że ich drogi następnie się rozeszły, nigdy nie stracili się z oczu. Z biegiem czasu zaprzyjaźniłam się z matką Nathana. Parę lat wcześniej wyjechałyśmy obie wraz z dziećmi w długą podróż do Stanów Zjednoczonych.

Kiedy Nathan tak stał przede mną, na kilka sekund obraz małego chłopca, którym był kiedyś (jasne włosy, pyzate policzki i cudowny żółty sweterek robiony na drutach, w jaki był ubrany na zdjęciu ze żłobka), nałożył się na obraz wysokiego i przystojnego młodego człowieka z dredami, którego miałam przed sobą. Nie widziałam go, odkąd Louise wyjechała do Lyonu, ucałowaliśmy się teraz i zaczęliśmy wymieniać się nowinami.

Jestem pewna, że gdybym spotkała którąś z moich przyjaciółek, L. by została. Nie czując się jednak zagrożona, dała mi znak, że wchodzi do środka, aby się ogrzać.

– Podobno zabarykadowałaś się parę miesięcy temu, żeby zasuwać – rzucił Nathan z żartobliwą miną. – Mama mówiła, że powysyłałaś wręcz e-maile do wszystkich znajomych, błagając, żeby się z tobą nie kontaktowali!

Nie od razu zrozumiałam. Nie chciałam zrozumieć. Chyba powiedziałam sobie, że to zbyt dosadny język, młodzieżowy slang. Chyba nawet w pierwszej chwili przytaknęłam. Nathan wspomniał o swoich planach i zapytał, co nowego u Louise i Paula. Pożegnaliśmy się, umówiwszy się na kolację razem z nim i Corinne, kiedy wrócą bliźniaki.

Pomyślałam, że miło jest patrzeć, jak rosną cudze dzieci, które się znało od małego. Te ze zdjęć klasowych czy wakacji, te, które się pocieszało, karmiło, opatulało, beształo, niekiedy trzymało w ramionach. Pomyślałam o wszystkich tych chłopcach i dziewczynkach, którzy stali się tacy duzi, tacy różni między sobą, pomyślałam, że chętnie napisałabym o owej nieskończenie czułej więzi, która łączy mnie z przyjaciółmi moich dzieci i z dziećmi moich przyjaciół.

Weszłam do restauracji i spostrzegłam L. siedzącą przy obszernym stoliku. Również usiadłam. Kiedy kończyła przeglądać menu, zjawił się kelner.

– Czekają panie na trzecią osobę, żeby zamówić?
L. podniosła na niego wzrok z uśmiechem rozczarowania na ustach.
– Chyba zaczniemy bez niej, dołączy do nas później.

Ustaliłyśmy datę mojego wyjazdu do Tours na maj. I maj nadszedł.

W miarę zbliżania się terminu podróży lęk powoli narastał, starałam się nie zwracać na to uwagi. W przeddzień wyjazdu dostałam ataku paniki. W jednej chwili uświadomiłam sobie, że nie jestem w stanie spotkać się z czterema czy pięcioma klasami w jednym liceum. Śmiertelnie przerażała mnie myśl, że będę musiała być miła, udawać, odpowiadać na pytania o moją obecną pracę, chociaż czułam się taka bezbronna, taka niepewna siebie. Wszystko jest kwestią wizualizacji. Otóż nie, nie wyobrażałam sobie, żebym zdołała wmówić osiemdziesiątce nastolatków, że właśnie piszę książkę. Nie, nie wyobrażałam sobie, żebym zdołała odpowiedzieć na nieodłączne pytanie: „Co będzie mogła pani napisać *po tym*?”.

Licealiści przeczytali sporo moich książek, przygotowali pytania, część z nich wykonała dodatkowe prace (kolaże, filmy krótkometrażowe), które zamierzali mi pokazać. Nie mogłam się wycofać w przyzwoity sposób. Lecz nie byłam zdolna tam pojechać.

Wieczorem, widząc, jak bardzo się niepokoję, L. zaproponowała, że poda się za mnie. Tak jakby była to najnaturalniejsza rzecz na świecie, ot wyjście jak każde inne, uczniowie nie będą rozczarowani, dzięki temu nie będzie trzeba po raz kolejny odkładać spotkania, wymieniać biletów na pociąg, mierzyć się ponownie z tym samym lękiem.

Osłupiałam. Podszyć się pode mnie? Ale jak ona może oczekiwać, że nikt się nie zorientuje? L. była jednak całkowicie pewna, że się uda. Ci ludzie widzieli mnie wyłącznie na zdjęciu, a muszę przyznać, że na ogół większość zdjęć jest myląca i ma niewiele wspólnego z rzeczywistością. Poza tym jej zdaniem na zdjęciach dostępnych w internecie wcale nie wyglądam jak ja. One nie przedstawiają spójnego portretu, przeciwnie, przyczyniają się do stworzenia chwiejnego i nieczytelnego obrazu. Trudno się w nich rozeznać. Raz mam włosy kręcone, raz proste, na jednych

fotografiach wyglądam tak, jakbym właśnie wracała z wakacji na Malediwach, na innych znów, jakby mnie wypuścili z więzienia, tu mam trzydzieści pięć lat, tam znów pięćdziesiąt, raz jestem mieszczką, raz rozczochranym grunge'owcem, jednym słowem: wszystko to pozostawiało prawdziwe pole manewru, aby jak to określiła, *stworzyć mnie na nowo*. Parę dobrze dobranych szczegółów pozwoli wszystkich nabrać. Była pewna, że to się może udać. Ryzyko nie było aż tak duże. Przeczytała zresztą wszystkie moje wywiady w prasie (jak wyjaśniła, od samego początku), wielokrotnie słyszała mnie w radio, czuła, że doskonale sobie poradzi z odpowiadaniem za mnie na tradycyjne pytania o genezę moich książek i o pisarstwo. Co do reszty, będzie improwizować.

Muszę przyznać, że zabrzmiało to jak kompletne szaleństwo, ale się zgodziłam.

Nazajutrz o świcie L. włożyła moje ubranie (wybrałyśmy rzeczy, które nosiłam na najbardziej wyeksponowanych zdjęciach w internecie, wyszłyśmy bowiem z założenia, że pozostawiły one ślad w nieświadomości gospodarzy), następnie przez pół godziny kręciłam jej włosy lokówką, którą Louise zostawiła u siebie w pokoju. L. miała włosy tej samej długości co moje i tylko odrobinę jaśniejsze. Rezultat nas rozbawił, zwłaszcza gdy L. zaczęła na dobre naśladować moje gesty, ton głosu, zupełnie jakby powtarzała to ćwiczenie dziesiątki razy, stojąc sama przed lustrem. Miała prawdziwy talent.

Z biletami w kieszeni, o szóstej rano wsiadła do taksówki i udała się na gare Montparnasse. Siedząc w TGV, wysłała mi ze dwa, trzy SMS-y, potem zaś przez cały dzień nie miałam już żadnych wieści. Umówiłyśmy się, że zadzwoni wyłącznie wtedy, gdy trafi na posterunek policji za kradzież tożsamości.

Poza spoglądaniem na telefon co dziesięć minut nie byłam w stanie nic robić. Popuściłam wodze fantazji i wyobraziłam sobie dwa lub trzy katastroficzne scenariusze: zdemaskowawszy L., uczniowie rzucają w nią książkami; L. odpowiada na zadawane pytania, co jej ślina na język przyniesie; L. obraża nauczyciela, który nie okazał jej szacunku.

L. nie chciała, żebym przyjechała po nią na dworzec. Uznała, że lepiej, bym skorzystała z okazji i pobyła sama. Około dwudziestej drugiej, kiedy już nie

mogłam dłużej wytrzymać, usłyszałam jej kroki na schodach.

Na jej twarzy dostrzegłam dobrze mi znany wyraz znużenia. L. potwierdziła, że wszystko poszło gładko, TGV, obiad w stołówce, spotkanie z uczniami, podpisywanie książek, podwieczorek w pokoju nauczycielskim, TGV. Gładko i bez najmniejszego potknięcia. Zdarzył się tylko krótki moment niepewności na dworcu w Tours, w czasie powitania z bibliotekarką. Kobieta przyglądała jej się wielokrotnie, nim podeszła bliżej, kiedy zaś podały sobie ręce, nadal rzucała jej kose spojrzenia. Po paru sekundach wahania przeprosiła, że od razu jej nie poznała, wyobrażała mnie sobie zupełnie inaczej. Z kolei w liceum oboje nauczyciele francuskiego nie zastanawiali się ani przez chwilę. Cieszą się, że mnie widzą, uczniowie nie mogą się już doczekać. W trakcie spotkania pewien chłopiec wzbudził powszechną wesołość, zapytawszy L., czy zrobiła sobie operację plastyczną: wygląda młodziej niż na zdjęciach. Został skarcony przez nauczyciela. Licealiści zadawali mnóstwo pytań o autobiograficzny wymiar moich książek, szczególnie tej ostatniej. L. uderzyło jedno, mianowicie większość stawianych przez nich pytań dotyczyła następującej kwestii: dlaczego traktuję moją książkę jak powieść, czy wszystko to jest prawdą, co się stało z taką a taką postacią, jak książkę przyjęła rodzina? Tak dużo pytań, które dobrze znałam i na które musiałam wiele razy odpowiadać.

L. nie zdołała ukryć przede mną ani ekscytacji, ani dumy: podszyła się pode mnie i to się powiodło! Czy ja sobie zdaję sprawę, co to oznacza? Od tej pory możemy się zamieniać rolami, w każdym razie ona może podawać się za mnie. Bez wątpienia istnieje sposób, żeby udoskonalić przedstawienie, ponieważ ona potrafi być jeszcze lepsza, jest tego pewna, a to mogłoby mnie uwolnić od wszelkiego rodzaju zobowiązań, jeśli sobie tego życzę.

– Wiesz, mogę to powtórzyć, Delphine, za każdym razem, gdy zajdzie taka potrzeba. I jestem pewna, że to może się udać z ludźmi, którzy cię znają. Z księgarzami, bibliotekarzami, dziennikarzami. Absolutnie pewna. Wierz mi, ludzie nie potrafią patrzeć. Są za bardzo zajęci sobą. Przeprowadzimy próbę, kiedy zechcesz.

L. była taka szczęśliwa, jakby właśnie zdobyła nagrodę dla najlepszej aktorki.

Cała w skowronkach nie dostrzegła zakłopotania, które z trudem ukrywałam. Odpędziłam dziwne wrażenie, od którego lekko zakręciło mi się w głowie. Tym razem wybawiła mnie z kłopotu.

Podziękowałam jej. Zdaje się, że dodałam nawet: sama nie wiem, jak ci dziękować.

Nazajutrz L. oznajmiła, że otrzymałyśmy bardzo serdecznego e-maila od nauczycieli. Dostali mnóstwo pochwał, uczniowie byli zachwyceni spotkaniem, które uznali za pełne życia, pasjonujące i swobodne.

Dobrze zrobiły*śmy*, że tam pojechały*śmy*.

Jestem niezdarą. Wpadam na ściany, zawadzam nogą o dywan, upuszczam przedmioty, rozlewam wodę, wino, herbatę, tracę równowagę, potykam się, wpadam w niekontrolowane poślizgi, a wszystko niekiedy w ciągu jednego dnia. To niekoniecznie wina nieregularności terenu ani pojawienia się nieprzewidzianych przeszkód. To raczej kwestia ogromnego roztargnienia albo podstępna forma nieprzystosowania do świata, który mnie otacza. Dochodzą do tego inne czynniki: zmęczenie, to, że ktoś mi się przygląda. Jeszcze dzisiaj, jeśli czuję się obserwowana, zdarza się, że przemierzam pomieszczenie albo schodzę po schodach, martwiąc się wyłącznie o to, by dotrzeć do celu bez upadku. Jeszcze dzisiaj, jeśli jestem onieśmielona, zdarza się, że zjadam cały posiłek, nie bardzo przysłuchując się rozmowie, ponieważ usilnie się staram nie zadławić, niczego nie uronić, a to pochłania całą moją uwagę.

Nauczyłam się ukrywać to upośledzenie i wydaje mi się, że obecnie całkiem nieźle się maskuję. Wykształciłam w sobie pewną ilość automatycznych zachowań, strategii, środków zaradczych, dzięki którym mogą minąć całe dnie, a ja o nic się nie uderzę, publicznie się nie ośmieszę ani nie narażę cudzego życia na niebezpieczeństwo. Dzisiaj jednak potrafię rozpoznać chwile wyczerpania, smutku, irytacji, które zmuszają mnie do zdwojonej czujności.

Wielokrotnie bowiem zdarzyło mi się dać dowód, niekiedy publicznie, nieprawdopodobnej niezdarności. Nie mam pojęcia, czy inne osoby w moim wieku – to znaczy dysponujące pewną liczbą godzin treningu – znajdują się w tej sytuacji.

Pewnego dnia, a zdążyło już upłynąć parę lat, mój angielski wydawca ściągnął mnie do Londynu w sprawie tłumaczenia jednej z powieści. Nie byłam w Londynie od wielu lat i szykowałam się, nie bez lęku, aby udzielić pierwszego wywiadu w jego ojczystym języku. Wydawca wyjechał po mnie

na dworzec Świętego Pankracego, wzięliśmy taksówkę i udaliśmy się prosto do studia, w którym nagrywano program. Być może włożyłam na tę okazję spódnicę lub sukienkę. W samochodzie ucięliśmy sobie pogawędkę. Mój wydawca jest figurą na rynku księgarskim. To mężczyzna około pięćdziesiątki, nadzwyczaj angielski i nadzwyczaj czarujący. W moich oczach uosabia wręcz w pełni brytyjski szyk. Gdy dotarliśmy na miejsce, pierwszy wysiadł z samochodu, po czym przytrzymał mi z uśmiechem drzwi. Chodziło tylko o to, żeby wydostać się z taksówki. Na kilka sekund, zanim wykonałam ruch, głos w mojej głowie ostrzegł: *Nie dasz rady*. To nie miało żadnego sensu, nie opierało się na żadnej obiektywnej przesłance, lecz oto pojawił się strach, zupełnie jakbym stała u samego szczytu cyrkowego namiotu i miała skoczyć z jednego trapezu w ruchu na drugi, także w ruchu. Czułam się onieśmielona, chciałam dobrze wypaść, chciałam pokazać własną zwinność i kobiecość, chciałam mu się podobać. I nagle wyjście z samochodu na oczach angielskiego wydawcy wydało mi się czymś nieosiągalnym.

Dokładnie w tej samej chwili pomyślałam: z pewnych słów, z pewnych spojrzeń człowiek nie potrafi się wyleczyć. Mimo czasu, jaki upłynął, mimo kolejnych słów i kolejnych spojrzeń.

Kiedy wysiadałam z auta, sama nie wiem, czy to dlatego, że poplątały mi się nogi albo stopy, wyrzuciło mnie do przodu, nie był to prawdziwy lot ślizgowy, który przynajmniej zasługiwałby na miano widowiska, nie, raczej coś w rodzaju gwałtownego, nędznego osunięcia, po którym upadłam twarzą na ziemię, zawartość torebki wysypała się zaś na jezdnię. Mój angielski wydawca wyciągnął dłoń, aby pomóc mi wstać, w geście absolutnej delikatności, nie okazując najlżejszego zdziwienia, tak jakby miał do czynienia ze zjawiskiem, które często występuje wśród francuskich pisarzy.

W kontakcie z L., szczególnie w okresie gdy u mnie mieszkała, niezdarność ta nie przestała się nasilać, rozwijać, niczym uaktywniony na nowo wirus, który zmutował do bardziej niebezpiecznej, bardziej opornej postaci. Bezustannie o coś się uderzałam. Przedmioty leciały mi z rąk, jakby obdarzone własną energią. Miałam niezborne ruchy. Coraz częściej na coś wpadałam, przewracałam się, z czymś się zderzałam. Przestałam już liczyć siniaki i stłuczenia. Nieprzystosowanie mojego ciała do przynależnego mu

środowiska – nieprzystosowanie, z którym zdążyłam się oswoić i które nauczyłam się ukrywać – obudziło się, wywołując nieustanne serie nieprzewidzianych wydarzeń. Poruszałam się po wyboistym, zaminowanym terenie, w każdej chwili groził mi poślizg, runięcie, zawalenie. Gdziekolwiek szłam, obawiałam się, że się zachwieję. Czułam się rozgorączkowana i nieporadna. Drżąca. Pionowość mojej osoby przestała już być cechą nabytą, lecz stała się nietrwałym zjawiskiem, o które musiałam walczyć.

François, który często mi dokuczał z powodu mojej niezdarności (nie jestem przypadkiem ukrytą córką Pierre'a Richarda albo Gastona Lagaffe'a?), zaczął się niepokoić. Jął mi się przyglądać spod oka, tak jakby szukał niepodważalnego dowodu, że coś nie gra. Na jego oczach zdarzyło mi się przewrócić bądź upuścić jakiś przedmiot, ot tak, w samym środku ruchu, bez żadnego powodu, tak jakby informacja „podnoszę szklankę do ust" czy „trzymam w prawej ręce rondel" nagle znikała z mojego mózgu. Niekiedy połączenie zostawało gwałtownie przerwane. Ponieważ zresztą coraz trudniej było mi ocenić odległość między własnym ciałem a resztą świata, musiałam się wielokrotnie konsultować z neurologiem.

Jeśli się nad tym zastanowić, niezgrabność należy do objawów, które pojawiły się lub powróciły w tym okresie, bardziej czy mniej upośledzających objawów, z których współistnieniem, sumowaniem się, przyrostem pogodziłam się bez wszczynania alarmu. Dzisiaj jestem w stanie powiązać te wydarzenia ze sobą. Wtedy jednak wszystko zlewało się w poczucie smutku, samotności, którego przyczyny nie znałam i z powodu którego odmawiałam porady jakiegokolwiek lekarza. Było mi smutno, to wszystko, nie po raz pierwszy i zapewne nie ostatni.

Owszem, czasami przechodziło mi przez myśl, że L. może mieć większy lub mniejszy związek z owym stanem.

Pozornie wspierała mnie, podtrzymywała, chroniła. W rzeczywistości jednak pochłaniała moją energię. Przechwytywała moje tętno, ciśnienie i to upodobanie do fantazji, którego przecież nigdy mi nie brakowało.

Tymczasem przy niej opuszczała mnie cała istota, L. pracowała przez długie godziny, wchodziła i wychodziła, jeździła metrem, gotowała.

Niekiedy, patrząc na nią, odnosiłam wrażenie, że widzę siebie, albo raczej moje drugie ja, stworzone na nowo, silniejsze, potężniejsze, naładowane pozytywną energią.

Wkrótce zaś miała ze mnie zostać tylko martwa, wysuszona skóra, pusta skorupa.

W miarę jak usiłuję popchnąć tę opowieść naprzód, uświadamiam sobie, z jaką wytrwałością staram się mnożyć chronologiczne punkty odniesienia, posłuszna zapewne niezdrowej chęci zakotwiczenia tej historii we wspólnym, obiektywnym, namacalnym dla wszystkich czasie. Wiem, że wkrótce wszystko to wybuchnie i że nadejdzie chwila, gdy znaczniki czasowe przestaną mieć jakikolwiek sens, gdy nie zostanie już nic prócz długiego pustego korytarza.

Gdybym mogła, opowiedziałabym o owych kilku tygodniach, które przywiodły nas do lata, bardziej szczegółowo. Nie zostały mi po nich jednak żadne ślady ani wspomnienia. Przypuszczam, że moje życie nadal toczyło się w tej niepewnej maskaradzie, która prowadziła donikąd.

Przypuszczam, że L. nadal pracowała, zajmowała się moją pocztą i papierami, ja zaś nadal nic nie robiłam. Przypuszczam, że wyszłyśmy wspólnie wieczorem raz czy dwa, żeby sobie wypić i się rozerwać.

Louise i Paul dwukrotnie wpadli na weekend. Za pierwszym razem L. skorzystała z okazji, żeby pojechać do Bretanii, do matki. Za drugim oznajmiła, że woli się wynieść do hotelu, aby nam nie przeszkadzać.

Pamiętam, że pewnego wieczoru, który oboje spędzaliśmy u François, pokłóciliśmy się. Wydaje mi się, że poszło o psychoanalizę (psychoanaliza zajmuje poczesne miejsce wśród drażliwych tematów, przed *espresso americano*, posługiwaniem się cytatami, nostalgią, filmami, które on uwielbia, ja zaś uważam za szmiry, i vice versa). Bardzo rzadko się kłócimy i nigdy nie trwa to dłużej niż dziesięć minut, ale tamtego wieczoru skorzystałam z pierwszej sposobności, by mu się przeciwstawić, jest to coś, w czym jestem znakomita, gdy jakaś część mnie postanawia się pieklić (na

szczęście nie zdarza się to często). Podniosłam głos, nie zdając sobie z tego sprawy. Ja byłam spięta, on zmęczony, w powietrzu aż iskrzyło.

Czyż każdy z nas przynajmniej raz w życiu nie poczuł pokusy, by rozwalić wszystko w drobny mak? Owego nagłego zawrotu głowy – wszystko zniszczyć, unicestwić, roznieść w pył – bo wystarczyłoby parę właściwie dobranych, kąśliwych, ostrych słów, które zjawiają się nie wiadomo skąd, słów, które ranią, które dokładnie trafiają w cel, słów, których nie da się cofnąć, których nie da się wymazać. Czyż każdy z nas przynajmniej raz w życiu nie poczuł tej dziwnej, tępej, niszczycielskiej wściekłości, bo w końcu wystarczyłoby tak niewiele, żeby wywołać kompletne spustoszenie? Właśnie to poczułam tamtego wieczoru: byłam zdolna zdobyć przewagę, sama zniweczyć wszystko, na czym mi zależało, wszystko zniszczyć, aby nie mieć już nic do stracenia. Właśnie to mnie ogarnęło, szaleńcza myśl, że nadeszła pora, aby skończyć z tym wszystkim, z zaczarowanymi chwilami i całą resztą tego typu idiotyzmów, w które w końcu uwierzyłam, sądziłam, że spotkałam mężczyznę, który potrafi mnie pokochać, zrozumieć, podążyć za mną, wspierać mnie, ale w gruncie rzeczy nie, ha, ha, wszystko to było tylko przynętą, pięknym oszustwem, z którym najwyższy czas skończyć. A znałam słowa, które zadają nieuleczalne rany, znałam słaby punkt, piętę achillesową, wystarczyło dokładnie wycelować, w odpowiednie miejsce, zanimbym zdążyła to powiedzieć, już by było pozamiatane.

Właśnie to przywróciła do życia L.: tkwiącą we mnie osobę pozbawioną pewności siebie, zdolną wszystko zniszczyć.

W ciągu minuty znalazłam się wprost na skraju przepaści, a potem się cofnęłam.

W tym okresie François kilkakrotnie proponował, bym się do niego wprowadziła, przynajmniej na jakiś czas. Martwił się. Wcale nie dał się nabrać. Ani na moją fanfaronadę, ani na tak zwaną pracę w toku. Uważał, że anonimy ranią mnie bardziej, niż jestem skłonna przyznać. Uważał, że pozwoliłam się dopaść jakiemuś potworowi albo upiorowi z przeszłości.

Pamiętam inny wieczór, kiedy to w drodze powrotnej z Courseilles mieliśmy osobliwą rozmowę, tak jakby François dostrzegał wokół mnie jakiś anormalny snop światła, jednocześnie nie potrafiąc go nazwać. Od dawna już panował mrok, a na drodze nie było ruchu. W samochodzie

zasypał mnie pytaniami. Owszem, martwi się. Potrafi zrozumieć, że potrzebuję samotności, że chronię swoją pracę, że nie chcę z nim rozmawiać o pewnych sprawach. Tylko że za daleko się posuwam, narażam się na niebezpieczeństwo. Odrzucam jego pomoc. Być może ten jeden raz – przynajmniej na krótko – mogłabym się pogodzić z myślą, że ktoś się o mnie troszczy. Jego zdaniem znów wzniosłam wokół siebie rodzaj kordonu sanitarnego, aby nikt, nawet on, nie mógł mieć dostępu do tego, co mnie porusza albo naprawdę dotyczy. Rozumie, że nie mam ochoty się wszystkim dzielić, ale wcale nie muszę uruchamiać aż takiego systemu obrony. Nie prowadzimy wojny. On nie jest moim wrogiem. Dawniej byłam bardziej wyciszona.

A potem oderwał na chwilę wzrok od drogi i przyjrzał mi się.

– Wiesz – powiedział – czasem się zastanawiam, czy ktoś nie przejmuje nad tobą kontroli.

Nie wiem, dlaczego tamtego dnia z nim nie porozmawiałam. Dlaczego nie wspomniałam o L. i o wrażeniu, że przy zetknięciu z nią mój mózg rozszarpują szpony drapieżnika.

Każdy, kto poznał psychiczne zniewolenie, owo niewidzialne więzienie, które rządzi się niezrozumiałymi prawami, każdy, kto poznał owo przeświadczenie, że nie potrafi już myśleć samodzielnie, ów ultradźwięk, który tylko my słyszymy i który wkrada się we wszelką myśl, wszelkie odczucie, wszelką emocję, potrafi zapewne pojąć moje milczenie wobec kochającego mnie mężczyzny.

Było już za późno.

Od ukończenia dwunastu lat prawie do urodzenia bliźniaków pisałam dziennik. Wspomniałam już o szkolnych zeszytach, które zapełniałam, będąc dzieckiem, potem nastolatką, następnie młodą kobietą. Są ponumerowane i kolejno ułożone w hermetycznym plastikowym pudełku, które kilkakrotnie próbowałam znieść do piwnicy, ale za każdym razem w końcu wnosiłam z powrotem. Zeszyty te posłużyły mi do napisania pierwszej, a także ostatniej powieści. Poza tymi dwoma momentami (z dziesięcioletnią przerwą) więcej ich nie czytałam. Jeśli kiedyś coś mi się stanie, chciałabym, aby je zniszczono. Ogłosiłam to mojemu otoczeniu i sporządziłam na piśmie: nie chcę, by ktokolwiek je otwierał ani czytał. Wiem, że przezorniej by było samej się ich pozbyć, spalić je, ale nie mogę się na to zdobyć. Plastikowe pudełko znalazło swoje miejsce w przyległej do kuchni klitce, w której chowam wszelkiego rodzaju rzeczy: odkurzacz, pościel, skrzynkę z narzędziami, kasetkę z przyborami do szycia, karton z przyborami szkolnymi, śpiwory i sprzęt kempingowy.

Pewnego wieczoru, kiedy zabierałam się do wyjęcia deski do prasowania, spostrzegłam, że pokrywka plastikowego pudełka – tego od zeszytów – jest przesunięta. Rozłożyłam drabinę, aby je zdjąć. Dokładnie w tej samej chwili, być może dlatego, że usłyszała hałas, albo dlatego, że istotnie posiadała jakiś szósty zmysł, z pokoju wyszła L. Dołączyła do mnie w kuchni.

Postawiwszy pudełko na podłodze, przystąpiłam do przeglądania jego zawartości. Gdy upewniłam się, że wszystkie zeszyty są na miejscu, L. gwizdnęła z podziwem.

– No no, masz co robić.

Nie odpowiedziałam. Zeszyty leżały w nieładzie, ale żadnego nie brakowało.

O mało nie zapytałam L., czy to ona otworzyła pudełko, lecz wydało mi się to zbyt napastliwe, tak prosto z mostu, bez dowodu i bez motywu, to by oznaczało oskarżyć ją o szperanie w moich rzeczach. Był to jednak prawdopodobny scenariusz: L. wiedziała o istnieniu zeszytów i znała miejsce, w którym je trzymałam, możliwe, że coś przerwało jej lekturę, co tłumaczyło, dlaczego odłożono je w nieładzie.

Kiedy zamykałam pokrywkę i odstawiałam pudełko na miejsce, nie spuszczała ze mnie oka. Pomyślałam, że w najbliższych dniach muszę znaleźć inną kryjówkę.

Tego samego wieczoru L. zaciekawiło wykorzystanie mojego dziennika. Jej zdaniem był to niesamowity, wspaniały materiał. Ponad piętnaście lat wspomnień, anegdot, doznań, wrażeń, portretów… Coś w sposobie, w jaki mówiła, utwierdziło mnie w przekonaniu, że je czytała, przynajmniej częściowo. Trudno mi to wytłumaczyć: mówiła o tym tak, jakby sama z siebie, intuicyjnie (a nie z powodu niedyskrecji) wiedziała, co zawierają zeszyty. Gdybym więc się zbuntowała, gdybym zaczęła jej robić wymówki, natychmiast by zaprzeczyła.

Żałowała, że nie chcę wydobyć z tych zeszytów cennej materii książki widma. Bo ona tam jest, czuła to, wiedziała, całe mnóstwo schowanych przed światem stronic, które czekają na dzień, gdy zgodzę się przemówić.

– To jak kopalnia, którą kazałaś zasypać. Masz szalone szczęście, że to wszystko spisałaś. Zdajesz sobie z tego sprawę?

Owszem, miała rację. To było cenne. Te zeszyty stanowiły moją pamięć. Zawierały wszelkiego rodzaju szczegóły, anegdoty, sytuacje, o których zapomniałam. Zawierały moje nadzieje, pytania, ból. Uzdrowienie. Zawierały to, czego się pozbyłam, aby móc się utrzymać na nogach. Zawierały to, o czym, jak mi się wydawało, zapomniałam, lecz co nigdy nie ulega wymazaniu. Co ciągle oddziałuje bez naszej wiedzy.

Nie dała mi czasu na odpowiedź. Mówiła ciszej, za to bardziej stanowczo.

– Nie pojmuję, dlaczego nadal szukasz tematu, chociaż masz to w ręku.

Zrobiło mi się przykro.

– Po pierwsze, nie szukam tematu, jak to nazywasz, po drugie, ten materiał ma wartość wyłącznie dla mnie.

– Ja uważam zupełnie inaczej. Uważam, że powinnaś stawić czoło właśnie tej rzeczywistości, tej prawdzie.

W jednej chwili ogarnęła mnie złość, nie czułam, jak nadchodzi.

– Ale ludzie mają gdzieś tę prawdę, olewają to!

– Nie, wcale nie mają gdzieś. Ludzie to wiedzą. Czują to. Ja to wiem, kiedy czytam jakąś książkę.

Jeden jedyny raz miałam ochotę użyć argumentów, starać się zrozumieć.

– Nie sądzisz, że zgodnie z własnymi słowami czujesz to po prostu dlatego, że wiesz? Bo ktoś zadbał o to, abyś dowiedziała się w taki czy inny sposób, że to prawdziwa historia albo „oparta na rzeczywistych wydarzeniach”, albo „bardzo autobiograficzna”, i że ta prosta etykietka wystarczy, aby skłonić cię do innej uwagi, do jakiejś postaci ciekawości, którą wzbudzają w nas wszystkich, a zwłaszcza we mnie, fakty? Ale wiesz, nie jestem pewna, czy rzeczywistość wystarczy. Rzeczywistość, o ile ona w ogóle istnieje, o ile w ogóle da się ją odtworzyć, rzeczywistość, jak mówisz, musi zostać ucieleśniona, przekształcona, odczytana. Bez spojrzenia, bez punktu widzenia w najlepszym razie to nudne jak flaki z olejem, w najgorszym zdolne wywołać lęk. Ta praca zaś bez względu na to, jaki jest materiał wyjściowy, zawsze stanowi jakąś formę fikcji.

Chociaż raz L. się nie odcięła. Zastanawiała się przez chwilę i zapytała:

– No więc na co czekasz, żeby to zrobić?

– Zrobić co?

– Tę pracę, o której mówisz.

W ciągu następnej nocy miałam dziwny koszmar, po którym zachowałam dość dokładne wspomnienie: stoję przed tablicą w klasie, której ściany pokrywają dziecięce rysunki. Przepytuje mnie nauczyciel, którego twarzy w ogóle nie znam. Za każdym razem podaję złą odpowiedź, a nauczyciel zwraca się do L. (która też jest dziewczynką, ale nieco starszą ode mnie), aby usłyszeć tę właściwą. Reszta uczniów nie patrzy na mnie, wbija wzrok w zeszyty, aby dodatkowo mnie nie upokorzyć. Jedynie moja przyjaciółka Mélanie spogląda na mnie i daje mi coraz bardziej natarczywe znaki, abym uciekała.

Obudziłam się zlana potem.

Zapaliłam światło, odczekałam, aż serce znów zacznie mi bić normalnie. Chyba potem nie zasnęłam.

Nazajutrz przez cały ranek sortowałam pocztę. Zachowuję wszystkie otrzymane listy, najdrobniejsze świstki napisane przez dzieci, kartki pocztowe, bileciki dołączone do kwiatów, zachowuję wszystko. Co dwa, trzy lata układam stosy, paczki, chowam do kartonów.

Po południu wyszłam na spacer.

Gdy mijałam przedszkole, zdanie wypowiedziane przez Nathana (przyjaciela Louise, którego spotkałam parę tygodni wcześniej na ulicy) powróciło z siłą bumerangu:

Mama mówiła, że powysyłałaś wręcz e-maile do wszystkich przyjaciół, błagając, żeby się z tobą nie kontaktowali!

Przez cały czas odsuwałam od siebie to zdanie. Zostało tam, niezbyt daleko, zawieszone, w oczekiwaniu, ponieważ zabrakło mi odwagi, żeby spróbować je wyjaśnić, zmierzyć się z tym, co ono oznaczało, ponieważ zabrakło mi odwagi i siły, aby potraktować tę informację normalnie.

Z ulicy zadzwoniłam do Corinne, matki Nathana. Odebrała natychmiast i ucieszyła się z mojego telefonu. Wreszcie wyszłam z jaskini!

Corinne potwierdziła, że podobnie jak najwyraźniej wszystkim moim kontaktom, sądząc z długiej listy adresatów, wysłałam jej wiadomość, aby uprzedzić, że zabieram się do pracy i muszę się trzymać z dala od wszelkich pokus.

Zapytałam Corinne, czy mogłabym do niej wpaść, żeby pokazała mi tę wiadomość. Musiałam ją zobaczyć. Corinne nie należy do ludzi, którzy zbytnio się przejmują cudzymi dziwactwami, toteż odparła, że mogę wstąpić, kiedy tylko chcę, jest w domu i się nie rusza.

Gdy się u niej zjawiłam, odszukała wiadomość, podpisaną moim imieniem, zaadresowaną do wszystkich przyjaciół i niemal wszystkich kontaktów.

Później odesłała mi ją z powrotem, wiadomość brzmiała zaś tak:

Moje drogie i moi drodzy,
jak większość z Was wie, nie potrafię zabrać się znów do pracy. Porażce tej towarzyszy ogromne roztargnienie we wszystkim, co robię, i pewien rodzaj

bezczynności, której nie znoszę i która mnie dręczy.

Proszę Was więc, żebyście na parę miesięcy przestali się do mnie odzywać, zapraszać mnie, proponować spotkania tu czy tam. Oczywiście z wyjątkiem nagłej konieczności. Co do mnie, również nie będę dawać znaku życia, dopóki nie napiszę tej książki.

Krok ten może Wam się wydać radykalny. Dzisiaj jestem pewna, że muszę się na niego zdobyć.

Całuję Was.

Delphine

Wiadomość pochodziła z listopada, z okresu, kiedy L. uzyskała dostęp do mojego komputera po raz pierwszy. Corinne odpowiedziała słowami otuchy i wsparcia, nie mając zaś śmiałości telefonować, napisała jeszcze potem raz czy dwa. (Podobnie jak większość przyjaciół i niektórzy członkowie mojej rodziny, o czym miałam się dowiedzieć później. Rzecz jasna, L. nie przekazała mi żadnej z tych wiadomości).

Podziękowawszy Corinne, przyrzekłam, że wkrótce znów ją odwiedzę albo zadzwonię, aby umówić się na kawę.

Ruszyłam z powrotem do domu. Czułam się bardzo zmęczona.

Pod budynkiem spróbowałam złapać François, który wyjechał na dwa dni, żeby kręcić na prowincji, ale odezwała się poczta głosowa. Zachowywałam się jak ktoś, kto się boi.

To było śmieszne. Dlaczego nie zaczekałam, aż znajdę się w mieszkaniu, żeby spokojnie zatelefonować? Dlaczego mówiłam cicho, kiedy L. była w domu?

L. czekała na mnie w kuchni. Zdziwiło ją, że tak późno wracam z przechadzki, zaczynała się już niepokoić. Zaparzyła czerwoną herbatę, moją ulubioną, i kupiła makaroniki. Miała mi coś ważnego do powiedzenia. Przerwałam jej:

– Nie, to ja mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Głos mi drżał.

– Wiem, że wysłałaś do wszystkich moich przyjaciół e-mail z prośbą, żeby przestali się ze mną kontaktować.

Spodziewałam się, że zaprzeczy. Albo przynajmniej że będzie zaskoczona. Na twarzy L. nie było jednak ani śladu zdumienia czy zakłopotania, odparła bez chwili wahania, tak jakby była całkowicie pewna, że postąpiła słusznie.

– No tak. Chciałam ci pomóc. Taka moja rola, wiesz, stworzyć ci jak najlepsze warunki do pracy. Nie dopuścić, żeby coś cię rozpraszało.

Zamurowało mnie.

– Przecież nie możesz tego robić. Co ty sobie wyobrażasz? Piszesz do moich przyjaciół śmieszny list z prośbą, żeby przestali się ze mną kontaktować, to poważna sprawa, bardzo poważna sprawa, nie masz prawa tego robić, nic mi nie mówiąc, ja potrzebuję przyjaciół…

– Ale ja tu jestem. To ci nie wystarczy?

– Nie… Nie w tym rzecz, w głowie mi się nie mieści, że mogłaś to zrobić.

– To było konieczne. I nadal jest konieczne. Uważaj. Potrzebujesz ciszy i samotności, żeby napisać tę książkę.

– Jaką książkę?

– Dobrze wiesz, jaką. Nie wydaje mi się, żebyś miała wybór, musisz spełnić oczekiwania publiczności.

Zapewne uderzyło mnie właśnie słowo *publiczności*, które zabrzmiało fałszywie. Słowo, które wymówiła tak, jakbym była gwiazdą programów rozrywkowych w przededniu tournée. Nagle nie mogłam już dłużej ignorować faktu, że L. bierze mnie za kogoś innego, że przypisuje mi wyobrażenie, które nie miało nic wspólnego z tym, kim byłam. Sprzeciwiłam się stanowczym tonem, bałam się, że zbyt mocno podniosę głos, chciałam zachować spokój.

– Posłuchaj mnie uważnie. Coś ci powiem: nigdy nie pisałam po to, żeby komukolwiek sprawić przyjemność, i nie zamierzam zacząć. Kiedy na nieszczęście przemknie mi przez głowę myśl, żeby się przypodobać albo sprawić przyjemność, bo, owszem, jeśli chcesz wiedzieć, przychodzą mi do głowy takie myśli, depczę ją z całych sił. Ponieważ w gruncie rzeczy pisanie jest czymś o wiele bardziej intymnym, o wiele bardziej nieuchronnym.

L. wstała, usilnie się starając, by jej głos brzmiał łagodnie.

– No właśnie o tym mówię: o czymś bardziej intymnym. Oto czego oczekują od ciebie czytelnicy. Czy tego chcesz, czy nie, jesteś

odpowiedzialna za zainteresowanie, za miłość, jakie wzbudziłaś.

Zdaje się, że wrzasnęłam.

– Ale co to cię obchodzi, do cholery? Do czego ty się wtrącasz? Kim ty jesteś, żeby wiedzieć, co jest dobre, a co złe, co jest pożądane, a co godne pożałowania? Kim ty jesteś, żeby wiedzieć, czym jest albo czym nie jest literatura i czego oczekują moi czytelnicy? Za kogo ty się uważasz?

Nie spojrzała na mnie. Wstała, chwyciła talerz, na którym starannie ułożyła wcześniej makaroniki. Nacisnęła stopą pedał od śmietnika i wrzuciła je tam zadziwiająco szybkim ruchem.

Wyszła z kuchni bez słowa. Nie zdążyłyśmy jeszcze nawet tknąć herbaty.

Słysząc w nocy, jak L. kilkakrotnie wstaje, pomyślałam, że nie może spać. Księżyc był w pełni, ona zaś wyznała kiedyś, że to przyprawia ją o bezsenność.

Gdy wstałam nazajutrz rano, ujrzałam ją gotową do wyjścia. Walizki czekały w przedpokoju. Na jej twarzy malowało się niecodzienne zmęczenie, miała podkrążone oczy i zdaje się, w ogóle się nie umalowała. Pewnie przez całą noc się pakowała. Nie sprawiała wrażenia zagniewanej (albo jeśli była zła, doskonale to ukrywała), spokojnym tonem oznajmiła, że znalazła hotel w X dzielnicy, pokoje nie są duże, ale na jakiś czas się tym zadowoli. Próbowałam protestować, lecz uciszyła mnie gestem ręki.

– Nie pora już o tym dyskutować. Wyraźnie czuję, że moja obecność jest dla ciebie ciężarem. Nie chcę ci przeszkadzać w pisaniu. Wiesz, jak bardzo szanuję twoją pracę. Z pewnością potrzebujesz odrobiny samotności, zanim dzieci przyjadą na wakacje. Rozumiem to. Myślałam, że mogę ci pomóc odzyskać wiarę w siebie. Sądziłam, że mogę ci pomóc nie tracić czasu, unikać pułapek. Ale może trzeba przez to przejść. Pomyliłam się, wybacz mi. Masz rację, sama wiesz, w jaki sposób powinnaś pracować. Co jest dla ciebie dobre. Przepraszam, jeśli powiedziałam coś, co cię zraniło, nie miałam takiego zamiaru.

Nagle poczułam się winna. Właśnie wyrzucałam na ulicę przyjaciółkę, która pomagała mi od wielu tygodni, która odwalała całą brudną robotę.

L. otworzyła drzwi do mieszkania. Po krótkim wahaniu cofnęła się ku mnie.

– Wiesz, Delphine, boję się o ciebie. Ufam, że nie spotka cię nic złego. Mam złe przeczucie. Uważaj na siebie.

Wypowiedziawszy te słowa, wyszła i drzwi się za nią zamknęły. Słyszałam, jak pokonuje pierwsze stopnie schodów, a potem już nic nie słyszałam. Klucze, które jej pożyczyłam, zostawiła na stole kuchennym.

Po południu jakiś chłopak, równie młody jak ten, który jej wcześniej towarzyszył, przyszedł po walizki.

W ciągu następnych dni nie miałam żadnych wieści od L.

Nie próbowałam do niej dzwonić.

Nie mogłam się powstrzymać, żeby nie myśleć o jej ostatnich słowach. To nie było ostrzeżenie, to była klątwa. Zły i nieodparty urok, jaki rzuciła na mnie L.

3

Zdrada

– Annie, czy odpowiesz mi na jedno pytanie?

– Oczywiście, kochany.

– Czy jak napiszę dla ciebie tę historyjkę…

– Powieść. Tak samo obszerną jak poprzednie, a może nawet grubszą.

Zamknął na chwilę oczy, po czym otworzył je.

– Dobrze. Jak już napiszę dla ciebie tę powieść, to czy pozwolisz mi odejść?

Przez chwilę na jej twarzy pojawił się wyraz niepewności, po czym przyjrzała mu się z uwagą, dokładnie.

– Mówisz tak, jakbym cię tu więziła, Paul.

Stephen King *Misery*, przeł. Robert P. Lipski

Mam niewiele wspomnień z lata, które nastąpiło po odejściu L.

Louise i Paul przyjechali w czerwcu, aby spędzić ze mną dwa tygodnie, potem udaliśmy się wszyscy do Courseilles, gdzie zostali z nami na trochę, zanim dołączyli do swych przyjaciół. Cały lipiec spędziłam na wsi wraz z François. Pamiętam, że na widok masy książek, które ze sobą zabrał, odczuwałam lęk, mieszaninę fascynacji i wstrętu. Każdego lata powtarzał się ten sam rytuał: setka powieści, porozkładanych w stosikach w salonie, umieszczonych na stołach albo wprost na podłodze, posłusznych ścisłemu, tylko jemu znanemu porządkowi. Pamiętam, jak pomyślałam, że L. miała rację, pisarzowi trudno jest żyć obok kogoś takiego jak on. Kogoś, kogo zawód polega na czytaniu książek, na spotykaniu i przyjmowaniu pisarzy, na wygłaszaniu opinii o ich dziełach. Po każdym otwarciu sezonu literackiego ukazywały się setki książek. Nie była to jedynie liczba podawana przez media. To było tu, na moich oczach, poukładane w sterty i w jeszcze zapieczętowanych kartonach, które wkrótce miał otworzyć: pięćset albo sześćset powieści różnego formatu, które powinny się ukazać między końcem sierpnia a końcem września.

Poznałam François, podczas gdy wykonywał swój zawód. Z początku każde z nas trzymało się swojej roli i potrzeba było paru lat, zanim poznaliśmy się naprawdę.

Kochałam go. Kochałam go z tysiąca powodów, kochałam go również dlatego, że on kochał książki. Kochałam jego ciekawość. Kochałam patrzeć, jak czyta. Kochałam nasze podobieństwa, dzielące nas różnice, nasze niekończące się dyskusje. Kochałam odkrywanie książek wraz z nim, przed nim, dzięki niemu.

Tym razem jednak wszystkie te powieści działały mi na nerwy. Ich okładki, opaski, zapowiedzi wydawnicze drwiły z mojej bezsilności.

Rozłożona przede mną taka ilość papieru wydała mi się nagle czymś bezwstydnym i groźnym.

Miałam ochotę wyrwać mu je wszystkie z rąk, wyrzucić przez okno.

Marzyło mi się, by powiedzieć François, który wspominał czasem o rzuceniu wszystkiego, o wieczorach rozczarowania albo ogromnego znużenia, dobra, ja ci pokażę, przekonajmy się teraz, czy cię na to stać, rzućmy to wszystko, przeprowadźmy się gdzie indziej, stwórzmy siebie od nowa w jakimś innym miejscu, w jakimś innym życiu.

W sierpniu wyjechałam z Louise i Paulem, aby dołączyć do naszych przyjaciół z *domu-na-wakacje*. W chwili gdy piszę te słowa, uświadamiam sobie, że nie zachowałam żadnego wspomnienia domu, który wynajęliśmy tamtego lata, obrazy mi uciekają, mieszają się z innymi, starszymi, nie potrafię odtworzyć sobie tego miejsca ani małego miasta, w okolicach którego się znajdował.

Pamiętam tylko ścieżkę rowerową, którą jeździliśmy na plażę, wiejący w twarz wiatr, który wpadał mi do ust, wrażenie szybkości, którego szukałam, pędząc w dół. Czułam się szczęśliwa, że tu jestem, że nie przegapiłam spotkania z dziećmi i z przyjaciółmi, na kilka dni niepokój wreszcie przycichł.

Po dwóch tygodniach odpoczynku wróciliśmy do domu pociągiem. Kiedy wraz z Louise i Paulem rozlokowaliśmy się w przedziale rodzinnym, zarezerwowanym w TGV, poczułam się tak, jakbym cofnęła się o rok, z dokładnością niemal do jednego dnia, i znalazła za szaro-zielonymi zasłonami w barwach Kolei Francuskich, w przestrzeni przypominającej jota w jotę tę, którą właśnie zajmowaliśmy. W jednej chwili dokładnie ujrzałam na nowo drogę, którą pokonaliśmy we trójkę w tym samym okresie, wracając z *domu-na-wakacje*: piknik na stoliku w naszym przedziale, nową fryzurę Paula, czerwony podkoszulek Louise, ich opaloną skórę. Nagle, zupełnie jakby to było wczoraj, odnalazłam myśli, które chodziły mi wtedy po głowie, gdy tymczasem wzrok wypatrywał przez szybę, wśród umykającego błyskawicznie krajobrazu, punktu zaczepienia. Pomyślałam o François, którego czekał bardzo pracowity rok, pomyślałam o książce, którą zamierzałam napisać, pomyślałam o filmie dokumentalnym

na temat ludobójstwa na Ormianach, który zamówiłam, aby pokazać go dzieciom (w ich żyłach po ojcu płynie krew ormiańska), pomyślałam o zimowym niebie, a potem przewróciłam butelkę z napojem gazowanym, przez co zużyliśmy więcej niż paczkę chusteczek, żeby posprzątać. Wszystko to powracało z osobliwą dokładnością, przypomniałam sobie, że Paul chciał zagrać w zgaduj-zgadulę, jak wtedy, gdy byli mali, ale gra przerodziła się w pokrzykiwania, które nasi sąsiedzi uznali za zbyt hałaśliwe.

Od tamtej podróży minął rok, owszem, okrągły rok, a ja nie zrobiłam nic. Nic. Ciągle tkwiłam w tym samym miejscu. To znaczy niezupełnie. Teraz nie byłam w stanie siedzieć przed komputerem, otworzyć pliku Worda, odpowiedzieć na e-mail, nie byłam w stanie utrzymać pióra dłużej niż cztery minuty ani pochylić się nad białą kartką, czy to w linię, czy w kratkę. Krótko mówiąc, utraciłam podstawowe umiejętności wymagane przy uprawianiu mojego zawodu.

Louise i Paul wyjechali na początku września.

Podobnie jak inni, rozumuję i mówię o latach szkolnych, od września do czerwca, toteż lato jawi mi się jako nawias, martwy sezon, w którym człowiek nic nie musi. Przez długi czas sądziłam, że to jakieś skrzywienie matki, której zegar biologiczny w końcu zlał się w jedno z kalendarzem szkolnym, ale wydaje mi się, że to przede wszystkim kwestia dziecka, które jest we mnie, w nas, a którego życie tak długo poszatkowane było na kawałki: uporczywe piętno w postrzeganiu czasu.

Rozpoczynał się rok szkolny. Pora nowych przyborów i dobrych postanowień. Chwila, kiedy wszystko się zaczyna albo zaczyna na nowo.

Tylko że nie krążyła ani jedna cząsteczka powietrza i wszystko zdawało się zastygłe.

Tym razem nie obiecałam sobie, że zabiorę się z powrotem do pracy. Odsunęłam od siebie nawet samą ideę pisania. Nie miałam już najmniejszego pomysłu, jaką postać mogłoby ono przybrać, moje ciało wyrzuciło z pamięci tamte wrażenia, które tak lubiłam, zmęczenie i ekscytację, całe godziny przesiedziane w kręgu światła, palce na klawiaturze, zesztywniałe ramiona, nogi leżące na stole.

Dzieci wyjechały, a ja znów zostałam sama w domu. Do nieobecności Louise i Paula doszła nieobecność L., dodatkowa strata, której wagę zaczęłam dostrzegać. Wystarczyło rozejrzeć się dokoła. Na stole w salonie piętrzył się stos korespondencji, ekran monitora pokrywała cienka warstwa kurzu. Żyłam z dnia na dzień, ciągle udając, zabijałam czas najdrobniejszymi zajęciami, przeciągając je, by trwały jak najdłużej, by wypełniały niezgłębioną pustkę, którą bezwiednie stworzyłam wokół siebie w ciągu roku bezczynności.

Zapewne tak właśnie żyją osoby starsze, w pasmie powtarzających się przezornych i drobnych kroczków, powolnych gestów, które wystarczają, by wypełnić pustkę. To nie było wcale aż takie bolesne.

Wyobrażam sobie, że pewnego dnia każdemu z nas zdarza się pomyśleć, iż przypadek nie istnieje. Wyobrażam sobie, że każdy z nas zetknął się z serią zbiegów okoliczności i że nadaliśmy, albo nadałyśmy, im szczególne, nieuniknione znaczenie, które naszym zdaniem tylko my potrafimy odczytać. Któż z nas przynajmniej raz w życiu nie pomyślał, że taki czy inny zbieg okoliczności wcale nie wynika z przypadku, ale przeciwnie, że ma się do czynienia z przesłaniem, w ogromnym światowym zamęcie adresowanym właśnie do niej albo do niego?

Akurat to mi się przytrafiło. W ciągu dwóch, trzech tygodni miałam wrażenie, że przesłanie L., owe wewnętrzne przekonania, które chciała ze mną dzielić, już nie potrzebują jej udziału, aby do mnie dotrzeć: nadal unosiły się w powietrzu, przemieszczały się własnymi sposobami, wybierały nowe nośniki, aby mnie przekonać.

Pewnego wieczoru zadzwonił do mnie reżyser; parę lat wcześniej pracowaliśmy wspólnie nad scenariuszem pełnometrażowego filmu, który mimo różnych źródeł pomocy i zaangażowania rozmaitych organizacji nie ujrzał światła dziennego. Nie zdołano go w pełni sfinansować i projekt zarzucono. Reżyser zaprosił mnie na kawę, aby opowiedzieć o swoich planach. Spotkaliśmy się w kawiarni, w której zwykliśmy załatwiać sprawy służbowe. Czym prędzej przeszedł do sedna: właśnie szuka autentycznej historii do przeniesienia na ekran. To jedyna rzecz, która działa, wystarczy popatrzeć na plakaty, na ilość tych, na których widnieje napis niemal tak dużymi literami jak sam tytuł, że film jest „oparty na prawdziwych

wydarzeniach”, wystarczy poczytać czasopisma, pooglądać telewizję i te hordy wszelkiej maści świadków i królików doświadczalnych, posłuchać radia, aby zrozumieć, czego chcą ludzie.

– Prawda, tylko to jest prawdziwe – doszedł do wniosku.

Wiedział, że odrzucałam rozmaite propozycje przeniesienia mojej ostatniej książki na ekran, rozumiał to, ale jeśli mam jakiś pomysł, jeśli zamierzam o czymś porozmawiać – o jakimś dawnym lub ostatnim wydarzeniu, zapomnianej postaci z powieści – mam dzwonić do niego bez wahania, będzie bardzo szczęśliwy, mogąc znów ze mną pracować.

Wyszłam z kawiarni w ponurym nastroju. A więc to była… prawda, oto czego oczekują ludzie, realności zagwarantowanej etykietką przyklejoną na filmach i na książkach niczym znak jakości albo certyfikat zdrowej żywności na produktach spożywczych, certyfikatu autentyczności. Sądziłam, że ludziom wystarczy, by historie ich ciekawiły, bulwersowały, pasjonowały. Pomyliłam się jednak. Ludzie chcą, żeby to kiedyś gdzieś się wydarzyło, żeby można to było sprawdzić. Chcą przeżyć. Ludzie chcą móc się utożsamiać, odczuwać empatię, w tym celu zaś muszą mieć pewność co do towaru, wymagają minimalnej identyfikacji pochodzenia.

W ciągu kolejnych tygodni za każdym razem, gdy włączałam telewizor, gdy otwierałam czasopismo, gdy pojawiały się nowe plakaty filmowe, miałam wrażenie, że gra toczy się już wyłącznie o to: o realność, prawdziwość, zgodność z prawdą upchnięte do jednego worka, tak jakby to było to samo, *zapakowana partia promocyjna*, której od teraz możemy się już domagać, do której mamy prawo.

W chwili gdy piszę te słowa, nie umiałabym powiedzieć, czy chodziło o prawdziwe zbiegi okoliczności, czy o subiektywną wizję, zafałszowaną przez moją własną obsesję.

Czyż dwadzieścia lat wcześniej, na kilka miesięcy poprzedzających zajście w ciążę, które się opóźniało, nie miałam pewności, że otaczają mnie same ciężarne kobiety? Prawdziwa epidemia, powtarzałam sobie wtedy, tak jakby wszystkie kobiety w wieku rozrodczym w mojej dzielnicy zmówiły się, żeby zajść w ciążę przede mną, zresztą nie dostrzegałam niczego poza nimi oraz ich wystającymi, uroczymi, pełnymi brzuchami.

Tak czy inaczej, wszystkie te znaki zmierzały ku L.

A jeśli L. miała rację? A jeśli L. uchwyciła i pojęła głęboką przemianę w naszym sposobie czytania, patrzenia, myślenia? Jako czytelniczka czy widz nie stanowiłam wyjątku od reguły. Reality show wywoływało u mnie fascynację, do usprawiedliwienia której nie wystarczały własne plany literackie, rzucałam się na plotkarskie pisma za każdym razem, gdy szłam do fryzjera albo dentysty, regularnie chodziłam na filmy biograficzne oraz te nakręcone na podstawie rzeczywistych wydarzeń, a następnie czym prędzej dopadałam internetu, żeby sprawdzić fakty, odkryć prawdziwe twarze, wygłodniała szczegółów, dowodów, potwierdzeń.

A jeśli L. zrozumiała to, czego ja nie chciałam przyznać? Napisałam książkę autobiograficzną, w której pierwowzorami wszystkich postaci są osoby należące do mojej rodziny. Czytelnicy przywiązali się do nich, wypytywali mnie, co się z każdą z nich stało. Zdradzili mi szczególną sympatię do tej czy innej postaci. Czytelnicy zadawali mi pytania na temat realności opisanych zdarzeń. Przeprowadzili własne śledztwa. Nie mogłam tego zignorować. W gruncie rzeczy być może książka zawdzięczała swój sukces wyłącznie temu. Historii prawdziwej albo uznanej za prawdziwą. Bez względu na to, co bym powiedziała. Bez względu na to, jakie środki ostrożności podjęłam, aby stwierdzić, że rzeczywistość jest nieuchwytna, i domagać się własnej subiektywności.

Włożyłam do prawdy jeden palec i sidła się zatrzasnęły.

I od tej pory żadna z postaci, które mogłabym wymyślić, bez względu na ich rangę, historię, rany, nigdy nie byłaby dość dobra. Te stworzone od początku do końca postacie niczym by nie emanowały, nie promieniowały, nie wysyłały żadnych fluidów. Cokolwiek potrafiłabym sobie wyobrazić, wszystkie byłyby i tak małe, skarlałe, bezbarwne, nigdy dość dobre. Bezkrwiste, zbędne, niestąpające po ziemi.

Owszem, L. miała rację. Trzeba się zmierzyć z rzeczywistością.

Wydawca klasyki, dla którego napisałam przedmowę do powieści Maupassanta (to znaczy dla którego L. napisała przedmowę, a ja ją sygnowałam), kilka razy w roku organizował spotkania z czytelnikami w Teatrze Odéon. Gdy ukazało się nowe wydanie tekstu, wydawczyni zadzwoniła do mnie, by się upewnić, czy nie zapomniałam o spotkaniu, którego datę ustaliłyśmy przy podpisywaniu umowy. Spotkanie zaplanowano w niewielkiej sali Rogera Blina na sto miejsc. Miało potrwać około godziny i o ile się zgadzam, miało się rozpocząć od przeczytania przeze mnie na głos fragmentu powieści. Następnie pytania przeprowadzającego wywiad będą dotyczyły lektury tekstu, mojego upodobania do autora, a wszystko po to, by zachęcić ludzi do odkrycia bądź przeczytania na nowo tej mniej znanej powieści Maupassanta.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, moją pierwszą myślą było zadzwonić do L. i poprosić, żeby poszła tam zamiast mnie. Znów odezwała się poczta głosowa. Można by pomyśleć, że ten numer jest zarezerwowany dla mnie i nie będzie używany, dopóki ona nie przestanie się gniewać. Nie zostawiłam wiadomości.

Tym razem ponownie się zobowiązałam, zapowiedź spotkania znalazła się na różnych stronach internetowych, było o wiele za późno, żeby się wycofać. Jeśli się zastanowić, nie istniała możliwość, by poprosić L. po raz drugi o odegranie mojej roli. Znałam sporo osób z wydawnictwa, w dodatku mogli się zjawić czytelnicy, których już spotkałam w księgarni. W tej sytuacji L. zdemaskowano by zaledwie po dwóch minutach.

Poprzedniego dnia przeczytałam na nowo powieść i przedmowę, którą napisała L. Całą noc nie zmrużyłam oka.

W wieczór spotkania przyszłam wcześniej, aby zamienić parę słów z teatralnym doradcą literackim, który miał je poprowadzić. Spróbowawszy

dodać mi otuchy (musiałam mieć wyjątkowo niepewną minę), objaśnił na nowo reguły gry. A potem nadeszła pora, byśmy usiedli na małym podium, naprzeciwko publiczności.

Sala była pełna. Przez jakieś dziesięć minut czytałam na głos fragment powieści. Gdy podniosłam wzrok, dostrzegłam ją.

Siedziała w trzecim rzędzie, ubrana tak jak ja. Nie w podobnym stylu, ale ubrana *dokładnie* tak jak ja: w takie same dżinsy, taką samą bluzkę koszulową, taką samą czarną marynarkę. Jedynie jej botki różniły się kolorem od moich – były nieco ciemniejsze. Miałam ochotę się roześmiać, L. zrobiła mi dowcip, L. się przebrała i postanowiła zabawić się w dublerkę, jak w kinie. L. daje mi do zrozumienia, że w razie kłopotów jest gotowa wskoczyć na scenę i z marszu mnie zastąpić. Dyskretnie puściła do mnie oko, zdaje się, że nikt nie zauważył jej gierki.

Zachowałam dość mgliste wspomnienie prezentacji książki. Moje odpowiedzi były mierne, w miarę upływu czasu zaś miałam coraz silniejsze przeświadczenie, że grzęznę w miałkich, przeraźliwie czczych wywodach. Spoglądałam na L., która znajdowała się teraz pośrodku słuchaczy, mój wzrok mimo woli powracał ku jej skupionej, niewzruszonej twarzy, przypominającej mi o oszustwie, w jakim właśnie się pławiłam. Pomimo jej uśmiechu, pomimo nieustannego kiwania głową (tak jakby dodawała odwagi dziecku, które występuje w szkolnym przedstawieniu na końcu roku) nie mogłam opędzić się od myśli, że jej miejsce jest tu, na podium, i że jej odpowiedzi brzmiałyby nieskończenie stosowniej niż moje.

Po spotkaniu ludzie zostali jeszcze chwilę, nim się rozeszli. Podpisałam parę książek, zamieniłam parę słów. Z daleka widziałam, jak L. przyłącza się do grupki, następnie rozmawia z wydawczynią, która zleciła mi napisanie przedmowy. Zadrżałam. Najwyraźniej nikt jej nie zauważył. Najwyraźniej nikt nie zauważył, że L. jest do mnie podobna albo mnie naśladuje. L. wtapiała się w tłum, nie budząc ani zdziwienia, ani podejrzeń. Wtedy nagle przemknęło mi przez głowę, że wszystko to jest tylko projekcją z mojej strony. Narcystyczną fantazją. Urojeniowym syndromem błędnej identyfikacji. L. nie była ubrana tak samo jak ja, lecz jak większość kobiet w naszym wieku. Kimże ja jestem, za kogo się uważam, by twierdzić, że L. celowo skopiowała mój wygląd? Oto do czego muszę się przyznać: rozwinęłam w sobie w stosunku do niej przesadny lęk. L. była nieco zbyt natrętną przyjaciółką, owszem, ale próbowała mi przecież

pomóc, doradzić, w zamian za co ja z kolei obdarzyłam ją wyłącznie nieufnością i podejrzeniami. Nikt poza mną nie uważał jej za dziwną i tylko ja jedna rzucałam jej niespokojne spojrzenia.

Później, gdy sala opustoszała, poszłam na kieliszek wina z ludźmi z wydawnictwa. Usiedliśmy wokół dużego stołu w kawiarni znajdującej się tuż przy teatrze. Cieszyłam się, że tu jestem, w dobrym towarzystwie, panowała niewymuszona i gorąca atmosfera, czułam się dobrze.

Po jakichś dziesięciu minutach ujrzałam L. przechodzącą pod witryną kawiarni; pomachała do mnie smutno i zniknęła.

Nazajutrz po tamtym wieczorze kilkakrotnie usiłowałam się do niej dodzwonić, ale za każdym razem włączała się poczta głosowa. Pewnego wieczoru L. przysłała mi SMS-a, aby przekazać, że myśli o mnie i że odezwie się, jak tylko „trochę sobie to wszystko poukłada w głowie".

Mieszkałyśmy razem przez wiele tygodni, dzieliłyśmy ze sobą łazienkę i dziesiątki posiłków, starałyśmy się dopasować wzajemnie swoje nastroje, po czym L. odeszła. W moim mieszkaniu nie zachował się po niej żaden ślad, żadna zapomniana część garderoby ani przedmiot, żaden liścik przylepiony do lodówki. Wszystko zabrała, spakowała, nie pozostawiła po sobie nic.

Minął tak jeden, może dwa tygodnie, po których nie ocaliłam żadnego wspomnienia. Ani razu nie włączyłam komputera.

A potem François znów musiał wyjechać za granicę.

Mogłam zadzwonić do przyjaciół, odnowić kontakt, dać znać, że jestem całkowicie dostępna i mam czas, ale zabrakło mi sił. Musiałabym opowiedzieć o L., wyjaśnić, z jakiego powodu się do mnie wprowadziła, z jakiego powodu uzyskała nieograniczony dostęp do mojego komputera, musiałabym się przyznać, że nie jestem w stanie pisać, przyznać do fobii, która wcale nie słabnie. Albo też musiałabym skłamać i oświadczyć, że to ja napisałam tę idiotyczną wiadomość, po której się ode mnie odsunęli.

Zostałam sama, uwięziona w kłamstwie, które nie dawało żadnej możliwości odwrotu.

Pewnego październikowego poranka znalazłam w skrzynce kolejny anonim. W takiej samej kopercie. Poniżej zamieszczam jego treść.

Delphine,
już jako dziecko budziłaś strach. Z daleka czuć od ciebie było kłopoty. Wszyscy to widzieli, wszyscy to mówili. Wszyscy. Nic się nie poprawiło. Wręcz mocno się pogorszyło. Bo teraz paniusia robi za pisarkę.

Tylko że dzisiaj już nikt nie daje się nabrać. Skończył się czas chwały, skończyły się sztuczki, nędzne i brzydkie zagrywki. Już w nikim nie wzbudzisz litości. Codziennie znoszę niepochlebne uwagi na temat twoich publikacji, wszędzie, wśród sklepikarzy, na ulicy, w restauracjach. Wszędzie słyszę kpiny, szyderstwa, nikogo już nie oszukasz. I wszyscy mają to gdzieś. Mają gdzieś twoje opowieści, twoje dowcipy, które śmieszą wyłącznie ciebie. Wiem, że przez całe dzieciństwo i okres dojrzewania byłaś bardzo zamknięta w sobie, wręcz w patologiczny sposób, doskonale o tym opowiadasz. Twoja książka poruszyła tłumy. Ale z tym już koniec.

Upierdliwcy, tacy jak ty, w końcu zawsze żałują. Twoje postępowanie tylko pogarsza chorobę psychiczną. Myślisz, że wystarczy nie pokazywać się w mediach, a wszyscy zapomną, że idziesz do łóżka, żeby coś zyskać? Jesteś raz na zawsze spalona. A najgorsze, że nie zdajesz sobie z tego sprawy.

Włożyłam kartkę maszynopisu z powrotem do koperty i schowałam list wraz z pozostałymi. Niepokój rozlał się po mieszkaniu niczym kałuża krwi.

Nie mogłam już dłużej zaprzeczać, że listy mnie ranią, kalają.

Nie powiedziałam nic François ani nikomu innemu.

Nie wspomniałam ani słowem o bezustannym ucisku w klatce piersiowej, ani o tym, że tuż po przebudzeniu do brzucha wdziera mi się kwaśny płyn, który rozlewa się potem po całym ciele.

Kilka dni później w metrze usiadło naprzeciwko mnie dwóch nastolatków, którzy właśnie wyszli z kina. Jeden z nich tłumaczył drugiemu, że zgodnie

z tym, co wyczytał w AlloCiné, film, który dopiero co obejrzeli, jest bardzo bliski rzeczywistości: prawie wszystko jest w nim prawdziwe. Drugi przytaknął, po czym się zdziwił.

– Widziałeś, ile robią filmów na podstawie prawdziwych historii? Można by się zastanowić, czy tym gościom nie brakuje pomysłów!

Pierwszy myślał przez chwilę, po czym rzekł:

– No nie… To głównie dlatego, że rzeczywistość ma jaja, żeby iść dużo dalej.

Usłyszawszy właśnie to zdanie, osłupiałam, to zdanie w ustach piętnastoletniego dzieciaka, wbitego w najki, które wyglądały tak, jakby je wyprodukowano do chodzenia po innej planecie, to jakże banalne w swej treści, lecz wypowiedziane w tak szczególny sposób zdanie: rzeczywistość ma jaja. Rzeczywistość jest wyposażona w wolę, we własną dynamikę. Rzeczywistość jest owocem siły wyższej, nieskończenie bardziej twórczej, zuchwałej, o wyobraźni większej niż wszystko, co potrafimy wymyślić. Rzeczywistość jest szeroko zakrojoną intrygą, sterowaną przez demiurga, którego potęga nie ma sobie równych.

Innego wieczoru, wróciwszy do domu, poczułam w progu zapach L. Uznałam, że to przypadek albo być może omam węchowy.

Gdy otworzyłam drzwi do mieszkania, światła miasta zalewały część salonu, meble zaś rzucały cienie na podłogę. Nie od razu zapaliłam lampę i zapewne odniosłam wrażenie, że jestem obserwowana, bo natychmiast wyjrzałam przez okno. Wydawało mi się, że na klatce schodowej budynku naprzeciwko dostrzegam jakąś postać. Podczas gdy wzrok przyzwyczajał się powoli do ciemności i próbował się w niej rozeznać, odczucie to przerodziło się w pewność. Ktoś stał tam w całkowitym bezruchu, światło na czujkę na schodach było zgaszone, osoba ta uważała więc, że nikt nie może jej zobaczyć. Z tej odległości nie dało się rozróżnić twarzy ani zyskać pewności, czy to mężczyzna czy kobieta.

Zastygłam tak na krótką chwilę ze wzrokiem utkwionym w ciemność, usiłując dojrzeć jakiś znak, ubranie, budowę ciała. A potem postać wycofała się i zupełnie zniknęła.

Zaciągnęłam zasłony i znieruchomiałam na moment za nieprzezroczystą tkaniną, wypatrując przez maleńką szparę powrotu

postaci. Ona jednak się nie pojawiła.

Nazajutrz rano, wyjrzawszy przez okno w świetle dnia, zaczęłam się zastanawiać, czy mi się to nie przyśniło. Wszystko wydawało się tak bardzo zwyczajne.

Godzinę czy dwie później, udając się na targ przy boulevard Richard-Lenoir, przewróciłam się na schodach. Trudno mi opisać ten upadek. Chyba po prostu zapomniałam, że właśnie schodzę po stopniach. W ciągu ułamka sekundy (króciutkiej chwili rozkojarzenia) postawiłam jedną stopę przed drugą, jakbym poruszała się po płaskiej powierzchni. Wylądowałam ze dwadzieścia stopni niżej, na dolnym piętrze, z głuchym łoskotem. Po kilku minutach stwierdziłam, że nie mogę się podnieść. Jedna z sąsiadek wezwała straż pożarną. Zaparkowali wóz przed budynkiem i uparli się, żebym położyła się na noszach. Przetransportowali mnie do wnętrza pojazdu, wokół którego zdążyła się już zgromadzić grupka gapiów, trzymana na dystans przez jednego z mężczyzn. Kiedy drzwi się zamykały, dostrzegłam wyłaniającą się z gromadki L. z przerażoną miną. Strażacy poinformowali ją, że zabierają mnie do szpitala Saint-Louis, zawołała, że biegnie po samochód i jedzie za mną.

W tamtej chwili nie zastanawiałam się, jakim cudem wyskoczyła ot tak, jak na zawołanie. Uszczęśliwił mnie widok znajomej twarzy, kogoś, kogo nie musiałam wzywać na pomoc, kto zjawił się w samą porę, kto napatoczył się znikąd jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

L. dotarła na ostry dyżur pół godziny później. Normalnie bliscy nie mają wstępu na salę zabiegową, L. udało się jednak wkrótce przekonać kogoś, żeby pozwolił jej przekroczyć stalowe drzwi, aby mogła przy mnie zostać. Nie omieszkała też znaleźć krzesła i usiąść obok noszy, na których leżałam. Zapytałam ją, jak się tu dostała, ona zaś wyjaśniła, że powiedziała lekarzowi dyżurnemu, iż mam głęboką depresję, toteż lepiej, by została przy mnie i dodała mi otuchy. Nie wiem, czy to był dowcip, czy naprawdę tak myślała. Tak czy inaczej, znałam jej siłę przekonywania.

Bardzo bolała mnie noga, ale co do reszty, nie licząc paru drobnych stłuczeń, wszystko wydawało się w porządku. Ostry dyżur był nie do końca ostry, długo czekałam, zanim zawieźli mnie na prześwietlenie. Przez cały czas L. była przy mnie. Nie widziałam jej od wielu tygodni i muszę przyznać, że jej widok sprawił mi przyjemność. Toczone przez nas ostatnio dyskusje odeszły w cień i nie potrafiłam naprawdę się na nią złościć.

W tamtej chwili chyba całkowicie pogodziłam się z tym, że L. jest dziwna, neurotyczna, nieobliczalna, nieprzewidywalna, chociaż nie uświadamiałam sobie skali zagrożenia. Znałam pewną liczbę dziwnych, neurotycznych, nieprzewidywalnych, nieobliczalnych ludzi i bez wątpienia sama byłam dziwna, neurotyczna, nieprzewidywalna i nieobliczalna. Poza tym być może moje podejrzenia w stosunku do niej były bezpodstawne. Owszem, w nadziei na ułatwienie mi skupienia się pozwoliła sobie rozesłać e-maile do moich przyjaciół. Być może nie zdawała sobie sprawy z wagi tego gestu. Wcale jednak nie byłam pewna, czy chcę się z nią pogniewać na dobre z tego powodu. Bo przecież istniała cała reszta. To, co dla mnie zrobiła. Przez wiele tygodni L. ofiarowywała mi pomoc, obecność i otuchę.

Tym razem także, siedząc przy mnie, znów dowiodła, że potrafi zrozumieć, podnieść na duchu, znaleźć właściwe słowa. W ciągu kilku minut odnalazłyśmy wspólny język, który nas łączył.

Właśnie w czasie tego oczekiwania L. po raz pierwszy zaczęła mi się zwierzać.

Sama nie wiem, jak doszło do tej rozmowy, zapewne gawędziłyśmy o szpitalach, szpitalnym życiu, L. zaś wspomniała o tym, że spędziła wiele miesięcy w klinice psychiatrycznej. Zadawałam jej pytania. Z początku kluczyła, potem jednak opowiedziała wszystko. Nazajutrz po pogrzebie męża straciła zdolność mówienia. Ot tak, z dnia na dzień. Bez znaków ostrzegawczych. Pewnej nocy obudziła się obolała i zdyszana. Miała gorączkę. Pod pościelą czuła gorąco bijące od własnego ciała. Pomyślała, że złapała grypę albo innego wirusa, leżała w łóżku, czekając, aż nadejdzie dzień. Spoglądała przez okno, jak w okolicznych budynkach zapalają się światła, a kolor nieba z czarnego zmienia się powoli w szary. Kiedy zadzwonił budzik, wstała, żeby zaparzyć herbatę. I wówczas, będąc sama w kuchni, spróbowała coś powiedzieć. Tak jakby już przeczuwała, co się z nią dzieje. Z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. W łazience przejrzała się w lustrze. Umyła zęby. Otaksowała wzrokiem podniebienie, wymacała węzły chłonne na szyi. Spróbowała zakasłać. Nic, nawet pomruku. Nie miała rozpalonego gardła, węzły chłonne nie były powiększone. Spędziła cały dzień w domu, w ogóle nie wychodziła. Wielokrotnie usiłowała mówić, nie zdołała jednak wydać żadnego dźwięku.

Po kilku dniach członkowie rodziny zaniepokoili się brakiem wiadomości. Ktoś zawiózł ją do kliniki, nie pamięta kto.

Została tam sześć miesięcy. Miała dwadzieścia pięć lat. Starała się, jak tylko mogła, nie połykać lekarstw, które jej podawano. Zamknęła się w milczeniu: tak jakby w gardle utkwił jej kłąb gęstej waty, urósł tam, a następnie całą ją otulił. Łagodna i zwarta materia, która ją chroniła.

Pewnego dnia zrozumiała, że nie może zostać niema do końca życia. Że będzie musiała przebyć tę drogę i cofnąć się aż do początku, by odzyskać mowę. Że będzie musiała się z tym zmierzyć. Przez wiele dni wprawiała się sama w mówieniu, nocą, pod kołdrą. Szeptała, wypowiadała cichym głosem krótkie słowa, zasłaniając usta dłońmi, żeby jej nikt nie usłyszał.

Hello.

Jest tam kto?

Tak.

Ja.

L.

Żyję.

Potrafię mówić.

Ciepło jej oddechu w dłoniach. Słowa zebrane jedno po drugim, powolutku. Wtedy przekonała się, że odzyska mowę i że nigdy więcej nie przestanie mówić. Wypowiedziała nowe wyrazy.

Po raz pierwszy odezwała się pewnego wtorku. Pielęgniarka właśnie weszła do jej sali, przynosząc śniadanie. Słońce świeciło w okno, kraty zaś rzucały cień na ścianę przy łóżku. Młoda kobieta przemawiała do niej tym radosnym tonem, który słychać w szpitalach, klinikach czy domach starców, wszędzie tam, gdzie ludzie w pełni sił opiekują się ludźmi bezbronnymi. Postawiła tacę na stoliku na kółkach.

L. przyglądała się jej krzątaninie. Miała ochotę coś powiedzieć. Nagle powróciło wspomnienie wiersza, którego się nauczyła.

– Tyle śniłem o tobie, że ręce obejmujące twój cień i wzwyczajone do krzyżowania się na piersiach nie potrafiłyby już może nagiąć się do konturów twojego ciała.[3]

Wówczas pielęgniarka znieruchomiała i rzekła tym samym tonem: czy to nie cudowne? Odzyskała pani głos. Chciałaby się uśmiechnąć, ale się

rozpłakała. Nie szlochała, po policzkach płynęły jej tylko ciche, mimowolne łzy.

Jean umarł, lecz ona nadal żyła.

L. skończyła swoją opowieść. Jej wzruszenie było namacalne.

Przez sześć miesięcy życia nie powiedziała ani słowa. Czułam, jak bolesne jest owo wspomnienie.

Chyba właśnie w tamtej chwili po raz pierwszy myśl ta przemknęła mi przez głowę.

Z powodu owej opowieści, owego pierwszego wyznania.

Podczas gdy wokół nas nieustannie zjawiali się ludzie zranieni, ułomni, przerażeni, ludzie, którzy cierpieli, których życie się zawaliło, po raz pierwszy przemknęła mi przez głowę myśl, żeby napisać o L.

Był to projekt sam w sobie. Przygoda. Powinnam przeprowadzić śledztwo, a to nie będzie takie proste. L. niełatwo się zwierzała. Umiała strzec swych tajemnic.

Znienacka jednak wszystko zaczęło się wyjaśniać. Wszystko zaczęło nabierać sensu. Nasze osobliwe poznanie, szybkie tempo, w jakim zajęła tak wiele miejsca w moim życiu, a nawet upadek ze schodów. Znienacka fragmenty układanki trafiły na swoje miejsce, odnalazły sens istnienia.

Znienacka zaczęłam myśleć wyłącznie o tym: powieści o L. O tym, co o niej wiem. O jej fantazjach, lękach. O jej życiu.

To było oczywiste. Nieuniknione.

Miała rację. Nie czas tworzyć całkowicie zmyślone postacie, które będą się miotać w próżni, biedne zużyte marionetki.

Nadeszła pora, by opowiedzieć o prawdziwym życiu.

Natomiast jej życie przypominało powieść bardziej niż moje.

Kiedy robili mi prześwietlenie, L. wróciła do poczekalni. Rentgen wykazał złamanie piątej kości śródstopia bez przemieszczenia.

Nieco później opuściłam szpital ze stopą unieruchomioną przez szynę, która sięgała aż do kolana.

L. podstawiła samochód. Zrezygnowałyśmy z karetki, na którą musiałybyśmy czekać jeszcze co najmniej godzinę.

Ostrożnie pomogła mi wsiąść z przodu. Zatrzymałyśmy się przed apteką, żeby kupić środki przeciwbólowe i kule przepisane przez szpitalnego lekarza.

Zdaniem medyków powinnam nosić szynę przez minimum cztery tygodnie i nie stawać na stopie.

Zająwszy miejsce w samochodzie, L. zamilkła. Po chwili zauważyła, że przy sześciu piętrach bez windy, przy nieobecności François moje życie może się naprawdę skomplikować. Już samo wspięcie się na górę przy opieraniu się tylko na jednej stopie nie będzie wcale takie proste. W dodatku kiedy już tam dotrę, nie będzie mowy o ponownym zejściu. Dla kogoś takiego jak ja, kto nie znosi siedzenia w domu przez cały dzień, zapowiadał się trudny okres.

Sama już nie pamiętam, w jaki sposób podsunęła pomysł, żeby wyjechać do Courseilles, jestem jednak pewna, że ów pomysł wyszedł od niej, nie ode mnie. Dla mnie Courseilles było przede wszystkim terytorium François. Wprawdzie przez ostatnie lata nie szczędził wysiłków i starań, abym dobrze się tam czuła (istotnie, pewien wyjątkowo piękny pokój na parterze zamienił w mój gabinet), nadal uważałam jednak, że to miejsce należy do niego, że wibruje jego energią. Nigdy nie jeździłam tam bez niego.

Z pewnością to jeden z powodów, dla których gdy do niego zadzwoniłam, żeby opowiedzieć o wypadku i zapytać, czy mogę zamieszkać na jakiś czas w Courseilles, ledwie minął mu niepokój, François natychmiast się do tego zapalił. Ależ tak, to znakomity pomysł, zwłaszcza jeśli nie jestem sama. Dom stoi płasko na ziemi i mam w nim miejsce do pracy. Niestety, on nie może wrócić wcześniej (wyjechał z czteroosobową ekipą, loty, plan zdjęć, spotkania z pisarzami zostały ustalone dawno temu), ale byłby spokojniejszy, wiedząc, że jestem tam z przyjaciółką, a nie sama w swoim mieszkaniu, zamknięta na szóstym piętrze. Skoro miałam klucze, nie pozostało nam nic innego jak ruszyć w drogę. W czasie tej rozmowy François kilkakrotnie powracał z niepokojem do mojego upadku: ale jak ja to *zrobiłam?* Pomyślałam, że nic nie zrobiłam, absolutnie nic. Za to teraz mam plan. Szeroko zakrojony plan. Nie porzuciłam bowiem pomysłu napisania o L., cieszyła mnie więc perspektywa wspólnego wyjazdu na wieś, tego, że będzie pod ręką.

Pod koniec rozmowy François zapytał po raz kolejny, z kim jadę, a gdy wymówiłam po raz drugi imię L., zapadła krótka cisza. Przykazał, żebym zachowała ostrożność, sądziłam, że ma na myśli wyłącznie czekającą nas drogę i moją unieruchomioną stopę.

Kiedy się rozłączyłam, L. odstawiła mnie do kawiarni pod moim domem, abym się nieco rozgrzała, zanim ona zorganizuje nasz wyjazd. Zaproponowała, że sama wstąpi do mieszkania, aby zabrać trochę rzeczy. Zgodziłam się. Byłam wyczerpana upadkiem, godzinami spędzonymi na ostrym dyżurze, bólem, który znów zaczynał napływać falami. Nie miałam siły wspiąć się na szóste piętro.

Powiedziała, że skorzysta z okazji, aby podlać kwiaty i przykręcić ogrzewanie. Następnie pojedzie do hotelu po swoje rzeczy.

Siedziałam w kawiarni ponad godzinę, może nawet jeszcze dłużej. Byłam oszołomiona. Pamiętam, że wielokrotnie spoglądałam na zegarek.

A potem znów ujrzałam samochód L. zatrzymujący się przed witryną. L. pomachała na znak, że wysiądzie i wejdzie po mnie do środka.

Wszystko było gotowe.

Niezwłocznie ruszyłyśmy przed siebie.

Przy wyjeździe z Paryża panował lekki tłok. Kiedy tak posuwałyśmy się naprzód, chociaż nie zadałam ani jednego pytania, L. opowiedziała mi, jak pewnego wieczoru, podczas strajku komunikacyjnego, gdy miasto zostało sparaliżowane, poznała męża. W korku jakiś mężczyzna zapukał w okno jej samochodu. Wiedziona nieco absurdalnym odruchem, podniosła szybę i pojechała aż do świateł. Mężczyzna zrównał się z nią, przez chwilę myślała, że zacznie od nowa, lecz on wsiadł do innego auta. Wtedy uśmiechnął się ironicznie, ona zaś zawstydziła się własną reakcją. Zapewne z tego właśnie powodu odrobinę dalej wpuściła kolejnego autostopowicza. Wysoki, starszy niż z początku sądziła, wśliznął się na siedzenie obok, a następnie zaczął ją obserwować. Od razu owionęła ją woń tego mężczyzny, mieszanina tytoniu i skóry. Jechali przez chwilę bez słowa. Później zaparkowali w wąskiej uliczce, weszli razem do paryskiego hotelu, w którym niemal wszystkie pokoje były puste. L. pragnęła Jeana. Od chwili gdy zajął miejsce w jej aucie, od chwili gdy poczuła jego zapach. Już od świtu wiedziała, że z nim zostanie. Albowiem nagle wydało jej się, że

wszystko, co się do tej pory wydarzyło, nigdy nie istniało. Ona miała dziewiętnaście lat, on dwadzieścia osiem.

Przerwała na moment opowieść. Pamiętam, zwróciłam jej uwagę, że było to spotkanie jak z powieści albo z filmu. Jestem przekonana, że w tamtej chwili nie miałam na myśli nic konkretnego.

Podczas gdy samochód mknął po drodze krajowej, ja zaś mimowolnie pilnowałam licznika, nie przestałam zadawać pytań. L. po raz pierwszy odpowiadała. Dowiedziałam się, że przeżyła z Jeanem sześć lat. A potem on umarł. Kiedy się poznali, Jean był chirurgiem szczękowym. Prowadził praktykę wspólnie z dwoma dentystami. Na kilka miesięcy przed ich ślubem wynajęli razem mieszkanie. Następnie, po roku czy dwóch latach, Jean zrezygnował z działalności. Studiował sześć albo siedem lat, ale chirurgia szczękowa przestała go interesować. Kiedy L. zaczęła tyrać jak wół, Jean pracował jako goniec, potem jako barman. Mówił o otworzeniu w ich dzielnicy delikatesów albo też sklepu z antykami. A potem pojawiła się kwestia wyjazdu na stałe za granicę. A potem nie było już w ogóle żadnych kwestii. U jej boku Jean powoli zatopił się w niemym smutku, z którego groźby nie zdawała sobie sprawy.

Jechałyśmy w milczeniu dziesięć minut. Następnie L. opowiedziała mi o śmierci męża. Myślę, że wybrała ten moment, ponieważ nie było możliwości, żebyśmy znalazły się twarzą w twarz. Zauważyłam to wcześniej u Louise i Paula: kiedy byli młodsi, mówili do mnie, gdy szliśmy ulicą, gdy siedzieliśmy obok siebie w metrze, w pociągu albo gdy szykowałam posiłek. W okresie ich dorastania nasze najpoważniejsze rozmowy odbywały się właśnie tak, kiedy pochłaniało nas bardziej lub mniej coś innego.

Rozmyślałam o tym teraz, gdy pędziłyśmy drogą N12, L. zaś rozpoczęła opowieść, której zawsze unikała: to dlatego, że nie siedziałyśmy twarzą w twarz, dlatego, że mogłam zobaczyć wyłącznie jej profil, zdołała wreszcie opowiedzieć mi o śmierci męża.

L. kochała góry. Odosobnienie, mierzenie się z żywiołami. Ona i Jean często wyjeżdżali tam razem. Od dawna planowała spędzić kilka tygodni w chacie w sercu Alp, z dala od wszystkiego. Kiedy obchodzili trzecią rocznicę ślubu, zaproponowała Jeanowi, aby pojechał wraz z nią. Nie miał

ochoty, lecz ona nalegała. Sądziła, że to go może wyrwać z odrętwienia, że to da im szansę, aby się odnaleźć. W końcu się zgodził. Jean pozwolił się wciągnąć w przygotowania, sam dokonał poszukiwań, aby się dowiedzieć, co powinni ze sobą zabrać. Zgromadzili zapasy, aby zachować całkowitą samowystarczalność, ubrania, śpiwory, kuchenkę turystyczną na gaz, produkty liofilizowane, wszelkiej maści konserwy. Po minięciu ostatniej wioski trzeba było dnia marszu, aby dotrzeć do chaty. Jean chciał wziąć karabin, na wypadek ataku przez dzikiego zwierza. Klient baru pożyczył mu broń.

Wyruszyli w jasny i słoneczny dzień. Szałas składał się z jednego dużego pomieszczenia wyposażonego w piec i okna oraz z małej sypialni bez widoku na zewnątrz.

Zewsząd otaczał ich śnieg. I cisza, rozdzierana odgłosami, które stopniowo nauczyli się rozpoznawać. Byli sami, daleko od wszystkiego. Czas wlókł się, niepodobny do niczego, co dotąd znali.

Po tygodniu Jean chciał wracać. Czuł się źle, przytłoczony. Pragnął odnaleźć miasto, szum samochodów, ryk klaksonów, krzyki. L. nie miała jednak wcale ochoty rezygnować. Przyrzekli sobie, że wytrzymają tak długo, jak długo wystarczy im zapasów. Pragnęła doprowadzić eksperyment do końca.

Jean chciał wyjechać. Powiedziała, żeby zszedł bez niej, wystawiła na próbę jego lojalność. Wygłosiła nieco cierpką uwagę (w chwili gdy L. wspomniała o tym szczególe, głos jej się załamał), nie była już zbyt pewna słów, jakich wtedy użyła, w każdym razie zabrzmiały one ostro, L. po raz kolejny zarzuciła mu, że wystawia ją do wiatru.

Jean został.

Codziennie wychodzili na zewnątrz i maszerowali na rakietach. Sporo czytali. Przestali się kochać. Wieczorami zasypiali od razu, wyczerpani z powodu zimna. Mimo pieca toczyli bezustanną walkę z chłodem. Walkę, która oszukiwała czas. W końcu L. zapomniała, że Jean źle się czuje, bo Jean nie czuł się już aż tak źle.

Pewnego wieczoru powiedział nawet, że jest szczęśliwy.

Przez kilka dni trwała tak gwałtowna zamieć, że nie mogli wyjść. Zostali w środku, warstwa szronu na szybach ciągle rosła. Przez kilka dni nie słyszeli nic oprócz wycia wiatru i dźwięku własnych głosów. Wtedy

wpadła jej do głowy potworna myśl, od której nie zdołała się już opędzić. Przestała darzyć miłością mężczyznę, którego wcześniej pokochała.

Czwartego dnia, kiedy zamieć wreszcie ustała, L. wyszła się przewietrzyć. Zostawiła Jeana w szałasie skulonego pod śpiworami. Podążała sama w stronę lasu, gdy wtem za jej plecami rozległ się łoskot. Ciszę rozdarł huk wystrzału, lecz już po kilku sekundach nic po nim nie zostało. Żadne echo. Zastanawiała się, czy się nie przesłyszała.

Po powrocie do chaty natknęła się na ciało Jeana. Tak naprawdę nie był to już wcale Jean, ponieważ brakowało mu głowy. Rozerwało ją, wszędzie zaś była krew. L. spojrzała na swoje stopy, po czym cofnęła się, pojąwszy, że nadepnęła właśnie na fragment czaszki męża. Czarne włosy były posklejane od krwi.

Wrzasnęła, lecz nikt jej nie usłyszał.

Kiedy L. skończyła swą opowieść, przez kilka minut nie mogłam wydobyć z siebie głosu. Chciałam znaleźć jakieś wzruszające, pocieszające słowa, odpowiednie dla wyznania, które dopiero co uczyniła.

W końcu wykrztusiłam:

– Ależ musiałaś cierpieć.

L. uśmiechnęła się.

– To było dawno temu.

Jechałyśmy dalej w milczeniu, zapadał zmrok.

Gdy dotarłyśmy na miejsce, zaczekałam, aż L. wysiądzie z samochodu i otworzy bramę. Przyglądałam się w blasku reflektorów, jak odciąga jedno skrzydło po drugim, silnym, energicznym gestem, *to ona dzierży klucze*, pomyślałam sobie, zdanie, które wyłoniło się z zakamarków mojej pamięci albo z kart powieści kryminalnej, a którego podwójne znaczenie wcale mi nie umknęło. Kiedy skończyła, odwróciła się ku mnie z triumfalną miną, naelektryzowane włosy tworzyły wokół jej twarzy lśniącą aureolę. Następnie wsiadła z powrotem do auta.

L. chwyciła kierownicę, aby zaparkować przed domem, i oświadczyła, że ogród to pole minowe. Istotnie, w wielu miejscach, w części biegnącej wzdłuż ulicy, wykopano głębokie dziury, aby zainstalować system

kanalizacji. Prace obejmowały całe miasteczko, czerwone zapory to tu, to tam obwieszczały obecność placu budowy.

L. otworzyła drzwi wejściowe, po czym wniosła nasze bagaże do środka. Oprowadziłam ją po parterze, za to pozwoliłam samej zwiedzić piętro, nie opanowałam jeszcze bowiem poruszania się o kulach wystarczająco dobrze, aby podążyć za nią.

Postanowiłyśmy rozlokować się w dwóch pokojach dla gości na dole. Schody wiodące do sypialni, którą zwykle zajmowaliśmy z François, wydawały mi się zbyt niebezpieczne.

W spiżarni znalazłyśmy zupy w kartonach i makaron.

Położyłam się wyczerpana zaraz po kolacji.

Nazajutrz pokazałam L. drogę do najbliższego sklepu Intermarché. Sporządziłyśmy wspólnie listę zakupów, które pozwoliłyby nam przetrwać dobry tydzień.

Po wyjściu L. otworzyłam drzwi do mojego gabinetu, pokoiku na parterze, po przeciwnej stronie domu. Podkręciłam ogrzewanie do maksimum. Rozsunęłam zasłony. Przez okno mogłam dostrzec bramę, którą L. starannie zamknęła. Niebo w kolorze cementu wisiało nisko, wydawało się, że nic nie jest w stanie go rozedrzeć.

Poczułam wewnątrz mojego ciała, moich dłoni bicie, znajome pulsowanie, jakiś żar, nadzieję, którą mógł zniweczyć najdrobniejszy sygnał pośpiechu.

Nie próbowałam włączyć komputera ani wziąć do ręki kartki czy ołówka. Powoli usiadłam. Przysunęłam krzesło do stołu. Wówczas zamiast usiłować pisać, wpadłam na pomysł posłużenia się dyktafonem w telefonie komórkowym.

Nagrałam pierwsze spotkanie L. z mężem, a następnie śmierć Jeana, tak, jak mi wcześniej opowiedziała, ze wszystkimi szczegółami, które sobie przypomniałam.

Dyktowałam tę opowieść tak, jakbym ją pisała, zdanie po zdaniu.

Kilkakrotnie dokonywałam poprawek, chcąc odnaleźć słowa L. i nadać im kształt.

Opowieść L. prześladowała mnie przez część nocy. Rozbrzmiewała we mnie, jakbym ją znała, jakbym ją już kiedyś słyszała.

Kwestia samobójstwa (oraz tego, jaką bezsilność, poczucie winy i wyrzuty ona wywoływała) ciągle pozostawała dla mnie bolesna. Opowieść L. obudziła na nowo przerażenie, jakie ogarnęło mnie, gdy kilka

lat wcześniej znalazłam ciało matki, i wspomnienie owych kilku przesyconych adrenaliną tygodni, jakie potem nastąpiły.

Lecz to nie było to. Nie tylko to. Coś znajomego, czego nie potrafiłam wytłumaczyć, wciąż mnie dręczyło.

L. często dawała do zrozumienia, że istnieją ból i rany, o których nigdy mi nie mówiła. Tym razem odkryła przede mną część historii, wyjaśniającą parę kwestii, które o niej wiedziałam: samotność, w jakiej żyła, przyjaciele, którzy się od niej odsunęli i przestali przychodzić na urodziny, pewnego rodzaju obcesowość w jej sposobie bycia.

L. miała zapewne w zanadrzu sporo kolejnych opowieści, nietkniętych skamielin ukrytych w mule pamięci, trzymanych w tajemnicy historii chronionych przed światłem.

Coś, o czym można by napisać. O czym trzeba by napisać.

Skorzystałam z nieobecności L., aby za pomocą aplikacji Dyktafon nagrać kolejne zapamiętane przeze mnie elementy, rozsiane w trakcie wspólnych rozmów. Było ich sporo. Kilka porozrzucanych fragmentów łamigłówki, z której złożoności zdawałam sobie sprawę.

Ależ tak, wkrótce będę pisać. Jeśli to konieczne, na głos.

Zacznę od opowieści o tamtym przyjęciu, kiedy mnie zaczepiła, i o wszystkim, co potem nastąpiło.

Opiszę moje zauroczenie L. i ową dziwną więź, jaka się między nami zrodziła.

Znajdę sposób, żeby skłonić ją do mówienia. Żeby wydobyć z niej zwierzenia.

Spróbuję się dowiedzieć, kim jest ta, która powiedziała mi kiedyś: „Mogłabym dokończyć za ciebie każde zdanie” albo „Ja cię nie poznałam, ja cię rozpoznałam”.

Brama otworzyła się akurat w chwili, gdy wymieniałam pytania, jakie według mnie powinnam jej zadać. Kiedy L. podjeżdżała pod dom, sprawdziłam, czy plik audio z moim głosem na pewno znajduje się wśród nagrań. Następnie zamknęłam za sobą drzwi i skierowałam się ku niej.

L. się uśmiechała. Bagażnik pękał w szwach od żywności; pomyślałam, że miała rozmach albo zaplanowała kilkutygodniowy pobyt.

Wsparta na kulach, nie mogąc pomóc, przyglądałam się, jak wyjmuje paczki. Kiedy udała się do kuchni po raz kolejny, chwyciłam z bagażnika ostatnią torbę, która wydała mi się lekka. L. wróciła do auta.

– Nie możesz usiedzieć spokojnie nawet dwóch minut! I po co tu przyszłaś, sama świetnie sobie dam radę! Nie chcę, żebyś mi się kręciła pod nogami.

Zamknęła bagażnik i podała mi kulę, którą oparłam wcześniej o drzwi. Z dziwnym śmiechem, którego dotąd u niej nie słyszałam, dodała:

– Bo inaczej złamię ci drugą stopę.

Zaczekałam na według mnie właściwy moment, aby zapytać, z jakiego powodu znalazła się pod moim domem w dniu, kiedy spadłam ze schodów. Wytłumaczyła mi, co się wtedy wydarzyło. Otóż gdy szła ulicą, unieruchomił ją na kilka minut przeszywający ból w stopie. A potem przeleciała jej przez głowę oczywista myśl: coś mi się stało. Przeczucie albo raczej pewność, wyjaśniła, dlatego postanowiła czym prędzej się ze mną zobaczyć. Na rogu ulicy natknęła się na wóz strażacki.

Z rozmaitych powodów należę do osób skłonnych uwierzyć w taką opowieść bez szukania bardziej racjonalnego wytłumaczenia. W dniu, kiedy Paul złamał rękę w samym środku ferii wielkanocnych (na osiedlowym placu zabaw na moich oczach spadł z drabinek), Louise, która przebywała u przyjaciółki z klasy, poprosiła jej matkę, żeby do mnie zadzwoniła. W samym środku popołudnia kilkaset kilometrów dalej, siedząc przy stole nad drożdżówką i słoiczkiem nutelli, powiedziała do tej kobiety: Paul zrobił sobie krzywdę, muszę zadzwonić do mamy.

Innym znów razem, gdy bliźniaki były jeszcze malutkie i spały w tym samym pokoju, Paul zaczął wrzeszczeć w środku nocy. Osobliwy krzyk, niepodobny do żadnego innego. Wchodząc do pokoju, zapaliłam światło. Paul płakał, lecz to twarz Louise pokrywały krosty.

Nawet dzisiaj Louise nie musi ustawiać specjalnego dzwonka w telefonie dla brata, by wiedzieć, że to on do niej dzwoni.

Nie jestem w stanie sobie przypomnieć, czy opowiedziałam L. którąś z tych historii. Tak czy inaczej, uwierzyłam jej na słowo.

W porze obiadu oznajmiłam L., że zaczynam pracę nad projektem książki, która odwoływałaby się do mojej konstrukcji intelektualnej, uczuciowej, emocjonalnej. Nad czymś bardzo osobistym.

Nie, nie mogę powiedzieć nic więcej z obawy, że zniweczę ten niespodziewany zapał.

Owszem, to ma być bardzo autobiograficzny tekst.

Ujrzałam, jak twarz L. się rozpromienia. Nagle jej rysy złagodniały, a ponieważ nie zdołała powstrzymać uśmiechu zadowolenia, czym prędzej dodałam, że na radość ze zwycięstwa jeszcze za wcześnie.

Przyznałam się przed L., że nadal nie potrafię włączyć komputera ani nawet robić notatek na kartkach. Ręce zaczynają mi drżeć już na samą myśl o wykonaniu choćby jednej z tych czynności. Ale to się zmieni. Czułam to. Byłam pewna, że wszystko wróci do normy, jak tylko trwale się zaangażuję w nowy tekst, to kwestia czasu. Tymczasem będę działać inaczej. Wyjaśniłam, że spróbuję pisać na głos, codziennie, dopóki nie będę w stanie znów utrzymać pióra. Jako że ma to być rodzaj spowiedzi, introspekcji, w pierwszej chwili poprzestanę na nagraniu pierwszego strumienia, począwszy od którego mogłabym znów pracować, kiedy poczuję się lepiej.

L. była wniebowzięta. Szalała z radości.

Zwyciężyła.

W ciągu godzin, jakie nastąpiły po obwieszczeniu tej nowiny, jej twarz pojaśniała, zachowanie uległo zmianie. Nigdy nie widziałam jej tak pogodnej. Wyciszonej. Zupełnie jakby od miesięcy całe jej życie zależało od tej kapitulacji.

Drugiego wieczoru otworzyłyśmy butelkę szampana, żeby uczcić mój powrót do pisania. L., która od poprzedniego dnia pilnowała się, by nie zadawać bardziej szczegółowych pytań, dłużej nie wytrzymała:

– Czy to, co zaczęłaś, ma coś wspólnego z twoją książką widmem?

Wahałam się przez sekundę, nim odpowiedziałam. Słynna książka widmo. Co ona sobie wyobraża? Jaką historię z dzieciństwa czy okresu dorastania powinnam jej zdaniem opowiedzieć? Co jest w nas wspólnego, w rzeczywistości albo w wyobraźni, co aż tak ją ciekawi?

Dostrzegłam w jej oczach nadzieję, ów migoczący błysk czatujący na moją reakcję, toteż choć tego nie planowałam, odparłam, że tak. Tak, oczywiście, to ma coś wspólnego z książką widmem. Dodałam, że jak zapewne sobie wyobraża, trudno będzie napisać tę książkę. Ale ma rację. Najwyższa pora zabrać się do dzieła.

Usłyszałam dźwięk własnego głosu, który brzmiał poważnie, pewnie, i pomyślałam, że wiatr się zmienił. Przestałam być tą bezkrwistą pisarką, którą L. podtrzymywała od miesięcy, stałam się wampirem, który wkrótce miał się żywić jej krwią. Po krzyżu przebiegł mi dreszcz strachu i ekscytacji.

– Wiesz – ciągnęłam – ciekawi mnie, z czego się składamy, z czego jesteśmy zrobieni. Co sprawia, że przyswajamy określone wydarzenia, określone wspomnienia, które mieszają się z naszą własną śliną, rozlewają się po naszym ciele, podczas gdy inne są niczym ostre kamienie tkwiące w butach. Jak odszyfrować ślady dziecka na skórze dorosłych, którymi według nas się staliśmy? Kto potrafi czytać niewidzialne tatuaże? W jakim języku zostały napisane? Kto jest w stanie zrozumieć blizny, które nauczyliśmy się ukrywać?

– Twoje? – zapytała.

W jej głosie nie słychać było cienia podejrzliwości.

Zawahałam się po raz kolejny i odparłam, że tak.

Stało się dokładnie to, na co liczyłam.

Sądząc, że dokonuję właśnie introspekcji niezbędnej do napisania ukrytej książki, L. zaczęła mówić o sobie. Na znak zachęty, solidarności jęła opowiadać o konkretnych wydarzeniach z dzieciństwa, z okresu dojrzewania, o których nigdy wcześniej nie mówiła. Zapewne traktowała te zwierzenia jak bodźce, które powinny pomóc mi wywołać moje własne wspomnienia, wydobyć na wierzch moje własne rany. Miałam słuszność. Wystarczyło wmówić jej, że robię postępy, aby powoli dostarczyła mi elementów, które nasycały tekst bez jej wiedzy.

Wzorując się na L., miałam stworzyć postać o namacalnej złożoności, autentyczności.

Oczywiście pewnego dnia, kiedy praca nad książką posunie się wystarczająco naprzód, może nawet się zakończy, musiałabym jej wyznać prawdę. Przypomniałabym jej niechęć, jaką żywiła do wszelkiego pisarstwa oderwanego od życia. Przypomniałabym jej przekonania, które tak bardzo pragnęła mi wpoić i którym wreszcie uległam. Opowiedziałabym jej o naszym spotkaniu, o miesiącach spędzonych obok niej, o olśnieniu, jakiego doznałam, że tylko ona może być tematem książki.

Opowiedziałabym jej o nagłej konieczności zebrania fragmentów, które zechciała mi powierzyć, ułożenia ich w nowym porządku.

Teraz pod każdym względem byłam zależna od L.

Po pierwsze dlatego, że nie mogłam postawić stopy na ziemi. A poza tym dlatego, że potrzebowałam jej słów, jej wspomnień, aby wypełnić początek powieści, o której w ogóle nie miała pojęcia.

Ów stan zależności nie napawał mnie jednak lękiem.

Usprawiedliwiał go wyższy cel: projekt, który miał zostać dopracowany bez jej wiedzy.

Z kolei L. pracowała nad tekstem, który zaczęła przed latem. Nad jedną z tych kasowych książek, o których umowa z wydawcą zabraniała jej rozmawiać. Nad książką, pod którą podpisze się ktoś inny, kto będzie udawał, że jest jej autorem.

Wypytywałam L., aby się dowiedzieć, w czym rzecz. Jaka aktorka, piosenkarka czy kobieta ze świata polityki tym razem odwołała się do jej pióra?

L. było przykro, ale nie mogła mi nic powiedzieć. Klauzula poufności przewyższała rozmiarem samą umowę, nie mogła więc się narażać. Raz zebrało jej się na zwierzenia, po czym ta osoba niechcący ją wydała. Wysunęłam jedno czy dwa przypuszczenia. Mireille Mathieu? Ségolène Royal?

Twarz L. pozostała niewzruszona, więcej nie nalegałam.

Po kilku dniach odnalazłyśmy rytm właściwy dla niedawnego wspólnego mieszkania. L. budziła się przede mną. Z sypialni słyszałam szum wody z prysznica, następnie ekspresu do kawy. Wstawałam, a wtedy jadłyśmy szybkie śniadanie, zanim L. zabrała się do pracy. Już pierwszego dnia zajęła pokoik obok kuchni. Nie przedostawało się tam światło dzienne, lubiła tę atmosferę. Na stoliku postawiła komputer i porozkładała bruliony, plany, dokumentację.

Nieco później, na drugim końcu domu zamykałam się w moim gabinecie. Siadałam w takiej samej pozycji, jaką przybrałabym do pisania, lekko wychylona do przodu. Trzymałam kule w zasięgu ręki, oparte o szufladę konsoli. Otulałam się szalem i zabierałam się do dyktowania

cichym głosem. Zważywszy na dzielącą nas odległość, nie istniała możliwość, żeby L. mnie usłyszała.

Mimo to kilka razy dziennie nie mogłam się powstrzymać, by nie sprawdzić, czy drzwi są dobrze zamknięte. I że jej za nimi nie ma.

Około trzynastej przyłączałam się do L. w kuchni, aby wspólnie zjeść przygotowaną przez nią zupę albo danie z makaronem.

Wczesnym popołudniem wracałyśmy do pracy, każda u siebie. Podczas gdy L. posuwała się naprzód ze swoim tekstem, ja ciągle nagrywałam na głos i bez jej wiedzy sprawozdanie z naszych coraz bardziej intymnych rozmów.

Po kilku dniach, chcąc zapisać pliki audio nagrane na mojego iPhone’a, zdołałam włączyć komputer.

Pod koniec dnia wychodziłyśmy niekiedy na spacer.

W miarę jak moje mięśnie ramion się wzmacniały, zapuszczałyśmy się coraz dalej.

Wieczorami wypijałyśmy po lampce wina w kuchni, gdy tymczasem L. szykowała kolację. Mogłam jej pomagać na siedząco: kroiłam kiełbasę, mozzarellę, obierałam cebulę, warzywa, siekałam zioła. L. zajmowała się całą resztą.

Rozpoczynałyśmy od rozmowy o wszystkim i o niczym, po czym niepostrzeżenie zbaczałyśmy na interesujące mnie tematy. Opowiadałam L. o własnych wspomnieniach. Wspomnieniach z dzieciństwa, z okresu dorastania, kiedy mogły współbrzmieć z jej wspomnieniami.

Po kolacji L. rozpalała ogień, przysuwałyśmy się do kominka, wystawiając dłonie ku ciepłu płomieni. Dobrze ją znałam. Z biegiem czasu nauczyłam się odczytywać jej odpowiedzi, emocje, reakcje. Potrafiłam wyczytać w jej twarzy najbardziej ulotne oznaki radości lub niezadowolenia. Potrafiłam rozpoznać w postawie jej ciała chwilę, gdy szykowała się, by oznajmić coś ważnego, oraz tę, gdy znów nabierała dystansu. W miarę upływu tygodni oswoiłam się ze składnią L., z taktyką unikania pewnych tematów, a następnie robienia nagłej wolty i mierzenia się z nimi, kiedy najmniej się tego spodziewałam. Nigdy jeszcze nie widziałam jej tak spokojnej. Tak wypoczętej.

Zdaniem L. nie złamałam stopy przez przypadek. Złamanie stanowiło wyraźny sposób ukazania przeszkody, zawady, która zmuszała mnie do

milczenia. *Upadek* należy rozumieć we wszystkich znaczeniach tego słowa: poza konkretną utratą równowagi, upadłam, aby położyć czemuś kres. Aby zamknąć pewien rozdział. Przewrócenie się czy somatyzacja, w gruncie rzeczy jaka to różnica? Zresztą zdaniem L. zasadniczą funkcją naszych somatyzacji jest odsuwanie lęku, strachu, napięcia, do którego nie chcemy się przyznać. One przekazują nam wiadomość, ostrzegają nas.

L. od dawna nie wyłożyła mi żadnej teorii. Przybrała ton, który mnie bawił, uczony ton, w którym bez trudu można się było dopatrzyć nuty autoironii. Roześmiałyśmy się. Teoria L. wydawała mi się raczej słuszna: jej zdaniem, nie chcąc pobudzać do działania ciągle tych samych narządów, zmieniamy sposób somatyzacji, przechodząc od migreny do pieczenia w żołądku, następnie od pieczenia w żołądku do wzdęć, potem od wzdęć do bólów międzyżebrowych. Czy ja zwróciłam na to uwagę? Jeśli się zastanowić, każdy z nas przeżył rozmaite okresy somatyzacji i wystawił na próbę rozmaite narządy, aby nie osłabiać ciągle tego samego. Wystarczy posłuchać, jak ludzie rozmawiają o drobnych dolegliwościach. Upadki to nic innego jak bardziej widowiskowa metoda dopełnienia, w momencie zwrotnym, regularnego systemu ostrzegania. Należało podjąć trud i je rozszyfrować.

François dzwonił codziennie. Brałam kule i kierowałam się w głąb ogrodu, następnie wdrapywałam się z większym lub mniejszym powodzeniem na pagórek, który pozwalał mi złapać zasięg. Rozmawialiśmy kilka minut, ja, wspierając się niepewnie na kulach, on, siedząc w hotelowym pokoju w Midwest albo w Montanie. Od razu wyczuł, że ze mną lepiej, zapytał, czy daję radę pisać. Odparłam, że zdecydowałam się rozpocząć nowy, ważniejszy projekt, mam coś, nie mogę się doczekać, żeby mu o tym opowiedzieć. Nie zdradziłam nic więcej.

L. odnalazła się w domu w Courseilles z łatwością, która zbiła mnie z tropu. Należała do ludzi zdolnych przystosować się w rekordowym tempie do obcej przestrzeni. W kilka godzin zorientowała się, gdzie co leży. Żadna szuflada, żaden zakamarek nie umknęły przed jej radarem. Czuła się *jak u siebie* i muszę przyznać, że gdy człowiek patrzył, jak porusza się bez najmniejszego wahania po miejscu, które najwyraźniej było jej znajome, wyrażenie to w pełni nabierało sensu.

Znalazłam w komputerze z Courseilles niektóre pliki audio, zapisane w ciągu pierwszych dni naszego pobytu. Nie licząc uczucia obcości, którego każdy z nas doświadcza, słysząc swój głos, z trudem rozpoznałam własny. Mówię cicho z obawy, że L. mnie usłyszy. Odtwarzam tutaj treść plików.

PLIK AUDIO Z 4 LISTOPADA 2013 ROKU

Matka L. zmarła, kiedy dziewczynka miała siedem albo osiem lat.

To ona znalazła ją leżącą na podłodze. Matka L. spoczywała na parkiecie w przedpokoju. L. uniosła jej włosy i odsłoniła ucho, aby tamta lepiej ją słyszała. Matka nie zareagowała. Następnie L. poczuła, że coś nie gra, i przywarła do niej całym ciałem. Matka miała na sobie sukienkę w żółte kwiatki, którą dziewczynka tak lubiła. L. trwała przez chwilę w tej pozycji, zasnęła nawet z ramionami zwisającymi luźno wzdłuż boków matki, z głową na jej piersi (obraz ten mną wstrząsnął).

Potem zadzwonił telefon i ją obudził. Podniosła się i poszła po aparat z włosami jeszcze wilgotnymi od snu. W słuchawce odezwał się głos przyjaciółki matki, która chciała z nią rozmawiać. Dziewczynka powiedziała: mama śpi, przyjaciółka się zaniepokoiła, ponieważ matka nigdy nie sypiała w dzień. Zapytała, czy jest chora. L. odrzekła, że nie, ale że się nie budzi. Przyjaciółka nakazała jej spokojnie zaczekać w domu, przy mamusi. Oznajmiła, że zaraz przyjdzie.

L. wróciła się położyć.

Po śmierci matki L. pozostała zamknięta w mieszkaniu. Nie udało mi się dowiedzieć, jak długo. Jakiś czas. Wydaje mi się, że nie chodziła do szkoły.

Drążyć dalej: myślę, że ojciec L. zabronił jej przekraczać próg bez absolutnej konieczności. Moim zdaniem tak bardzo się go bała, że nie

wychodziła przez wiele tygodni, a nawet miesięcy. Sama w mieszkaniu.

Nie uczęszczała do szkoły.

Nie wolno jej było pod żadnym pozorem otwierać drzwi.

Ojciec wzywał ją do gabinetu, żeby przekazać polecenia. Musiała stać prosto, z podniesioną głową. Na baczność.

L. wyobrażała sobie, że świat jest pełen wrogów. Nie wiedziała, co zastanie na zewnątrz, jeśli zdoła uciec. Wyobrażała sobie, że istoty ludzkie są krwiożercze, a dzieci uzbrojone.

Wrócić do tego, o czym wspomniała L. bez wdawania się w szczegóły: do chwili, kiedy powiedziała sobie, że nie wydostanie się żywa z mieszkania. Myśl o samobójstwie.

O ile to możliwe, wrócić do ojca L.

Czuję, że to śliski teren.

L. krzywi się na opowiadanie po kolei. Czuję, że podsunie mi rozproszone epizody i że będę musiała sama sobie poradzić z połączeniem ich w całość.

Zdanie wypowiedziane wczoraj wieczorem przez L., à propos *ojca: Cała moja niepewność, nieprzystosowanie, złamanie pochodzą od niego.*

PLIK AUDIO Z 6 LISTOPADA 2013 ROKU

Próbuję odnaleźć dokładne słowa użyte przez L.

Starannie je dobiera i wydaje mi się, że każde z tych słów jest istotne.

Żałuję, że nie mogę nagrywać iPhone'em bez jej wiedzy, ale to zbyt ryzykowne.

W którymś momencie ktoś musiał interweniować, bo wróciła do szkoły. Potem poszła do gimnazjum.

Żyła z ojcem w atmosferze bezustannych wyrzutów. Każdy jej gest, każde jej słowo mogły zostać zinterpretowane, rozebrane na czynniki pierwsze, wyrwane z kontekstu. Każda wypowiedź pewnego dnia obracała się przeciwko niej, rzucana prosto w twarz.

Sposób, w jaki się w nią wpatrywał, oskarżycielski wzrok.

Niema wściekłość wypełniająca dom i sprawiająca, że czasem nie dało się oddychać.

Polował na słabości, oznaki zdrady, dowód jej winy. Krążył w poszukiwaniu pretekstów, żeby wyładować złość.

Powstrzymywana przezeń agresja wisiała niczym nieustanna groźba.

L. opowiada następnie o samokontroli, jakiej to wymaga.

Albowiem wszelkie wybuchy (radości, entuzjazmu, gadatliwości) były traktowane jako patologia.

Często do tego powraca: do niemożliwego dorastania.

Niszczycielska siła tego spojrzenia w wieku, gdy stawała się kobietą.

Jest jednak w jej osobowości coś, co wykształciło się przez te lata, jakaś umiejętność zapewniająca przetrwanie we wrogim środowisku.

L. wspomina półsłówkami owo stworzenie, jakim się stała, będące nieustannie w pogotowiu, czujne, gotowe się bić.

Kiedy była w gimnazjum, a później w liceum, ojciec nie chciał, żeby wychodziła z przyjaciółmi. Ani żeby ktokolwiek przychodził do niej.

Dziwna historia z sąsiadem (spróbować do niej wrócić), o której L. mówiła dwukrotnie.

PLIK AUDIO Z 7 LISTOPADA

Przez wiele lat L. miała wyimaginowaną przyjaciółkę o imieniu Ziggy.

Ziggy spędzała z nią całe dnie. L. spała z podkurczonymi nogami na brzegu łóżka, aby zrobić jej miejsce, przepuszczała ją w drzwiach, dbała o to, by mogła usiąść obok niej przy stole, mówiła do niej na głos, gdy były same.

Ojciec L. nie wiedział o istnieniu Ziggy.

Wieczorami marzyła o ucieczce wraz z Ziggy. O jeździe autostopem, pociągami, o wyruszeniu gdzieś bardzo daleko.

Pewnego dnia Ziggy zapytała L., czy nadal chce wyjechać. L. odparła, że tak, ale że ze względu na ojca wydaje jej się to niemożliwe.

Ziggy odrzekła, że wszystko załatwi.

Jak?

Ziggy położyła palec na ustach, co miało oznaczać: o nic nie pytaj, bo odpowiedź mogłaby ci się nie spodobać.

Kilka dni później dom spłonął. Wszystko poszło z dymem.

Meble, ubrania, wszystkie zabawki, wszystkie zdjęcia.

Wszystko.

Przeprowadzili się do innego domu.

Nie udało mi się dowiedzieć, ile lat miała L., kiedy to się stało.

Musiałam ją wielokrotnie przyciskać, żeby uzyskać dokładniejsze informacje co do chronologii. Tak jakby L. nie chciała, bym ustaliła związki między określonymi wydarzeniami, udała, że sama nie jest pewna ich kolejności.

Zapytałam L., co się stało z Ziggy. Wahała się przez chwilę, po czym oznajmiła, że przejechał ją samochód. Pewnego dnia, gdy obie szły ulicą, Ziggy ześliznęła się z chodnika i wpadła pod koła.

Chociaż niekiedy jej zwierzenia wydawały mi się pogmatwane, potwierdzały moje przeczucie: L. padła ofiarą niewidocznej przemocy, której język nie potrafi opisać, pokrętnej, podstępnej przemocy, która głęboko ukształtowała jej postawę. Wyrwała się jednak z matni. Jej zdolność budowania samej siebie, odbudowywania samej siebie, ćwiczenie woli: właśnie to ciągle fascynowało mnie w L. Pewnego dnia, na długo przedtem, nim ją poznałam, stała się ową dobrze strzeżoną, zdecydowaną, niezłomną istotą, lecz wiedziałam, że jej zbroja może w jednej chwili pęknąć.

W ciągu pierwszych dni L. raz czy dwa wzięła samochód, żeby pojechać po chleb albo świeże produkty. Poza tym brama pozostawała zamknięta.

L. miała radosny nastrój i otaczała mnie opiekuńczymi skrzydłami. Przez cały ten czas nigdy nie dała mi odczuć, że praktycznie wszystko jest na jej głowie. Przyszło mi na myśl, że owo nadskakiwanie, ta nieustanna troska o mnie stanowią inną formę dominacji.

Tylko nie umiałabym stwierdzić, która z nas panowała nad sytuacją.

Jedno jest pewne: gdy tylko słyszałam kroki L. zbliżające się do gabinetu, w którym się zamykałam, przerywałam nagrywanie i przez kilka

minut, dopóki się nie oddaliły, czułam w całym ciele przyspieszone bicie serca. Przerażała mnie myśl, że dotrze do niej to, co właśnie robię.

Wiele razy widziałam, jak przed zmrokiem (i pomimo gwałtownego spadku temperatury) L. podchodzi do oczka wodnego przed domem. Pochyliwszy się nad wodą, wpatrywała się przez długą chwilę w dwie złote rybki, które François i jego córka kupili parę miesięcy wcześniej w okolicznym sklepie zoologicznym. Pewnego wieczoru, wróciwszy do domu po jednym z tych dziwacznych seansów obserwacji, L. oświadczyła, że rybki są mięsożerne. Była zdania, że gdybyśmy przestały je karmić, w końcu pożarłyby się nawzajem. Uznałam tę uwagę za jeden z jej licznych szalonych pomysłów (na pierwszy rzut oka były to pospolite złote rybki).

Następnej nocy śniło mi się, że L. odkryła, co robię. Szperała bez mojej wiedzy w moim telefonie komórkowym, znalazła pliki audio i zmusiła mnie, żebym usiadła i słuchała własnego głosu opowiadającego o jej życiu. Po czym rzuciła telefon na podłogę i tak długo wściekle go deptała, aż została z niego garstka szczątków, które kazała mi zjeść. Ponieważ nie dawałam rady (szczątki były za duże, dławiłam się więc i plułam krwią), poleciła mi wyrzucić je do śmieci. Kiedy wstałam, żeby to zrobić, chwyciła miotłę i z całej siły rąbnęła mnie w stopę. Właśnie ból wyrwał mnie ze snu, rzeczywisty ból: szyna utkwiła między ścianą a materacem i wykręciła mi stopę. Obudziłam się z czymś w rodzaju jęku, który miał swój początek we śnie i przeciągał się w noc.

Wreszcie zdołałam uspokoić oddech i wyglądałam przez okiennice nadejścia dnia, tak jakby ciemność miała zabrać ze sobą ten potworny koszmar.

Innej znów nocy zerwałam się nagle z przeświadczeniem, że ktoś jest w moim pokoju. Usiadłam na łóżku z wyostrzonymi wszystkimi zmysłami, wpatrywałam się w mrok, usiłując rozpoznać czarny, całkowicie nieruchomy kształt przede mną. Słyszałam łomotanie własnego serca w piersi, czułam pulsowanie w skroniach, pełen przerażenia szum, który nie pozwalał mi rozszyfrować ciszy. Miałam wrażenie, że powietrze w pokoju jest gęste, przesycone, tak jakby ktoś inny zużył cały tlen. Ktoś się tam znajdował, byłam tego pewna, ktoś mnie pilnował. Potrzebowałam kilku

minut, żeby zdobyć się na odwagę i zapalić światło, a potem się przekonać, że kształt to nic innego jak tylko ubranie, które powiesiłam na wieszaku i zaczepiłam o regał poprzedniego wieczoru. A następnie kilku kolejnych minut, zanim krew znów zaczęła mi normalnie krążyć pod zlodowaciałą skórą.

W ciągu pierwszych dni jednak nic nie wskazywało na to, że L. może mieć jakieś podejrzenia co do tematu mojej działalności. Wyglądało na to, że wersja oficjalna w pełni ją zadowala: nagrywam na głos fragmenty, które wkrótce posłużą mi do napisania tajemniczej książki.

Powoli, na zakończenie naszych wieczornych rozmów, zaczęłam niepewnym, drżącym pismem robić drobne notatki na karteczkach samoprzylepnych. Następnie wklejałam je do zeszytu, tak aby L. ich nie odkryła, gdyby w czasie mojej nieobecności weszła do gabinetu. Nazajutrz wskazówki te umożliwiały mi przypomnienie sobie i wypowiedzenie na głos wyznań L. Na etapie, na którym się właśnie znajdowałam, nadal z trudem je łączyłam, odnajdowałam sens, linię przewodnią. Codziennie pochylona nad dyktafonem próbowałam uporządkować rozproszone elementy, które L. zgodziła się mi powierzyć, a których spójności jeszcze nie dostrzegałam, przekonana, że pewnego dnia w końcu ją dojrzę.

Po raz pierwszy od długiego czasu potrafiłam utrzymać pióro, codziennie usiąść przy biurku, napisać kilka słów: robiłam postępy. Odzyskałam nadzieję. Wkrótce impas, w którym tkwiłam od miesięcy, fizyczna niemożność pisania, mdłości na widok komputera, wszystko to stanie się jedynie złym wspomnieniem.

Zaczęłyśmy trzeci tydzień – ja zaś stawiałam właśnie pierwsze kroki, opierając się na szynie – gdy któregoś poranka usłyszałam wrzask L. Wrzask przerażenia. Każda z nas dopiero co zabrała się do pracy. Zastygłam w bezruchu na kilka sekund. Dzisiaj, kiedy opowiadam o tej chwili, moja reakcja wydaje mi się dziwna. Nie rzuciłam się na pomoc L., nie miałam odruchu, żeby pójść jej poszukać, trwałam tak nieruchoma, skulona, czatując na najbliższy odgłos. A potem usłyszałam tupot nóg L. i nim zdążyło do mnie dotrzeć, że zmierza do mojego gabinetu, już tam była, przede mną, czerwona i zdyszana, w stanie nieprawdopodobnej paniki. Zamknęła za sobą drzwi i mówiła z prędkością karabinu, otóż

w piwnicy jest mysz, co najmniej dwie myszy, jest tego pewna, które zaraz znajdą drogę do kuchni, słyszała je pewnego wieczoru, ale nie chciała w to uwierzyć, lecz teraz nie ma najmniejszych wątpliwości, w domu są myszy. L. nie mogła złapać tchu ani się uspokoić, nigdy jeszcze nie widziałam jej w takim stanie, takiej bezbronnej. Wstałam, ustępując jej miejsca. Opadła na krzesło, usiłując odzyskać oddech, dłonie splotła w coś w rodzaju węzła, kłykcie pobielały jej od zaciskania palców.

Zaczęłam przemawiać do niej łagodnie. Drzwi do piwnicy są idealnie szczelne, nie ma żadnego powodu, żeby myszom udało się przedostać do domu, zaraz pozakładamy pułapki albo trutki, zadzwonię do François, żeby zapytać go o radę, nie musi się martwić.

Po paru minutach wreszcie ochłonęła. Wtedy jej wzrok spoczął na żółtej karteczce samoprzylepnej, przyklejonej do otwartego zeszytu, leżącego na stole, karteczce, którą napisałam poprzedniego wieczoru, przed pójściem spać:

Spróbować dowiedzieć się więcej o wyjeździe od ojca.

Wrócić do następstw śmierci Jeana.

Przez ułamek sekundy widziałam, jak L. wpatruje się w karteczkę, jak jej ciało instynktownie cofa się nieuchwytnym ruchem, jakby dostała niewidzialny cios w mostek. Podniosła na mnie oczy pełne niedowierzania.

Z całą pewnością zauważyła. I z całą pewnością pojęła, co robię.

Nie zadała żadnego pytania. Poprosiła z westchnieniem, żebym zechciała zamknąć drzwi do piwnicy. Wpadła w taką panikę, że zostawiła je otwarte, ale nie była w stanie tam wrócić.

Nie miałam wyboru. Chwyciłam kule i pokuśtykałam do kuchni.

Zamknęłam drzwi i zawołałam ją, starając się, by mój głos zabrzmiał lekko: teren zabezpieczony, ani śladu myszy na horyzoncie, może wracać.

Sama już nie wiem, czy zdołałyśmy zabrać się z powrotem do pracy, czy też przesiedziałyśmy w kuchni aż do obiadu.

Wczesnym popołudniem L. pojechała po zakupy na cały tydzień. Zainstalowałam się w salonie, żeby poczytać przy kominku, w którym rozpaliła przed wyjściem. Nie byłam jednak w stanie się skupić. Po kilku linijkach mój umysł zaczynał błądzić, tworząc hipotetyczne scenariusze i choć unikałam tych najgorszych wersji, nie potrafiłam usiedzieć spokojnie. Gdyby zrozumiała, natychmiast bym się o tym dowiedziała,

a znałam ją dostatecznie dobrze, by obawiać się gwałtownej reakcji z jej strony. Gdyby miała choć cień wątpliwości, wróciłaby do tematu i zasypała mnie pytaniami.

Powoli zapadła noc, na drzewach zaś zawisły strzępy mgły. L. nie wracała tak długo, że przyszło mi na myśl, czy aby nie porzuciła mnie tu samej, bez samochodu i bez uprzedzenia.

L. zjawiła się około dziewiętnastej. Przez okno salonu widziałam, jak wysiada z auta uśmiechnięta. Weszła do domu obładowana paczkami, zapytała, czy się nie martwiłam. Wielokrotnie usiłowała się dodzwonić do mnie na komórkę, ale bez skutku. Najczęściej moja komórka miała zasięg wyłącznie na zewnątrz, nie było więc w tym nic szczególnie dziwnego. Rozpakowując zakupy, L. opowiedziała o swej wyprawie: nie znalazłszy tego, czego szukała, w hipermarkecie, zahaczyła o drogerię w centrum miasta, gdzie doradzono jej, jak wytępić myszy. Z miną zwycięzcy otworzyła na moich oczach przyniesioną torbę pełną pułapek i trutek, za pomocą których można by się pozbyć całych kolonii gryzoni. Sprzedawca wyjaśnił jej, gdzie umieścić truciznę i pułapki, do czego czym prędzej się zabrała, przy czym poprosiła, bym to ja zniosła dwie z nich do piwnicy, w której jej noga już więcej nie postanie. Położyłam kule u szczytu kamiennych schodów, oparłam się na dłoniach i odpychając się od obu ścian, stopień po stopniu zeszłam na dół. Zajęło mi to całą wieczność, po kilku tygodniach bezruchu mięśnie mi bowiem zanikły.

Stojąca na górze L. rzuciła mi pułapki i kostkę trutki, abym poutykała je we wskazanych przez nią miejscach.

Wróciłam powoli, bolała mnie stopa.

Gdy znów zjawiłam się w kuchni, L. obwieściła, że zaplanowała niespodziankę. Odwróciła się twarzą do mnie, nigdy jeszcze nie widziałam u niej tej wyzywającej miny.

– Zawsze znajdzie się coś do świętowania, prawda? Początek książki, koniec historii…

Schyliła się, by podnieść z podłogi małą zamkniętą skrzynkę, której wcześniej nie zauważyłam. Otworzyła ją ostrożnie i wyjęła dwa żywe homary, ostatnie, jakie się zachowały z wyjątkowej dostawy z Bretanii,

wyjaśniła, zakupione w dziale rybnym w hipermarkecie. Przyglądałam się ich spłoszonym i zagubionym ruchom.

Odkorkowałam butelkę miejscowego wina, zakupionego przez L.; wzięła większą ilość, jako że teraz nie było już mowy o zejściu do piwnicy. Siedząc przy kuchennym stole, pokroiłam kilka warzyw, podczas gdy ona oporządzała skorupiaki.

L. zagotowała najpierw wodę z odrobiną wina, warzywami i przyprawami, do której wrzuciła parę cebulek. Następnie bez chwili wahania zanurzyła w niej po kolei oba żywe homary. Dostrzegłam wtedy wyraz jej twarzy i ten zadowolony uśmieszek, gdy chwyciła łyżkę cedzakową i przytrzymała im głowy pod wodą. Wydało mi się, że słyszę, jak pękają ich pancerze.

Zjadłyśmy wspólnie kolację, świąteczną ucztę, którą zaplanowała L.

Osunęłam się w ów czas zawieszenia, w jedną z owych cisz, które często poprzedzają burzę; gdybym była w naturalnym stanie, miałabym się na baczności. Nie wiem, czy alkohol wystarczy, żeby wyjaśnić sposób, w jaki odpłynął lęk, owo przytłumienie zmysłów, odzyskane zaufanie. L. zdołała uśpić we mnie wszelki niepokój i sprawiła, że uwierzyłam we własne zwycięstwo.

Ponieważ, owszem, tamtego wieczoru nadal wierzyłam, że pokonam strach, zwątpienie, mdłości – wszystko to, co od miesięcy mnie paraliżowało i nie pozwalało pisać.

Piłyśmy białe wino aż do późnej nocy.

Chyba sobie przypominam, że L. kupiła w cukierni deser, ciasto z kremem i truskawkami, którego wzięłyśmy dokładkę. Panowała miła i przyjazna atmosfera. Wszystko wydawało się normalne.

Później, gdy popijałyśmy herbatę ziołową, L. opowiedziała sama z siebie o pewnym zajściu z sąsiadem z naprzeciwka. Przedtem, raz czy dwa, napomknęła o tym, ale zawsze rezygnowała z opowieści.

Położyłam się spać wyczerpana, lecz uspokojona.

Chyba po prostu wmówiłam sobie, że to możliwe, iż w stanie paniki, w jakim znajdowała się L., kiedy wpadła do mojego gabinetu, nie zauważyła karteczki samoprzylepnej albo raczej patrzyła na nią, nie widząc.

Nazajutrz rano, pomimo bardzo silnego, niecodziennego zmęczenia, usiadłam przy stole, aby nagrać wspomnienie, jakie zachowałam z naszej rozmowy z poprzedniego dnia.

Odnalazłam ten plik w komputerze, to był ostatni, jaki zdołałam tam przenieść.

PLIK AUDIO Z 12 LISTOPADA

L. powróciła do historii z sąsiadem. Sama do niej wróciła, bez pytań z mojej strony, tak jakby była mi winna wyjaśnienie, tak jakby ta dodatkowa informacja mi się należała.

Wydarzyło się to w drugim domu, w tym, w którym mieszkała po pożarze.

Sąsiad był ojcem małego chłopczyka, którym L. opiekowała się czasem po szkole. Był dla niej miły, miał łagodne spojrzenie. Kiedy przychodził po syna, ucinał sobie z L. kilkuminutową pogawędkę, jeśli jej ojca nie było w domu. Śmiali się oboje.

Pewnego dnia zadzwonił do drzwi w środku popołudnia, gdy L. była sama.

Przykleił się do niej bez słowa, przyparł do ściany. Po czym wsunął jej dłoń w spodnie, pod gumkę od majtek. Następnie jego palce – najpierw jeden, potem kilka – weszły do środka, sprawiając jej ból.

Kiedy sąsiad wyjął dłoń, była cała we krwi.

L. nigdy nie pisnęła o tym ani słówka.

Muszę zachować w pamięci szczegóły tej opowieści, jej brutalność.

Ukończywszy nagranie, poczułam się pusta. Zmęczenie przypominało to, które ogarniało mnie *przedtem*, w czasach, gdy potrafiłam pisać całymi

godzinami, nie podnosząc głowy, potem zaś chwiałam się na nogach, miałam zdrętwiałe mięśnie. A przecież siedziałam w gabinecie zaledwie od dwudziestu minut i poprzestałam na wypowiedzeniu na głos tylko paru zdań.

Niebo było bezchmurne, usiadłam na zewnątrz, na kamiennej ławeczce. Potrzebowałam światła. Potrzebowałam promieni słońca na twarzy, aby ciepło powoli rozgrzało moją skórę. Trwałam tak kilka minut w nadziei, że słońce odpędzi wreszcie wewnętrzne drżenie, wstrząsające całym moim ciałem.

Nieco później zjadłyśmy razem obiad w kuchni, jak zwykle. Potem poczułam się tak słaba, że poszłam się położyć do swojego pokoju. Poczytałam i się zdrzemnęłam.

Na kolację L. ugotowała zupę rybną. Nie lubię tego, ale nie chciałam robić jej przykrości, słyszałam bowiem, jak krzątała się w kuchni, i wiedziałam, że spędziła tam sporą część popołudnia.

Przy kolacji L. była rozmowna i radosna. Opowiadała o Ziggy, swej wyimaginowanej przyjaciółce. Zdaje się, że opowiadała też o innych rzeczach, o których zapomniałam.

Nie zachowałam żadnego wspomnienia chwili, gdy wróciłam do pokoju. Ani gdy się położyłam. Kiedy obudziłam się w środku nocy, przemoczona pościel oblepiała mi ciało. Miałam na sobie tylko majtki, czułam pulsowanie żył pod skórą, mokre włosy sprawiały wrażenie lodowatych. Nagle wychyliłam się z łóżka i zwymiotowałam.

Chciałam wstać, by przepłukać usta i obmyć twarz, nie zdołałam się jednak utrzymać na nogach. Wyciągnęłam się z powrotem. Na myśl o zupie rybnej zwymiotowałam po raz drugi.

L. bez wątpienia wszystko słyszała. Weszła do pokoju i zbliżyła się do mnie. Pomogła mi wstać z łóżka, zaprowadziła do łazienki, gdzie posadziła mnie na taborecie, a sama w tym czasie zatkała wannę i puściła wodę. Moim ciałem wstrząsały drgawki, dygotały mi kończyny. Gdy wanna napełniła się wodą, pomogła mi się podnieść. Jej przenikliwe spojrzenie omiotło moje ramiona, piersi, nogi. Chwyciła mnie pod ręce, żebym weszła do wody, następnie przytrzymała złamaną stopę i oparła o brzeg wanny. Osłoniła szynę ręcznikiem. Upewniwszy się, że się nie osunę, przyniosła z kuchni szklankę wody, którą podała mi wraz z dwiema tabletkami.

Powiedziała, że jestem rozpalona i że trzeba zbić gorączkę. Połknęłam pastylki i zostałam w wodzie, gdy tymczasem ona zmieniała mi pościel, zaglądając co dwie minuty, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku.

Znów poczułam, że morzy mnie sen. Ciężki, niepowstrzymany sen. Chyba zasnęłam w wannie. Kiedy otworzyłam oczy, woda była zimna, L. zaś przyglądała mi się, siedząc na taborecie. Bez słowa sięgnęła po prześcieradło kąpielowe. Pomogła mi wyjść z wody i wrócić do łóżka. Zdaje się, że to ona włożyła mi piżamę. Zmarzłam na kość.

Rankiem zadźwięczał mój telefon. Rozpoznałam dzwonek przypisany do François. Poszukałam komórki pod łóżkiem, ale nie znalazłam. Wtedy do pokoju weszła L., chwyciła komórkę, która leżała na stole, poza moim zasięgiem. Słyszałam, jak L. powtarza kilka razy „halo, halo", następnie wychodzi do ogrodu.

Później oznajmiła, że rozmawiała z François i uprzedziła go, że jestem chora, najprawdopodobniej to zatrucie pokarmowe. Wystraszył się, lecz go uspokoiła. Obiecała, że będzie go informować na bieżąco, ponieważ ja nie jestem w stanie sama tego zrobić.

Od tej chwili całkiem straciłam poczucie czasu. L. przynosiła herbatę lub ciepłe mleko, niekiedy rosół. Podtrzymywała mi głowę, żebym mogła pić. Przestałam wymiotować, lecz nadal miałam w ustach metaliczny posmak. Spałam pomiędzy jej wizytami. Ciężkie godziny, z którymi nie potrafiłam walczyć. Zanurzałam się w tym gęstym, lepkim, niemal bolesnym śnie. Po przebudzeniu stwierdzałam, że jest dzień albo noc, raz oblewałam się potem, raz trzęsłam z zimna, L. zaś zawsze była przy mnie, nieruchoma i czujna. Wstawałam do łazienki po przeciwnej stronie korytarza, trzymałam się ściany, by posuwać się naprzód. Nie wiedziałam, od jak dawna jestem w tym stanie. Pewnego wieczoru nie starczyło mi sił, żeby się podnieść. L. zajęła się zmianą mokrej pościeli.

Poprosiłam L., aby uprzedziła Louise i Paula, nie chciałam bowiem, żeby się martwili brakiem wieści ode mnie. Powiedziała, że już to zrobiła.

Czas stał się nieodgadniony.

Nawet dzisiaj nie wiem, jak długo to trwało: dwa dni, cztery dni, sześć dni?

Obudziwszy się którejś nocy, poszukałam telefonu. Rozejrzałam się wokoło, nie było go.

Właśnie w tamtej chwili dotarło do mnie, że L. trzyma go przy sobie i że zdążyła odsłuchać wszystkie pliki. Skopiowałam je na komputer, aby je zachować, ale nie usunęłam z telefonu.

Zalała mnie fala przerażenia.

Oczywiście, że L. wiedziała.

Oczywiście, że zrozumiała.

Tylko że było już za późno. Za późno na wszystko.

Nie miałam już siły, żeby objaśnić jej, jaką książkę chcę napisać, nie miałam już siły, żeby ją przekonać, a tym bardziej żeby się usprawiedliwić.

Pewnego wieczoru, będąc w stanie półświadomości, usłyszałam dzwonek u drzwi. Ktoś zdołał przedostać się przez bramę i dotarł aż do domu. Dzwonek zadźwięczał kilka razy, usłyszałam kroki L. w korytarzu, tuż pod moimi drzwiami, postała tam przez parę minut, lecz nie otworzyła.

Być może François uprzedził któregoś z przyjaciół albo sąsiadów. Ktoś zaczął się niepokoić. Ktoś przyszedł sprawdzić. Zapewne zajrzał przez okno. Mógł dostrzec ślady naszej obecności.

Chyba że L. pozamykała wszystkie okiennice.

Jeszcze tego samego wieczoru nie udało mi się wypić rosołu, który przyniosła mi L. Miałam tak silne mdłości, że nie mogłam przełykać. Ponieważ nalegała, rozpłakałam się, błagałam ją, nie mogę, musi mi uwierzyć, to nie jest zła wola. L. pozwoliła się udobruchać.

W nocy poczułam się mniej odrętwiała. Kiedy poszłam do łazienki, skorzystałam, żeby się napić. Z kranu leciała strużka wody, przyssałam się do otworu na kilka minut.

Obudziłam się wczesnym rankiem i wstałam przed zjawieniem się L. Nieco lepiej trzymałam się na nogach. Spróbowałam spacerować przy łóżku. Powolutku. Teraz mogłam się opierać na szynie bez bólu. Słysząc, że L. się zbliża, położyłam się z powrotem. Miałam lekkie zawroty głowy. L. weszła do pokoju, niosąc tacę. Postawiła ją obok mnie, a potem siedziała na łóżku. Upiłam tylko parę łyków gorącej czekolady, udając, że wywraca mi się od niej żołądek. Powiedziałam, że boli mnie brzuch. Ujrzałam cień niezadowolenia w jej oczach. Poprosiłam, by zostawiła miseczkę obok mnie, obiecałam, że wypiję, jak tylko będę mogła.

Nieco później usłyszałam, jak L. rozmawia przez telefon, skorzystałam więc z okazji i wylałam czekoladę do muszli. Udało mi się czuwać przez część poranka.

Właśnie wtedy nabrałam pewności, że L. mnie truje.

Przez cały dzień odmawiałam przełykania tego, co mi przynosiła. Udawałam, że jestem zbyt słaba, by się podnieść, i że śpię przez całe popołudnie. Z zamkniętymi oczami szukałam w myślach jakiegoś wyjścia. Przypomniałam sobie, że François trzyma dodatkowy komplet kluczy w jednej z kuchennych szuflad i że znajdę wśród nich klucz do bramy. Tylko że musiałabym jeszcze tam dotrzeć. Lecz jak uciec, żeby mnie nie widziała? Żeby mnie nie złapała.

Wieczorem L. zjawiła się z kolejną tacą. Ugotowała krem z dyni. Uniosła mnie i wsparła na poduszkach. Tonem, w którym łagodność nie przyćmiewała groźby, poprosiła, żebym zdobyła się na wysiłek. Chwyciwszy w jedną rękę głęboki talerz, drugą spróbowała mnie nakarmić.

Zręcznymi, precyzyjnymi ruchami przytykała mi łyżkę do ust, tak jakby miała do czynienia z niemowlęciem. Wówczas spostrzegłam, że znów używa prawej dłoni. Maskarada dobiegła końca.

Nie byłyśmy już dwiema podobnymi istotami mającymi wiele cech zbieżnych, wspólną historię, nie byłyśmy już przyjaciółkami, których gesty wynikają z jednakowych porywów, mieszają się. Nie. Byłyśmy dwiema odrębnymi osobami, z których jedna została skazana na łaskę drugiej.

Wyszeptała, jakby czytała w moich myślach:

– Zrobiłam, co mogłam, żeby ci pomóc. To ty wszystko zepsułaś.

Przełknęłam jedną czy dwie łyżki zupy, po czym oznajmiłam, że więcej nie dam rady. Nie otworzyłam już ust. L. omiotła wzrokiem pokój, jakby szukała przyrządu, który pozwoliłby jej rozewrzeć mi szczęki. Przeszło jej przez myśl, żeby wepchnąć mi łyżkę do buzi, jestem tego pewna, jak również żeby mnie spoliczkować. Wydała wściekłe westchnienie, zabrała talerz i wyszła. Sądziłam, że wróci z deserem albo herbatą ziołową, ale przez cały wieczór więcej się nie pokazała.

L. nie będzie długo tolerować mojej odmowy. Jeśli będę to ciągnąć, znajdzie inny sposób na osłabienie mnie. Kiedy sobie to uświadomiłam, przeszył mnie dreszcz strachu.

Nie mogłam czekać.

Musiałam wydostać się z domu.
Musiałam dotrzeć do bramy.
Jak tylko znajdę się na ulicy, zatrzymam jakiś samochód.

Było już dawno po zmroku, gdy spadł deszcz. Gwałtowna, rzęsista ulewa bębniąca o szyby. Z pokoju słyszałam silne podmuchy wiatru, w oddali zaś odgłos kół rozchlapujących wodę w kałużach. Sama nie wiedziałam, czy te samochody mi się śnią, czy naprawdę je słyszę. Nie wiedziałam, czy zdołam pokonać odległość dzielącą nas od miasteczka. Z zamkniętymi oczami wyobrażałam sobie, jak przemoczona do suchej nitki wyłaniam się na środku drogi i macham rękami w blasku reflektorów. Wyobrażałam sobie tę chwilę, jak jeden z samochodów hamuje, drzwi się otwierają, a ja jestem wolna.

Mimo woli zasnęłam.

Kiedy ponownie się obudziłam, wszystkie światła były pogaszone. Nie miałam najmniejszego pojęcia, która godzina, pomyślałam jednak, że L. położyła się spać. Podobnie jak każdej poprzedniej nocy, zostawiła drzwi do swojego pokoju otwarte, żeby złowić najlżejszy hałas.

Prawdopodobieństwo, że uda mi się wstać i dojść do kuchni bez obudzenia jej, było bliskie zera. Wiedziałam o tym. Szyna uderzała o podłogę, w dodatku moje kule zniknęły.

Prawdopodobieństwo, że zdołam wyjąć klucz z szuflady, wydostać się z domu i otworzyć bramę, a ona się nie obudzi, praktycznie nie istniało. Tylko że nie miałam wyboru.

Włożyłam sweter na podkoszulek. Pod ręką nie było żadnego innego ubrania. Walizka, w której przyjechały moje rzeczy, zniknęła. L. wszystko zgarnęła.

Usiadłam na łóżku i tkwiłam tak kilka minut, niemal na bezdechu. Nie miałam nawet odwagi przełknąć śliny. Następnie zebrałam wszystkie siły i się podniosłam.

Udałam się do kuchni, otworzyłam szufladę, wzięłam klucz. Słyszałam własny oddech, przyspieszony i bolesny.

Wyszłam, poczułam lodowaty deszcz na udach, szyna wbijała się w żwir, skrzypiąc niczym kupa żelastwa. Po kilku sekundach miałam przemoczone włosy, chłostały mnie po twarzy, z trudem posuwałam się naprzód pod wiatr. Spróbowałam biec, lecz ból okazał się zbyt silny.

Dotarłam do bramy. Dopiero w tej chwili spostrzegłam, że samochodu L. nie ma. Oparłam się o mur, żeby złapać oddech. Nagły podmuch wiatru poderwał do góry liście wierzby, które głośno zaszeleściły. Zupełnie jak spadające kartki.

Nie oglądając się na dom, otworzyłam bramę, dokuśtykałam do wąskiej drogi i podążyłam w stronę miasteczka.

Bez wątpienia L. czekała gdzieś z wyłączonym silnikiem, czatując na mnie. Byłam pewna, że usłyszę nagle, jak samochód rusza, ona zaś wyłoni się znikąd, pędząc wprost na mnie.

Oto jaki miała plan. Pozwolić mi uciec półnagiej, schwytać w światła reflektorów i rozjechać jak robaka.

Szłam wzdłuż drogi mimo bólu, który narastał z każdym krokiem. Z powodu deszczu nic nie widziałam, jedynie jasne okno odcinające się na tle ciemności.

Do pierwszego domu w miasteczku zostało mi zaledwie parę metrów, kiedy wpadłam do rowu odwadniającego, wykopanego przy drodze. Nie zachowałam żadnego obrazu tamtej chwili, jedynie wrażenie błota i rumowiska. Straciłam przytomność.

Mam bardzo mgliste wspomnienie jazdy ambulansem. Dzisiaj pozostał mi wyłącznie widok złotej folii, połyskującej w blasku koguta. Dotyk noszy na plecach. Pęd karetki.

Obudziłam się w szpitalnej sali w Chartres. Wkrótce potem weszła pielęgniarka. Opowiedziała mi, co się wydarzyło. Oznajmiła, że jedzie tu, albo raczej leci, mój mąż, ktoś go powiadomił.

Tuż przed świtem znalazł mnie jeden z robotników budowlanych. Lekarz powiedział, że musiałam upaść tuż przed tym, nim mężczyzna się na mnie natknął, bo inaczej bym nie przeżyła. Byłam w stanie poważnego wyziębienia.

Nie zadawano mi żadnych pytań o powody, dla których trafiłam tam, w majtkach i w swetrze, na kilka godzin przed świtem. Zachęcano mnie, bym się nie spieszyła i wszystko sobie przemyślała. Podawano mi tabletki przeciwbólowe i drugie, nasenne.

Szynę zastąpiono ortezą. Wyposażono mnie w nowe kule. Aż do przybycia François niemal przez cały czas spałam.

Ujrzałam go nazajutrz rano przy moim łóżku, ze ściągniętą, zatroskaną twarzą. Zamknął mnie w ramionach. Muszę odpocząć. Najważniejsze, że jestem tu cała i zdrowa.

Później dowiedziałam się, że moje badania toksykologiczne wykazały obecność licznych środków nasennych i trutki na szczury.

W końcu, kiedy uznano, że nadeszła pora zapytać mnie, co się stało, uzmysłowiłam sobie, że cały personel medyczny – i zapewne François – jest przekonany, iż sama połknęłam tę mieszankę. A potem wpadłam w panikę i wyszłam na zewnątrz, aby poszukać pomocy.

L. wyjechała, zanim wyszłam z domu. L. zostawiła mnie samą, z możliwością ucieczki, ale również zaśnięcia i nieobudzenia się nigdy więcej.

L. zniknęła z mojego życia, tak jak się w nim pojawiła. Mam pełną świadomość, że takie zdanie wywołuje uczucie, że gdzieś to już czytaliśmy. Pozwala sądzić, że sprawa została zamknięta, że jest jedynie wspomnieniem. Że w trakcie opowieści znalazła sens – o ile nie rozwiązanie. Tylko że L. zniknęła bez śladu.

Potrzebowałam wielu tygodni, by zgodzić się na przyjazd do Courseilles. Czekałam, aż poczuję się lepiej, aż znów będę normalnie chodzić. Aż będę w stanie przezwyciężyć lęk, który ogarniał mnie na samą myśl, że mam przekroczyć bramę.

Kiedy François wrócił tam po raz pierwszy, podczas gdy ja ciągle jeszcze byłam w szpitalu w Chartres, zastał dom w idealnym stanie. Zmywarka zdążyła umyć naczynia, wszędzie było czysto. Wszędzie panował nieskazitelny porządek. Wszystko poukładane, pochowane, na swoim miejscu. L. zadbała o to, by zamknąć dopływ wody, wyrzucić śmieci, przykręcić ogrzewanie. Zaplanowała swój wyjazd i postarała się, aby po sobie posprzątać. W pokoju, w którym spała, leżał goły materac. Pościel była wyprana, wysuszona i odłożona do szafy, podobnie jak ręczniki. Łazienka wymyta.

Jedyne ślady po naszym pobycie znajdowały się w mojej sypialni: rozgrzebane łóżko, opróżnione i brudne miseczki, podkoszulek rzucony wprost na podłogę.

François nigdy nie odnalazł mojej walizki ani telefonu, ani żadnej z rzeczy, które ze sobą przywiozłam.

Kiedy poprosiłam, by dokładnie powtórzył, co odpowiedziała mu L. tamtego wieczoru, gdy odebrała telefon zamiast mnie, wyraźnie widziałam, że wątpi w moją pamięć. Wytłumaczył mi cierpliwym tonem, że nigdy nie rozmawiał z L. przez telefon, ani tamtego wieczoru, ani później. Pełnym ostrożności tonem, jakiego używa się, aby przemówić do rozumu szaleńcom.

François przyznał, że istotnie próbował się do mnie dodzwonić przez cały dzień, ale nie odebrałam ani nie dałam znaku życia. Później odezwała się poczta głosowa, moja komórka była wyłączona. Zaniepokoił się. Nigdy nie upłynął nam cały dzień bez rozmowy. Wieczorem zatelefonował w końcu do swego przyjaciel Charles'a, który mieszka po drugiej stronie miasteczka, i poprosił, by ten poszedł sprawdzić. Kiedy Charles przedarł się przez ceglane ogrodzenie, w ogrodzie nie było samochodu, w domu nie paliły się światła, a wszystkie okiennice były zamknięte. François wydedukował, że wróciłyśmy do Paryża (zapewne L. chciała, żeby właśnie tak pomyślał). Nieco później przez głowę przemknęła mu myśl, że mogę mieć kochanka. A potem dostał telefon od sekretarki mera, tamtego poranka, gdy mnie znaleziono, i przyleciał pierwszym samolotem.

Kilka dni po tej rozmowie François poprosił, żebym ponownie wyjaśniła, jak poznałam L.

Po raz kolejny opowiedziałam o tamtym wieczorze po targach książki, spędzonym u przyjaciółki Nathalie, i o kobiecie, która mnie zaczepiła.

François uznał za dziwne, że nigdy jej nie spotkał. Jak to możliwe, że przez cały ten czas, kiedy widywałam się z L. w Paryżu, kiedy u mnie mieszkała, nigdy się na nią nie natknął?

Sęk w tym, że normalnie z rozmaitych powodów ja wpadałam do niego o wiele częściej niż on do mnie. Natomiast w okresie, gdy L. przebywała u mnie, zadbałam o to, żeby nie przyszedł ani razu.

Poprosił, bym jeszcze raz wyjaśniła, dlaczego zdecydowałam się ot tak wyjechać z nią do Courseilles, dlaczego nie zwróciłam się do kogoś innego, do bliższej, bardziej godnej zaufania przyjaciółki, aby pojechała ze mną. Jakiej marki był jej samochód, z jakiego powodu znalazła się na miejscu, w jaki sposób mogła tak znienacka zrobić sobie wolne? Dlaczego mieszkałyśmy przy zamkniętych okiennicach? Dlaczego miałaby wyłączyć moją komórkę?

W końcu pod miną kogoś, kto nie chce mnie zranić ani rozzłościć, dostrzegłam podejrzliwość.

Być może dlatego, że mógł sobie wyobrazić zdradę zupełnie innego rodzaju, François jest jedyną osobą, której usiłowałam wszystko opowiedzieć. Od samego początku. Jak poznałam L., jak się do niej przywiązałam. Co dla mnie zrobiła, co zrobiła zamiast mnie. Co wiedziała, zanim człowiek otworzył usta, co tak dobrze rozumiała. Co myślała o moich książkach, czego po mnie oczekiwała. Musiałam się przyznać do maskarady i kłamstw. Do tygodni, kiedy to wmawiałam wszystkim naokoło, że jestem pochłonięta pisaniem, podczas gdy całymi dniami pałętałam się po ulicach albo wśród regałów w Monoprixie.

Wyjaśniłam, jak to na ostrym dyżurze w szpitalu Saint-Louis wpadłam na pomysł, żeby napisać o L., zaczerpnąć inspirację z jej życia. Jak pomysł ów wydał mi się oczywisty, nieuchronny i, po raz pierwszy od tak długiego czasu, godny uwagi. Właśnie dlatego uznałam, że perspektywa pobytu z nią sam na sam w Courseilles spadła mi z nieba. To była niespodziewana okazja! Nie, nie bałam się. Potrzeba pisania, pewność, że wreszcie mam w ręku książkę, zdławiły wszelką nieufność. Tylko że L. odkryła mój plan i wszystko wzięło w łeb.

François reagował na moje słowa tak dobrze znanym mi grymasem zakłopotania. Czułam, że nawet połowy z nich nie traktuje poważnie.

Kilkakrotnie niby to żartem zapytał, czy L. nie jest mężczyzną. W gruncie rzeczy jednak chyba sądził, że urządziłam się tak, aby uciec sama do Courseilles z pragnieniem odizolowania się, odcięcia od wszystkiego.

Później, chociaż mi tego nie wyjawił, myślę, że przychylił się do zdania lekarzy. Przeszłam bardzo ciężki okres depresji. Zażyte leki wywołały stan zagubienia, a nawet omamy, które mogły w dużej części wyjaśnić to, co się wydarzyło. Gdy nadeszło coś w rodzaju nocnego ataku, po którym zachowałam zniekształcone wspomnienie, opuściłam półnaga dom i wpadłam do rowu. Mam przecież chorych psychicznie przodków.

Prawda była zupełnie inna: L. usiłowała mnie otruć. Osłabić. Naraziła mnie na niebezpieczeństwo.

Mogłabym złożyć na nią skargę albo przynajmniej starać się ją odnaleźć.

Nie zrobiłam tego. Nie miałam siły. A poza tym musiałabym odpowiedzieć na wszelkiego rodzaju pytania, podać jej rysopis, opowiadać ciągle na nowo, dostarczyć szczegółów, dowodów. Z kolei wcale nie byłam pewna, że posiadam jakieś dowody.

Wróciwszy do domu, do Paryża, po trzech dniach spędzonych na obserwacji w szpitalu, włączyłam komputer. Moje przeczucie okazało się słuszne: L. usunęła wszystkie wiadomości, które wymieniałyśmy w ciągu pierwszych miesięcy znajomości. Wszystkie. Nie umknęła jej ani jedna.

Biorąc pod uwagę czas, jaki spędzała codziennie przy moim komputerze, kiedy u mnie mieszkała, dysponowała całkowitą swobodą sortowania, opróżniania kosza, aby nie zostawić żadnego śladu.

Nie miałam już nic: nawet najsłabszego tropu. L. zachowała natomiast wszystkie e-maile, które napisała zamiast mnie: były podpisane moim nazwiskiem i nie istniał żaden dowód (oprócz moich słów) na to, że to nie ja jestem ich autorką.

Odkryłam w ten sposób mnóstwo wiadomości wyrażających otuchę, wsparcie, sympatię, skierowanych do mnie przez przyjaciół po otrzymaniu e-maila od L., w którym prosiłam (prosiła) ich, by przestali się odzywać. Oczywiście L. zadbała o to, żeby mi ich nie pokazywać.

Nie wychodziłam z domu przez wiele dni. Bałam się na ulicy. Sama w mieszkaniu też się bałam.

Dowiedziawszy się o mojej chorobie, przyjaciele złożyli mi wizytę. Ucieszyli się, że mnie widzą po tak długim czasie. Ja też. Przemawiali do mnie łagodnie.

Pewnej nocy śniła mi się L. Czołgała się po kuchennej podłodze w domu w Courseilles, z czaszką do połowy wgniecioną, zaślepiona krwią. Usiłowała dopełznąć do drzwi i wołała Ziggy. Patrzyłam na nią niezdolna udzielić pomocy.

Obudziłam się zlana potem, siedząc na łóżku. Przerażenie towarzyszyło mi aż do rana.

Gdzieś po tygodniu czy dwóch stopniowo zaczęłam wychodzić.

Gdy tylko ktoś podążał za mną z tyłu albo trzymał się zbyt blisko, od razu przechodziłam na drugą stronę. Zdarzało mi się wyczuć za plecami czyjąś obecność (własny szalik ocierający się o kurtkę, szczęk klamry od paska) i obejrzeć się gwałtownie, chociaż nikogo nie było. Czułam się tak, jakby mnie ktoś szpiegował, śledził, brukał. Podrywałam się na najlżejszy dźwięk, czułam, że każdy mięsień jest maksymalnie napięty. Całe moje ciało było w stanie najwyższej gotowości. Miałam pewność, że zbliża się niebezpieczeństwo, chociaż nie wiedziałam w jakiej postaci, ani czy owo niebezpieczeństwo czai się wewnątrz, czy też na zewnątrz mnie.

Bez względu na porę otwierałam drzwi do mieszkania z żołądkiem ściśniętym ze strachu, przekonana, że nadejdzie dzień, gdy zastanę kogoś, kto będzie na mnie czekał, siedząc na kanapie albo ukrywając się pod łóżkiem, aby załatwić ze mną porachunki.

Louise i Paul bardzo często wpadali, żeby się ze mną zobaczyć. François postanowił zostać w Paryżu, ja zaś odłożyłam plany pisarskie na później.

Wróciłam do szpitala Saint-Louis na kontrolne prześwietlenie. Zdjęto mi ortezę. Z początku nie miałam odwagi postawić stopy na ziemi. Po dwóch, trzech seansach rehabilitacji przestałam kuleć.

Przez kilka tygodni ciągle słyszałam skrzypienie lub dziwne odgłosy na klatce schodowej. Wiele razy w ciągu dnia wyglądałam przez judasza, czy nikt nie podsłuchuje pod drzwiami. Nadal zaciągałam zasłony, zarówno w dzień, jak i w nocy, ledwie przekraczałam próg domu. Przemknęło mi przez myśl, że L. mogła ukryć w mieszkaniu kamery i mikrofony. Wszędzie przejeżdżałam dłońmi, pod stołami, pod poduszkami, wewnątrz lamp i po wszystkich zakamarkach. Żeby sprawdzić.

Można potraktować wszystkie te przejawy jako następstwo traumy psychicznej albo jako nasilenie istniejących wcześniej skłonności paranoicznych. Nie mam zdania na ten temat.

Tak czy inaczej, powoli wróciłam do tak zwanego *normalnego życia*.

Rzecz jasna, myślałam o L. Myślałam o niej jak o złym śnie albo nieco wstydliwym wspomnieniu, na którym człowiek woli się nie skupiać. W miarę jak ów okres oddalał się w czasie, wspomnienie L. zasnuwała gęsta mgła. Zastanawiałam się, czy należy je zachować w nienaruszonym stanie, chronić przed światłem, aby nie uległo zakłóceniu, aby pewnego dnia przelać je na papier, czy też przeciwnie, usunąć. Dziś znam odpowiedź.

W kwietniu przyjęłam zaproszenie na festiwal literacki w Chalon-sur-Saône. Przewidziano, że spotkam się przed szerszą publicznością z grupą czytelników, którzy w ciągu całego roku przeczytali wszystkie moje książki. Zgodziłam się, ponieważ od dawna znam organizatora festiwalu, który sam jest pisarzem.

A poza tym zapewne chciałam się sprawdzić, udowodnić sobie, że sama dam radę.

Wysiadłszy z pociągu, zostawiłam rzeczy w hotelu. Położyłam się na pół godziny. Lubię tę chwilę, znaleźć się w pokoju, którego nie znam, jakby mnie teleportowano, w obcym mieście, ten skradziony czas poprzedzający wystąpienie publiczne. Nieco później udałam się pieszo do teatru. Zamieniłam parę słów z członkami grupy czytelniczej, gdy tymczasem publiczność zajmowała miejsca. Objęłam wielką salę spojrzeniem, niczym milczący radar, który omiata tłum, nie zatrzymując się na twarzach. Kiedy mój wzrok powrócił na środek, dotarło do mnie, co właśnie robię. Szukałam L. Albo raczej upewniałam się, że L. nie ma na sali. Uspokoiwszy się, odetchnęłam pełną piersią i rozmowa się zaczęła.

Pytania grupy dotyczyły wszystkich moich książek oraz istniejących między nimi powiązań. Panowała serdeczna atmosfera. Życzliwa.

Cieszyłam się, że tam jestem. Przypomniałam sobie, że lubię się spotykać z czytelnikami, dowiadywać się, co myślą o przeczytanych lekturach, rozprawiać o swojej pracy. Że lubię szukać obrazu, emocji, iskry, która dała początek książkom, rozmyślać nad sztuką pisania i starać się znaleźć, na głos, odpowiedzi, które wydają mi się najwłaściwsze.

Potem pojawiły się kolejne pytania, zadawane przez publiczność. Odnosiły się głównie do mojej ostatniej powieści. Żadne z tych pytań nie było mi całkiem nieznane. Tylko że tak dawno już na nie nie odpowiadałam. Czas, jaki upłynął, zmienił zaś mój stosunek do tekstu. Przesunęły się granice, nabrałam dystansu. Dzień, kiedy przedstawiając swoją książkę po raz pierwszy dwudziestce księgarzy, wybuchnęłam płaczem, dawno minął. Później było mi wstyd, że nie potrafiłam powstrzymać łez. Że zrobiłam przedstawienie.

Lecz tamtego wieczoru w Chalon wydawało mi się, że wreszcie mam właściwy dystans.

Po kilku pytaniach i odpowiedziach siedząca w pierwszym rzędzie kobieta zabrała głos w imieniu pewnej dziewczyny, Léi, która nie miała śmiałości się odezwać, chociaż była obecna na sali. Kobieta wstała, trzymając w dłoni mikrofon. W jej głosie brzmiała jakaś poważna nuta.

– W gruncie rzeczy Léa chciałaby wiedzieć, czy pani jest szczera. Gdy czytała pani książkę, raz po raz ogarniały ją wątpliwości, zastanawiała się, czy nie ma w niej rzeczy zmyślonych. Czy to, co pani opowiada, jest prawdą? Czy to wszystko prawda?

Przez chwilę miałam ochotę odpowiedzieć Léi, że trafiła w samo sedno. Ponieważ nie, oczywiście, że nie, wszystko to są czyste fantazje, nic z tego, o czym pisałam, nie miało miejsca, absolutnie nic, zresztą, droga Léo, w tej samej chwili, gdy do pani mówię, moja matka tarza się w trawie gdzieś w La Creuse, wcale nie umarła, ani trochę, i latem, i zimą nosi kowbojskie buty, sukienki ze złotej satyny, żyje z pewnym kowbojem, zakochanym w niej do szaleństwa i podobnym do Ronalda Reagana, zawsze jest tak samo piękna i zabawna, i upierdliwa, gości u siebie z dziesięcioro nielegalnych imigrantów z wszystkich czterech stron świata, w swym wielkim domu pełnym roślin i bałaganu, czyta Baudelaire’a i ogląda *The Voice* w telewizji.

Zamiast tego spróbowałam wytłumaczyć, do jakiego stopnia starałam się być szczera w jej rozumieniu, owszem, tak jak tylko to możliwe,

i zapewne zaszkodziło to książce, albowiem dzisiaj rzucają mi się w oczy zbędne szczegóły, absurdalne objaśnienia, nazwiska, które bez wątpienia poprzekręcałam, niepotrzebne uściślenia, cały ten haracz, który jak sądziłam, musiałam zapłacić rzeczywistości, a od którego powinnam była się wykręcić. A potem spróbowałam powiedzieć, tak jak to wielokrotnie czyniłam przy tego rodzaju spotkaniach, jak bardzo rzeczywistość wydaje mi się niedostępna. Spróbowałam wytłumaczyć myśl, do której bezustannie powracam, a zgodnie z którą cokolwiek człowiek napisze, i tak pozostaje w fikcji:

– Nawet jeśli to miało miejsce, nawet jeśli wydarzyło się coś podobnego, nawet jeśli fakty okazały się prawdziwe, zawsze jest to jakaś historia, którą sobie opowiadamy. *Opowiadamy ją sobie*. I w gruncie rzeczy być może to jest istotne. Wszystkie te drobiazgi, które nie przystają do rzeczywistości, które ją przekształcają. Te miejsca, w których kalka się odrywa, na brzegach, na rogach. Bo chociaż się staramy, to i tak wybrzusza się, zawija, zniekształca. Być może właśnie dlatego książka panią poruszyła. Wszyscy jesteśmy podglądaczami, w tym się z panią zgadzam, ale w gruncie rzeczy interesuje nas, fascynuje może nie tyle rzeczywistość, ile sposób, w jaki została ona przekształcona przez tych, którzy próbują nam ją pokazać lub opisać. To filtr nałożony na obiektyw. W każdym razie to, że powieść jest poświadczona przez rzeczywistość, jej nie ulepsza. Oto co myślę.

Przemówił młody mężczyzna. Miał donośny głos, nie potrzebował mikrofonu.

– Myli się pani. To nie tak. W pani książce podoba się właśnie nuta prawdy. To się czuje, rozpoznaje. Nuty prawdy nie da się wytłumaczyć. Bez względu na to, co pani powie, bezspornie to ona stanowi siłę tego, co pani napisała.

Mężczyzna czekał na potwierdzenie z mojej strony. Co mogłam na to odpowiedzieć? Miałam najmniejsze podstawy, by określić, co się podoba w mojej książce, a co nie. Chciałam jednak zakończyć temat nuty prawdy.

– Nie wierzę w nutę prawdy, proszę pana. Absolutnie nie wierzę. Mam prawie pewność, że państwo, my, czytelnicy, wszyscy jak tu jesteśmy, moglibyśmy się całkowicie dać oszukać książce, którą by się czytało jako *prawdę*, a byłaby wyłącznie wymysłem, przeróbką, owocem wyobraźni. Myślę, że każdy autor posiadający odrobinę zręczności może tego dokonać.

Mnożyć efekty realności, aby wmówić wszystkim, że to, co opowiada, istotnie miało miejsce. Ja zaś rzucam wyzwanie państwu, sobie, komukolwiek, aby oddzielić prawdę od fałszu. Mógłby to być zresztą projekt literacki: napisać całą książkę, którą by się czytało jako *prawdziwą historię*, tak zwaną książkę *opartą na faktach*, w której jednak wszystko albo prawie wszystko byłoby zmyślone.

W miarę mówienia mój głos nie brzmiał już tak pewnie, zaczął znów drżeć. W którymś momencie nabrałam pewności, że L. zaraz wyłoni się z głębi sali. Mimo to nie przerwałam.

– Czy ta książka byłaby mniej szczera od innej, nie jestem przekonana. Może przeciwnie, byłaby bardzo szczera.

Po sali przebiegł szmer.

Mężczyzna znów zabrał głos.

– Pani mówi o kancie. Tylko że czytelnicy nie lubią, jak się ich kantuje. Oni chcą jasnych reguł gry. My chcemy wiedzieć, czego się mamy trzymać. Prawda albo nieprawda i koniec. Albo to jest autobiografia, albo czysta fikcja. To umowa zawarta między panią a nami. Ale jeżeli pani kantuje czytelnika, ma on do pani żal.

W powietrzu, niedaleko mnie unosił się zapach L., fluidy się zbliżały, krążyły wokół. Przyjrzałam się otaczającym mnie twarzom, nie potrafiłam się już skupić na dyskusji.

Nie odpowiedziałam. Kiedy wypijałam duszkiem stojącą przede mną szklankę wody, po sali przeleciał pomruk rozczarowania.

Wieczorem, gdy leżałam w łóżku, znów pojawiła się myśl o wyrażeniu *czysta fikcja*, którym posłużył się tamten mężczyzna i którego mnie też zdarzało się używać. W czym fikcja jest czysta? Od czego jest, jak to się mówi, wolna? Czyż w fikcji nie ma zawsze jakiejś części nas samych, naszej pamięci, naszej prywatności? Zawsze mówi się o *czystej* fikcji, nigdy o *czystej* autobiografii. Nie dajemy się więc tak całkiem nabrać. Lecz może ani jedno, ani drugie nie istnieje.

Wtedy powrócił pewien obraz: w kuchni, w domu w Pierremont, moje dziecięce niezręczne dłonie rozbijające jajka nad miską, aby oddzielić białka od żółtek. Ów delikatny, precyzyjny ruch, który moja babka Liane pokazywała mi wielokrotnie, ów ruch, który polega na przelewaniu żółtka

z jednej połówki skorupki do drugiej, tak aby białko spłynęło do naczynia niezanieczyszczone.

Białko musi być bowiem czyste, aby dało się je ubić na pianę. Często jednak odrywa się ociupinka żółtka albo maleńki kawałek skorupki. Jak raz wpadnie do miski, zagubi się w przezroczystym białku, drobinka wymyka się spomiędzy palców, ucieka przed łyżką, nie sposób jej złapać.

Zamknęłam oczy i usłyszałam głos babki, ten śpiewny głos, którego wspomnienie przechowuję nabożnie, a który zapytał:

– Moja królewno, to kłamstwo to prawda?

Przestałam się podrywać na najlżejszy hałas, ciągle się oglądać, czy nikt za mną nie idzie, czuć, że ktoś mnie nieustannie obserwuje. Przestałam wszędzie widzieć L. – w kolejce po chleb, przede mną lub za mną w sali kinowej, na drugim końcu wagonu metra, przestałam się obawiać wszystkich blond czupryn i wszystkich szarych samochodów, które pojawiały się w moim polu widzenia.

Znów zaczęłam telefonować do przyjaciół, odnowiłam kontakty z ludźmi, których od dawna nie widziałam. Rozpoczęłam okres *resocjalizacji*, właśnie tak to określiłam, żeby móc się z tego śmiać. Zgodziłam się na współpracę przy pisaniu scenariusza.

Przez kilka tygodni miałam poczucie, że zbieram porozbijane skorupy, że naprawiam meble, że buduję na nowo postument. Przystałam na ów czas jako na czas rekonwalescencji.

Któregoś piątku, jakieś cztery, pięć miesięcy po zniknięciu L., otrzymałam od mojej wydawczyni SMS-a:

Dostaliśmy twój maszynopis. Co za niespodzianka! Szybko przeczytam i zadzwonię w ten weekend. Nie wyobrażasz sobie, jak się cieszę…

W pierwszej chwili pomyślałam, że pomyliła adresata, doskonale rozumiałam, że pośpiech może prowadzić do wysłania komuś przez pomyłkę SMS-a przeznaczonego dla kogoś innego. Następnie wzięłam pod uwagę paranoiczną wersję wydarzenia (to nie pomyłka przy obsłudze telefonu, ale podła strategia, mająca na celu pokazanie mi, że inni autorzy nie tylko nadal piszą, ale nawet oddają maszynopisy). Po czym wróciłam do początkowej hipotezy i nie zadałam sobie trudu, żeby odpowiedzieć. Wydawczyni sama się zorientuje, że popełniła błąd.

Jednakże w nocy z niedzieli na poniedziałek znów dostałam od niej SMS-a:

Właśnie skończyłam. To niebezpieczne i wspaniałe. Brawo. Zadzwonię rano.

Powiedziałam sobie, że trochę przegina. W końcu mogłaby uważać i nie wysyłać byle czego byle komu.

Rozpatrywałam różne SMS-y zwrotne, od najprostszego („błędny adresat") po najbardziej zabójczy („za późno, podpisałam z kim innym"), ale i tak nie odpowiedziałam. Jeden z autorów współpracujących z wydawnictwem napisał *niebezpieczny i wspaniały* tekst, który wprawił moją wydawczynię w zachwyt… Ogarnęła mnie złość, że czuję zawiść, zazdrość, to było żałosne i dziecinne, ale właśnie tak czułam. Inni pisali niebezpieczne i wspaniałe kawałki, a mnie napawało to smutkiem.

Rankiem zadzwoniła moja wydawczyni. Zanim zdążyłam wtrącić choć słowo, rozpoczęła pełną zapału, wzruszenia, afektacji tyradę, wprost nie może sobie znaleźć miejsca, to inteligentny tekst, przeczytała go jednym tchem, nie mogąc się oderwać, to niepokojące i wciągające, z całą pewnością najlepsza rzecz, jaką napisałam, z czego wynika, że wszelkie obawy, lęk, że dotarłam do końca drogi, nie mają sensu, przeciwnie, ona to wie, jest tego pewna, to początek nowego cyklu.

W końcu udało mi się jej przerwać i powiedzieć poirytowanym tonem, że nie napisałam tekstu, o którym mówi. I żeby wszystko było zupełnie jasne, dodałam:

– Niczego ci nie wysyłałam, Karino, rozumiesz? Niczego. To nie ja.

Roześmiała się tym swoim pełnym zaskoczenia śmiechem, który dobrze znam i który jest jednym z powodów mojego do niej przywiązania.

– Ależ tak, rozumiem, zresztą właśnie to jest niepokojące w twoim tekście, ta ukryta refleksja na temat autora i jego sobowtórów, owych romantycznych postaci, z którymi pozwalasz się zmierzyć…

Osłupiałam. Jaki, do cholery, tekst mogła mieć w rękach? Pilnowałam się, by powtarzając, że *niczego* nie napisałam od trzech lat i nie wysłałam jej żadnego maszynopisu, nadać głosowi jak najbardziej stanowcze brzmienie. Ponownie wybuchnęła śmiechem i odrzekła z czułością:

– Nie jestem pewna, czy możemy uwzględnić tę pozycję w planie kampanii reklamowej, ale jeśli sobie życzysz, możemy to przedyskutować. W każdym razie chcę, żebyś wiedziała, jaką pokładam w tym nadzieję.

Przeczytam to po raz drugi, zobaczymy się, jak tylko zechcesz. Świetne, naprawdę świetne…

Rozłączyłam się w połowie zdania. Oddzwoniła natychmiast, pozostawiając serdeczną i pełną otuchy wiadomość. Rozumie, że to nie jest dla mnie proste, tekst balansuje na krawędzi, igra z ogniem, ale właśnie w tym jest jego siła.

Nie wiem, jak długo tkwiłam nieruchomo na kanapie. W stanie oszołomienia. Ze wzrokiem utkwionym w pustkę, niezdolna podkulić nogi ani wyciągnąć ramiona, otulić się leżącym obok kocem. Wystarczająco długo, by poczuć stopniowe wychłodzenie ciała. Zlodowaciałe palce.

Z otępienia wyrwało mnie zimno. Podniosłam się ze sztywnymi plecami, ze zdrętwiałymi nogami, pozbyłam się mrówek w stopach, tupiąc w podłogę.

I nagle zrozumiałam.

L. napisała ten tekst zamiast mnie i go wysłała.

L. napisała *wspaniały* i *niebezpieczny* tekst, który wywołał u mojej wydawczyni nieznany dotąd entuzjazm.

L. ukradła moją tożsamość, aby napisać nieskończenie lepszy tekst niż wszystkie pozostałe, które kiedykolwiek ja napisałam.

Chciałabym móc opisać wyraz twarzy François, kiedy usiłowałam mu wyjaśnić, że moja wydawczyni otrzymała maszynopis, który ma nadzieję opublikować po wakacjach, którego rzekomo jestem autorką, chociaż nie napisałam w nim ani jednego słowa.

Tych kilka sekund, podczas których zastanawiał się, w co się wpakował (nie po raz pierwszy). Ta chwila zwątpienia i być może zniechęcenia, zanim zadał mi pytanie, które już samo w sobie obrazowało stan jego umysłu.

– Co to znowu za historia?

Myślę, że moja wydawczyni spotkała się z nim tydzień później i zdołała go przekonać, że jest w posiadaniu wysokiej jakości maszynopisu i nie ma żadnych wątpliwości co do jego autorstwa. Wyobrażam sobie, że musieli debatować nad przyczynami, dla których upieram się, iż nie ja napisałam ten tekst, że poruszyli kwestię mojej bezbronności po ukazaniu się poprzedniej powieści, otrzymanych przeze mnie anonimów, sposobu, w jaki się odizolowałam, zamknęłam w sobie, moich fobicznych, wręcz paranoicznych zachowań, bzików i strachu, który ogarniał mnie zapewne na myśl, że znów jestem na widoku publicznym. W gruncie rzeczy wszystko to było prawdą. Od wniosku, że należy dać mi czas, abym potrafiła udźwignąć, przyjąć ów tekst, dzielił zaledwie krok.

W dniu, gdy wyjaśniłam, że L. miała dostęp do mojego komputera, do mojego dziennika, do wszystkiego, co dotąd napisałam, i że zapewne jest autorką powieści, którą otrzymała moja wydawczyni, na twarzy François pojawił się ów wyraz pobłażliwości, który zawsze się pojawia, kiedy ten nie chce mi się sprzeciwiać.

Robiąc dobrą minę, zadał mi kilka pytań na temat L. (pytań, z których większość zadał mi już po moim wyjściu ze szpitala). Za każdym z nich

kryła się wątpliwość.

Właśnie wtedy wbiłam sobie do głowy, żeby odnaleźć L.

Udowodnić, że napisała ten tekst, zrozumieć, dlaczego zrobiła to w moim imieniu. Czyżby to była pułapka? Prezent? Sposób, by poprosić o wybaczenie?

Numer komórki L. już był nieaktualny.

Wróciłam pod budynek, w którym mieszkała, zanim wprowadziła się do mnie i do którego poszłam w wieczór jej urodzin. Kod uległ zmianie. Czekałam z dziesięć minut, nim ktoś wszedł do środka. Udałam się pod drzwi L., zadzwoniłam. Otworzyła mi mniej więcej dwudziestoletnia kobieta. Urządziła się tu kilka miesięcy temu, mieszkanie wynajęła od agencji, nic nie wie na temat osoby, która zajmowała je przed nią. Przez uchylone drzwi rozpoznałam lokum L., z tą tylko różnicą, że teraz sprawiało wrażenie naprawdę zamieszkałego. Kobieta podała mi namiary na agencję, która zarządzała budynkiem. Jako że jej siedziba mieściła się w tej samej dzielnicy, czym prędzej tam pospieszyłam. Pracownika odpowiedzialnego za ten sektor nie było. Na widok mojego uporu jego kolega zgodził się rzucić okiem na dokumenty. Agencja dysponowała mieszkaniem od niedawna, pierwszą lokatorką była osoba, z którą dopiero co się widziałam. Kolega absolutnie nie chciał mi udostępnić numeru właściciela. Kiedy nazajutrz zatelefonowałam do pracownika odpowiedzialnego za wynajem, błagając, żeby zdradził mi chociaż nazwisko, z miejsca odłożył słuchawkę.

Zadzwoniłam do Nathalie z prośbą o namiary na przyjaciółkę, u której było przyjęcie, kiedy to poznałam L. Musiałam jej podać pewną liczbę szczegółów, aby sobie przypomniała, o jakim przyjęciu mówię. Nathalie w ogóle nie kojarzyła opisanej przeze mnie kobiety, o ile pamięta, sama dość wcześnie wyszła, i wcale sobie nie przypomina, żebym z kimkolwiek rozmawiała. Następnie zatelefonowałam do Hélène, przyjaciółki Nathalie, która mgliście kojarzyła moją obecność na swoim przyjęciu, ale nie bardzo wiedziała, kto spośród gości mógłby być tą całą blondwłosą, wyrafinowaną L., którą jej odmalowałam. Drążyłam dalej. Uściśliłam, jak tylko się dało: L. i ja byłyśmy w grupie, która została najdłużej. Popijałyśmy wódkę w kuchni, siedząc przy stole. Hélène nadal nic nie przychodziło do głowy. Zupełnie nic. Zapewne ktoś tę kobietę przyprowadził, tylko kto?

Po kilku dniach zadzwoniłam do Lionela Duroya z pytaniem, czy zna pewną kobietę, niejaką L., piszącą książki za celebrytów, z którą niejednokrotnie rywalizował, zwłaszcza przy spisywaniu biografii Gérarda Depardieu. Lionel nie sprawiał wrażenia szczególnie zdziwionego, poza nim jest wielu ghostwriterów, za to był pewien jednego: przy Gérardzie nigdy nie wchodził w grę żaden pisarz poza nim. Spotkali się raz na kolacji, a już w nocy aktor zadzwonił i powiedział, że się zgadza. Nie zna tej kobiety, nigdy o niej nie słyszał.

Następnie napisałam liścik do Agnès Desarthe; nadmieniłam w nim, że chodziłyśmy razem do drugiej klasy liceum, i zapytałam, czy pamięta pewną dziewczynę o imieniu L., która była z nami w tej samej klasie (niestety, nie ma jej na zdjęciu), a jeśli tak, to czy wie, co się z nią stało. Gdy już miałam włożyć list do koperty, dodałam czerwonym długopisem *postscriptum*, podkreślając, że moje pytanie jest pilne i ważne. Jeśli nadal utrzymuje kontakt z osobami z tamtego okresu, byłabym bardzo wdzięczna, gdyby zadała im to samo pytanie. Agnès odpisała po dwóch dniach, że ani ona, ani Claire, ani Nathalie, ani Hadrien, z którymi ciągle się przyjaźni, nie przypominają sobie żadnej L.

Pewnej nocy powróciło wspomnienie z liceum w Tours, do którego poszła zamiast mnie. Wstałam, włączyłam komputer, żeby odnaleźć korespondencję, jaką L. prowadziła z bibliotekarką przed „moją” wizytą i po niej. O dziwo, nawet jeśli e-maile zostały napisane w moim imieniu, żaden z nich nie widniał w komputerze. L. wszystkie usunęła. Nie pamiętałam nazwy szkoły, ale przy odrobinie szczęścia powinnam znaleźć w internecie ślad „mojej” wizyty, a nawet zdjęcie L. wśród uczniów. Licea lubią zamieszczać tego typu wspomnienia na prowadzonych przez siebie blogach.

Właśnie w czasie tych poszukiwań natknęłam się na mój stary wywiad, który ukazał się na stronie pewnego liceum w Reims, a w którym spośród najbardziej liczących się dla mnie filmów wymieniłam tytuły *W normalnych ludziach nie ma nic wyjątkowego* i *Jak ludzie to robią*, a także *Grande petite* Sophie Fillières.

W ten sposób dotarło do mnie, że owe osobliwe, nieprawdopodobne zbiegi okoliczności, które łączyły L. i mnie, zapewne wcale nie są takie

osobliwe.

L. była przede wszystkim dobrze poinformowana.

Nie znalazłam w internecie śladu bytności L. w Tours. Nazajutrz zadzwoniłam do kilku liceów w mieście. Przy drugim telefonie połączono mnie z bibliotekarką, która mnie zaprosiła. Już po pierwszych słowach wyczułam, że kobieta waha się, czy w ogóle ze mną rozmawiać. Jej ton był lodowaty. Gdy zapytałam, czy przypomina sobie „moją" wizytę sprzed paru miesięcy, chrząknęła znacząco i odparła, czy sobie z niej robię jaja. Nie powiedziała „Żartuje pani?" ani „Czy pani sobie ze mnie kpi?". Nie, zapytała bezgłośnym szeptem, wcale nie starając się ukryć agresji: „Jaja sobie pani ze mnie robi?". Ponieważ nie tylko nie przyjechałam, ale nawet nie uprzedziłam. Setka uczniów przygotowała się do spotkania, przeczytała moje książki, czekała na ten dzień z niecierpliwością. Ona przysłała mi bilety na pociąg, wyszła po mnie na dworzec, chociaż było bardzo zimno. A ja się nie zjawiłam. Nie uznałam za stosowne przeprosić ani odpowiedzieć na wściekły list, który do mnie napisała.

Rozłączyłam się. Ziemia usunęła mi się spod nóg, to nie była zwykła przenośnia, parkiet kołysał się cicho, przyciągany przez linie zbiegu umieszczone we wszystkich rogach pokoju.

L. wywiodła mnie w pole.

L. zniknęła, ulotniła się.

L. nie zostawiła żadnego śladu.

Kolejne dni przyniosły jedynie zawrót głowy i zamęt.

Każdy szczegół, każde wspomnienie, którego we własnym mniemaniu mogłam się uczepić, każdy dowód, którym miałam nadzieję móc wymachiwać, istniały wyłącznie w mojej pamięci.

L. nie pozostawiła żadnych odcisków. Żadnego namacalnego dowodu swojego istnienia.

Przez cały ten czas dbała o to, żeby nie natknąć się na nikogo z mojego otoczenia. Ja zaś okazałam się niezrównaną wspólniczką. Nie przedstawiłam jej dzieciom ani François, ani przyjaciołom. Łączyła nas zaborcza więź, bez świadków. Chodziłyśmy razem do zatłoczonych miejsc, nie było więc żadnego powodu, by ktokolwiek nas zapamiętał. Nie

popełniła żadnej zbrodni, która wymagałaby szukania jakichkolwiek poszlak czy DNA. A gdyby wpadło mi do głowy tłumaczyć w jakimś komisariacie, pół roku po wydarzeniach, że środki nasenne i trutkę na szczury, znalezione w mojej krwi, podano mi bez mojej wiedzy, uznano by mnie za wariatkę.

Byłam powieściopisarką, u której wielokrotnie wystąpiły poważne oznaki zaburzeń, rozchwiania, nawet depresji.

Spędzałam całe noce z szeroko otwartymi oczami, na szukaniu jakiejś wskazówki, jakiejś luki.

Pewnego wieczoru, kiedy próbowałam wyjaśnić François, że chwilami dopada mnie lęk, który nie pozwala mi oddychać, on zaś po raz dwudziesty słuchał, jak zaczynam wszystko od początku, nie szczędząc szczegółów, anegdot, relacji z rozmów, wypowiedział znamienne zdanie, zapewne w nadziei, że pozwoli mi ono zacząć nowe życie:

– Może wymyśliłaś ją na potrzeby książki.

Wówczas dotarło do mnie, że to próżny trud i że walczę z wiatrakami.

Oczywiście miałam ochotę przeczytać maszynopis. Przez kilka dni rozmyślałam, w jaki sposób mogłabym go zdobyć albo przynajmniej dowiedzieć się, o czym jest w nim mowa, jednocześnie nie budząc dodatkowych podejrzeń co do stanu mojego zdrowia psychicznego. Przez kilka dni zastanawiałam się, czy nie dać wydawczyni zielonego światła, aby mogła zlecić zrobienie składu i opublikować tę *niebezpieczną* i *wspaniałą* powieść, nawet za cenę ryzyka, że L. publicznie ogłosi moje szalbierstwo. Przynajmniej wtedy by się ujawniła, a ja dowiodłabym w ten sposób, że jej nie wymyśliłam.

Było to kuszące. Napisana, całkowicie ukończona książka, gotowa do użycia. W dodatku dobra. Książka bardziej poruszająca, mocniejsza niż wszystkie książki, jakie byłam w stanie napisać.

Hołubiłam ten pomysł przez kilka dni, może nawet tygodni.

A potem pewnego poranka poprosiłam wydawczynię o spotkanie w kawiarni. Zaniepokoiła się, widząc aż tak silne znużenie na mojej twarzy.

Zażądałam najbardziej uroczystym tonem, na jaki potrafiłam się zdobyć, żeby wyrzuciła albo spaliła tekst, który ma w rękach. Oświadczyłam stanowczo, że nigdy go nie wydam.

Odpowiadając na jej pytanie, przyznałam, że nie mam żadnej wersji elektronicznej tego tekstu. Jeśli jednak mimo wszystko zależy jej na naszej relacji, jeśli uważa, że pewnego dnia będę w stanie napisać nową książkę, proszę, błagam, aby tę powieść wyrzuciła.

Wzburzona z powodu mojego uporu i zapewne z powodu fioletowych sińców pod oczami, które nadawały mi wygląd ofiary przemocy, obiecała, że to zrobi.

Nie jestem naiwna. Wiem, że schowała ten tekst gdzieś w swoim gabinecie.

Któregoś poranka znalazłam w skrzynce kolejny list.

Delphine,
zapewne myślisz, że wykpisz się w ten sposób. Że będziesz mogła zająć się czymś innym. Jesteś silniejsza, niż się wydaje. Ale się nie wywiniesz. Wierz mi.

Tym razem list był podpisany.

Przyszło mi na myśl, że autorką tych listów może być L. Myliłam się jednak. To nie była ona. Chociaż tak bym wolała.

To ostatni list, jaki dostałam.

Kilka dni później wrócił Paul. Pewnego poranka, kiedy rozprawialiśmy o książce, którą właśnie skończył i która bardzo go poruszyła, a zatem pewnego poranka, kiedy rozmawiałam z synem o tym, jak określone teksty mogą nas dręczyć całymi dniami, a nawet tygodniami, wspomniałam Paulowi o pierwszej powieści Davida Vanna, *Sukkwan Island*, której czytanie nie pozwoliło mi spać przez kilka nocy z rzędu, i o słynnej stronie sto trzynastej, która wryła się w pamięć czytelników jako niesamowity wstrząs (powieść przeradza się na niej gwałtownie w tragedię, którą przeczuwamy wprawdzie od samego początku, lecz dzieje się to w sposób straszny i zupełnie niespodziewany). Wstałam i sięgnęłam po egzemplarz z mojej biblioteki. Książka jest absolutnie posępna, nie miałam więc specjalnej ochoty, żeby Paul ją przeczytał, szukałam jednak potwierdzenia przerażającego wspomnienia, jakie pozostawiła mi ta strona. Na jego oczach, streściwszy mu w paru słowach całą fabułę i opowiedziawszy o tym, czego się później dowiedziałam o przyczynach, jakie doprowadziły Davida Vanna do napisania powieści, otworzyłam mój egzemplarz na stronie sto trzynastej z zagiętym rogiem. Zaczęłam przebiegać po niej wzrokiem i zamilkłam.

Oto miałam przed sobą opis brzmiący niemal słowo w słowo jak wersja śmierci męża, którą przedstawiła mi L. W miarę jak zagłębiałam się w tekst, to, co mogło się z początku wydawać zbiegiem okoliczności, z całą oczywistością przestawało nim być: L. zainspirowała się tą książką, tymi słowami, aby opowiedzieć mi o śmierci Jeana. Osamotnienie, śnieg, chatka służąca im za schronienie, wystrzał, powrót do chaty i ów obraz potworności, jaki opisała mi w samochodzie, niczego nie brakowało.

W popłochu rzuciłam książkę na podłogę.

Wybraliśmy się z Paulem na spacer. Dreszcz przerażenia, który poczułam, nie ustąpił przez całe popołudnie.

Później, wieczorem, nadal ostrożna za sprawą niejasnego przeczucia, tkwiłam przed regałem i, podobnie jak robiła to L., czytałam na głos tytuły książek, ustawionych ciasno obok siebie. Wszystkich. Półka po półce.

Leżąc na plecach na łóżku, nie mogąc zasnąć, nasłuchując najlżejszego odgłosu, zrozumiałam: wszystko, co L. opowiedziała mi o swoim życiu, każda anegdota, każda historia, każdy szczegół, pochodziło z jednej z książek z mojej biblioteki.

Włożyłam sweter i dżinsy, pozapalałam wszystkie światła w salonie i zaciągnęłam zasłony. Aż do rana postępowałam metodycznie: przypominałam sobie po kolei wszystkie wyznania L.

Następnie przebiegłam palcami po rzędzie książek i znalazłam.

L. czerpała zewsząd po trochu, nie faworyzując żadnego gatunku, z powieści francuskich lub obcych. Wspólną cechą tekstów, które ją zainspirowały, było to, że zostały napisane przez autorów współczesnych. Scena śmierci matki pochodziła z całą pewnością z powieści Véronique Ovaldé. Opis osobowości ojca stanowił szerokie zapożyczenie z jednej z powieści Gillian Flynn. Odnalazłam straszną wizytę sąsiada, odtworzoną niemal słowo w słowo, w pierwszej powieści Alicii Erian. Obraz poranka, kiedy to obudziła się z wyschniętym gardłem, niezdolna wykrztusić słowa, i tamtego, kiedy powrócił jej głos, przypominały do złudzenia identyczne zdarzenia opisane w powieści Jennifer Johnston. Z kolei opowieść o pierwszym spotkaniu z mężem, w wieczór strajku komunikacyjnego, wyszła dokładnie z książki Emmanuèle Bernheim.

W ciągu następnych tygodni bezustannie odkrywałam więzi łączące rozmaite opowieści L. z moją biblioteką.

Historia Ziggy, jej wyimaginowanej przyjaciółki, stanowiła osobliwą mieszaninę pewnej noweli Salingera i powieści Xaviera Mauméjeana, którą Paul omawiał w gimnazjum, a która z niewiadomych powodów stała razem z moimi na regale w salonie.

Słysząc, jak L. snuje niektóre wspomnienia, doznawałam dziwnego, znajomego uczucia. Wywołały we mnie echo, które pozwoliło mi wierzyć, że łączy nas coś głęboko intymnego. Coś, czego nie da się wytłumaczyć. Jakieś piętno pochodzące z innych czasów. Dopiero teraz pojęłam naturę owego echa.

Nawet dzisiaj nie mam pojęcia, dlaczego odegrała przede mną tę komedię. W imię jakiego wyzwania, jakiego sprzeciwu. Jestem wszakże powieściopisarką, rozważyłam więc po kolei różne hipotezy.

L. celowo karmiła się moimi lekturami, moimi książkami, aby podsunąć mi wersję własnego życia, złożoną ze znamiennych scen, wybranych nie przypadkowo, lecz z rozmysłem, uważała bowiem, że w sposób nieświadomy zapadną mi one w pamięć, stanowiąc potężne bodźce, które skłonią mnie do napisania swojej historii. L. wyszła z założenia, że kocham te książki (skoro je zachowałam), dlatego przypomnienie ich sobie powinno współgrać z moją własną historią, a zwłaszcza z historią książki widma.

Albo też L. zabawiła się, rzucając mi wyzwanie. Z doskonałą znajomością rzeczy. Z upodobaniem opowiadała mi, niekiedy słowo w słowo, historie, które kiedyś czytałam. Rzucała mi coraz śmielsze wyzwania. Ryzykując, że odkryję fałszerstwo i powiem: przecież ja to wszystko czytałam! L. naszpikowała swoją przemowę fragmentami fikcji, aby się przekonać, czy jestem w stanie sobie przypomnieć. Być może chciała mi udowodnić, że książki te odcisnęły na mnie jedynie niewyraźne, rozproszone, łatwe do wymazania piętno. W tym wypadku się myliła. Pamiętałam te książki, niektóre z nich zaś pamiętałam bardzo dokładnie. Tylko że obdarzyłam ją zaufaniem i nie podważałam jej słów.

Przyszło mi też na myśl, że L. zastawiła na mnie innego rodzaju pułapkę, w którą tym razem wpadłam z własnej nieprzymuszonej woli. L.

zdawała sobie sprawę, że przywołując w ten sposób bez mojej wiedzy głębokie piętno przeczytanych tekstów, wzbudzi we mnie pragnienie napisania o niej. Sądziłam, że popełniłam zdradę, ale ona właśnie tego chciała. Stać się moim tematem. I sprawić w ten sposób, żebym mimowolnie popełniła plagiat wobec ulubionych autorów.

Analizowałam każdą z tych hipotez przez kilka godzin. Prawdę mówiąc, żadna nie przyniosła mi rzeczywistego zadowolenia.

Być może L. *naprawdę* przeżyła wszystkie te sceny. Być może punkty wspólne między życiem L. a książkami z mojej biblioteki wynikły jedynie ze zbiegu okoliczności. W takim razie rzeczywistość nie tylko przerastała fikcję, lecz także ją scalała, zestawiała w całość… W takim razie rzeczywistość naprawdę *miała jaja*, zabawiając się ten sposób.

Pewnego poranka w Courseilles François znalazł w oczku wodnym martwą rybę. Z Djoby zostały tylko głowa i szkielet, do którego przytwierdzonych było parę strzępków mięsa. Na powierzchni wody pływały opalizujące łuski. Djobi miał się świetnie. Zapytałam François, czy Djobi pożarł Djobę, ale zapewnił, że nie. Jednakże kilka dni później, poszperawszy w internecie, przyznał, że to nie jest niemożliwe.

Pewnego dnia, tuż przed początkiem lata, kiedy czułam się o wiele lepiej i przestałam się już budzić co noc, myśląc o L., rozpoznałam tamtego bardzo przystojnego młodego mężczyznę, który pomógł jej wnieść bagaże, teraz zaś siedział na tarasie kawiarni. Szłam właśnie chodnikiem po drugiej stronie ulicy. Nie wiem, jaki szczegół jego fizjonomii przyciągnął mój wzrok, lecz stanęłam jak wryta.

Przecięłam jezdnię i podeszłam do niego. Towarzyszyła mu dziewczyna w jego wieku. Przerwałam im rozmowę.

– Dzień dobry, przepraszam, zjawił się pan u mnie parę miesięcy temu z kobietą około czterdziestki, wcześnie rano, i pomógł jej wnieść bagaże. Właśnie się wprowadzała, miała sporo walizek. Przypomina pan sobie?

Chłopak spojrzał na mnie, miał łagodny uśmiech.

– Nie, proszę wybaczyć, nie przypominam sobie, proszę pani. Gdzie to było?

– W jedenastej dzielnicy, przy rue de la Folie-Méricourt. Szóste piętro, bez windy. Na pewno pan pamięta tę kobietę. Nazywa się L., jest wysoka,

ma jasne włosy, powiedziała, że jest pan synem jej przyjaciółki.

Chłopak wyjaśnił, że przez jakiś czas pracował w firmie świadczącej usługi w domach. Wykonywał drobne naprawy, przenosił meble, opróżniał piwnice. Przypomina sobie mgliście pewne uciążliwe zadanie, które miał wykonać na szóstym piętrze bez windy, ale nic poza tym. I przykro mu, lecz nie pamięta ani L., ani mnie. Firma została założona przez jego przyjaciela i dość szybko splajtowała.

Kilka dni wcześniej oglądałam wraz z Paulem po raz kolejny *Podejrzanych*, kultowy film z lat dziewięćdziesiątych, który od dawna chciałam mu pokazać. Kiedy pojawiły się napisy, pojęłam, dlaczego to było takie ważne. Mityczna scena wieńcząca film miała osobliwy wydźwięk.

Scenariusz zbudowany jest wokół przesłuchania „Pleciucha" Kinta, jedynego ocalałego z krwawej masakry, jaka miała miejsce dzień wcześniej. „Pleciuch" jest kuternogą z wykrzywioną dłonią, półgłówkiem granym przez Kevina Spaceya. Po wielogodzinnym przesłuchaniu jawi się jako drugorzędny wspólnik, sam będący ofiarą machinacji, która go przerosła. Po wpłynięciu kaucji wychodzi na wolność. Odbiera swoje rzeczy i opuszcza posterunek policji. Po jego wyjściu detektyw Kujan pozostaje przez chwilę w gabinecie, który nie należy do niego. Machinalnie omiata wzrokiem wiszącą na ścianie tablicę, do której przypinano listy gończe, fiszki, zdjęcia, wycinki z gazet. Właśnie wtedy spostrzega, że wszystkie nazwiska i wszystkie szczegóły wymienione w trakcie przesłuchania przez „Pleciucha" Kinta pochodzą z tej tablicy, naprzeciwko której tamten siedział. I że nazwisko rzekomego wspólnika, podane przez „Pleciucha", to nazwisko producenta naczyń, umieszczone pod filiżanką do kawy. W tym samym czasie nadchodzi faks z roboczym portretem Keysera Söze, słynącego z legendarnego okrucieństwa przestępcy, którego nikt nigdy nie widział, a który ma rysy… „Pleciucha" Kinta.

Jednocześnie widzimy, pokazanego w montażu równoległym, spacerującego po ulicy Kevina Spaceya, jego dłoń odzyskuje sprawność, on sam zaś przestaje kuleć, przyspiesza kroku, zapala papierosa.

Dokładnie to przytrafiło mi się tamtego dnia, gdy stojąc przed własną biblioteką i przypominając sobie rozdzierającą poezję, którą L. lubiła recytować, uświadomiłam sobie, że ona wszystko zmyśliła. Byłam jak detektyw Kujan, do którego dociera zbyt późno, że dał się zrobić na szaro.

Dzisiaj, gdy myślę o L., powraca do mnie przede wszystkim ten obraz: zbliżenie na nogi „Pleciucha” Kinta, przejście od utykania do normalnego chodu, a potem szybki krok, który doprowadza go do czekającego samochodu.

Wiem, że L. gdzieś tu jest, nie tak znów daleko. Trzyma się na dystans.

Wiem, że pewnego dnia powróci.

Pewnego dnia rozpoznam jej oczy w głębi kawiarni, w mroku sali kinowej, wśród grupki czytelników, którzy przyszli mnie posłuchać, zobaczę, jak błyszczą niczym czarne kulki, o których zdobyciu marzyłam na dziedzińcu szkoły podstawowej w Yerres. L. poprzestanie na skinieniu dłonią, na znak pokoju albo przyzwolenia, na jej twarzy pojawi się wszakże triumfalny uśmiech, na którego widok ściśnie mi się żołądek.

Odkryłam w końcu, z jakiej książki zaczerpnęła inspirację do każdego ze swych wyznań. Tylko jedno, chociaż opowiedziane ze szczegółami, nie miało źródła. Może pochodzi z książki, której nie czytałam. Trzymam kilka takich w biblioteczce. Kupiłam je albo od kogoś dostałam. Muszę mieć zapasy.

Któregoś dnia, gdy zabiorę się do jednej z tych książek, być może natrafię na tę scenę.

L. ma czternaście lat. Chodzi do gimnazjum w jakimś mieście pod Paryżem. Poprzedniej nocy ojciec długo robił jej wymówki. Jest źle, wszystko jest źle, coś nie gra. Ona zachowuje się nie tak jak trzeba, jest cała zalękniona, brak jej kobiecości, bez przerwy pyskuje. On ją o coś podejrzewa, ona nie jest w porządku i tyle. Zresztą wszyscy to widzą (uparcie powtarza *wszyscy*, tak jakby kontaktowała się z całym światem), aptekarz i facet z agencji ubezpieczeniowej Groupama powiedzieli mu dokładnie to samo: pańska córka jest dziwna. Nie wydaje się jak inne dziewczęta. Inne dziewczęta są przynajmniej wesołe, są radosne, sprawiają wrażenie wyluzowanych. Są miłe.

Rankiem, zjawiwszy się w szkole, trzyma się na uboczu. Zdaje sobie sprawę, że ma czerwone oczy, ktoś może jej zadawać pytania.

Czasem śni, że ucieka. Albo że ktoś przychodzi ją zabrać. Czasem mówi sobie, że mimo wszystko może stanie się kobietą. Kobietą, na którą ludzie patrzą, którą uważają za piękną. Której ran nie widać.

Po lekcji francuskiego nauczyciel każe jej zostać w klasie. Po wyjściu uczniów pyta, czy wszystko w porządku. Czy ma kłopoty w domu. Nie chce być wścibski, chce tylko wiedzieć, czy ona dobrze się czuje.

Nauczyciel stoi przed nią, mierzy ją wzrokiem. Szuka jakiegoś znaku. Ona spuszcza oczy.

Mężczyzna oznajmia, że jeśli nie da rady mówić, może powinna pisać. Dla samej siebie. Przecież lubi pisać, nie? Ona milczy. Z mocą powtarza w myślach słowa, których nie jest w stanie wypowiedzieć, powtarza je w myślach z całą mocą, aby ją usłyszał, czy jestem aż taka brzydka, taka śmieszna, taka inna, taka zgarbiona, taka źle uczesana, taka złośliwa? Boję się, że zwariuję. Boję się i nie wiem, czy ten strach istnieje, czy ma jakąś nazwę.

KONIEC*

[1] Jean-Luc Delarue – zmarły w 2012 roku francuski prezenter i producent telewizyjny, specjalizujący się w debatach (przyp. tłum.).

[2] *W normalnych ludziach nie ma nic wyjątkowego* (przyp. tłum.).

[3] Robert Desnos *Tyle śniłem o tobie*, przeł. Jerzy Lisowski.

===b1xuXmpdbFp1RHFDdUR1R39HdVoXdgRvTx18GG8OYBN4EQ==